CZY JAN PAWEŁ II WYGRA WYBORY

BANKI ZA SPRYTNE, BY UPAŚĆ

SZTUCZKI SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Kraków 2 kwietnia 2023 nr 14 (3847)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MICHAŁ RUSINEK

Śmiej się śmiało

JUŻ W SPRZEDAŻY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Albatros travel

Zeskanuj kod QR i dowiedz się więcej

Degustacje szampana i wina w cenie

Szampania i Burgundia

Ekscytująca wyprawa szlakiem najlepszych francuskich win od stolicy szampana Épernay przez Reims i region białego wina Chablis do Dijon i Beaune w Burgundii.

Program wycieczki: Dz.1 Przelot do Paryża. Spacer po mieście Reims i wspólna kolacja. **Dz. 2** Szampania i Épernay. Objazd po Szampanii z degustacją szampana i zwiedzaniem Épernay. **Dz. 3** Reims – Troyes – Chablis – Dijon. Z Szampanii do Burgundii. Zwiedzanie Troyes i degustacja wina w Chablis. **Dz. 4** Burgundia, Beaune i Côte D´Or. Spacer po średniowiecznym mieście Beaune i degustacja win w Côte d´Or. Wspólna kolacja. **Dz. 5** Zwiedzanie Auxerre nad rzeką Yonne. Wylot z Paryża do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 23/09 2023 | 4.998,-

Przywitaj Bali

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa – Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz.6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud – Sanur. Świątynia Tanah Lot. **Dz. 10-13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14-15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 19/07, 04/09 2023

od 9.998,-

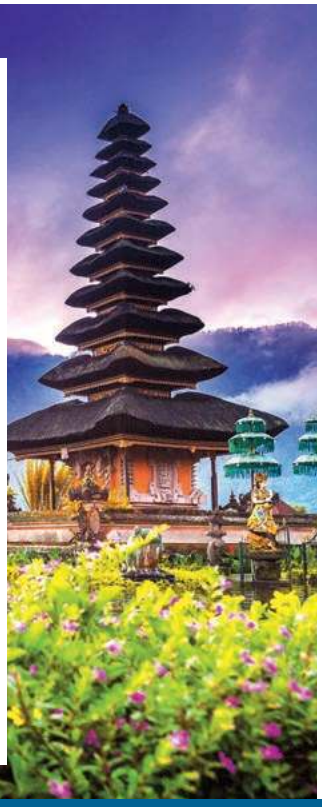

Podróż pociągiem wzdłuż koła podbiegunowego

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Luleå. Przyjazd i krótki spacer po mieście Luleå. **Dz. 2** Przejazd pociągem z Luleå do Kiruny. Wspaniałe krajobrazy i przekroczenie koła podbiegunowego. **Dz.3** Kiruna – Narvik. Wizyta w kopalni rudy żelaza i spektakularna przejażdżka koleją Ofot. **Dz. 4** Narvik - Vesterålen. Muzeum Wojny i Pomnik Polskiego Żołnierza i Marynarza w Narviku oraz wizyta na farmie reniferów. **Dz. 5** Wizyta w Andenes z możliwością rejsu na obserwację wielorybów. **Dz. 6** Całodniowa wycieczka na Lofoty, z wizytami w wioskach rybackich. **Dz. 7** Powrót do Polski z Evenes.

7 dni | Wylot z Warszawy 03/07 2023

7.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP07

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Zwykli święci*

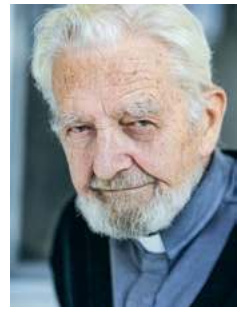

Piękna i tragiczna jest historia Ignacia Echeverrí, 39-latka, który w czerwcu 2017 r. na londyńskim moście uratował przed terrorystami kobietę, płacąc za to własnym życiem. Był Hiszpanem, prawnikiem, studiował i pracował w Londynie. Miał problemy z szefami, bo przepisy interpretował ściśle, czym utrudniał im życie. Zmieniał więc pracę. Ostatnio był zatrudniony w londyńskim oddziale HSBC jako analityk do przeciwdziałania praniu brudnych pieniędzy. Napisano o nim, że nie był człowiekiem szczególnie utalentowanym, za to niebywale pracowitym. Na pewno był bardzo dobry w jeździe na deskorolce. Znakomicie pływał. Ale nie tylko to. Ignacio był człowiekiem wierzącym, jego wiara dopełniała się w codzienności. A teraz ma się niebawem rozpocząć jego proces beatyfikacyjny.

Artykuł Domy Matejko o Ignaciu, tak bardzo rzeczowy, że aż powściągliwy, podkreśla, że według ojca Ignacia – Joaquina Echeverrí – beatyfikacja nic nie doda bohaterowi, lecz może być pomocą ludziom poszukującym sensu w dzisiejszym świecie. Zresztą ten sens już dziś można znaleźć w wypowiedziach wielu ludzi, którzy usłyszeli o jego życiu i śmierci.

Autorka zwraca uwagę na *motu proprio* obecnego papieża, bo rzeczywiście papieska decyzja ułatwia beatyfikację Ignacia. Jednak wypada w tym miejscu zauważyć ogromną różnorodność osób w ciągu stuleci wyniesionych przez Kościół na ołtarze. W pierwszych wiekach (blisko dziesięciu pierwszych) uznanie kogoś za świętego następowało inaczej aniżeli dzisiaj. Kolejni papieże, także obecny, wnosili swój wkład do procedur, ogłaszając nowe zasady kanonizacji. Otóż ogromna ostrożność trybunałów wynika z coraz doskonalszej wiedzy o człowieku. Coraz lepiej wiadomo, w jakich dziedzinach człowiek i jego działania pozostają wolne.

Ogłaszając świętych, Kościół nigdy nie twierdził, że ich „oficjalny" poczet wyczerpuje rzeczywistość. Proces, oficjalna proklamacja świętości, kult świętego odpowiadają ludzkiej potrzebie wzorów, uhonorowania kogoś, dania jako wzór czyjegoś postępowania itd., nie wyczerpują jednak całej rzeczywistości świętości. Wielu z nas wie o tym z doświadczenia. Spotkaliśmy przecież ludzi, których życie było realizacją słów Chrystusa, jednak trudno było – z różnych racji, także finansowych – wszczynać i prowadzić ich procesy kanoniczne. Zresztą takiej potrzeby na ogół nie czujemy, biorąc do serca czyjąś świętość, będącą dla nas i dla bliskich tej osoby wzorem, wsparciem w wierze i radością. Prowadzenie procesów kanonizacyjnych uznajemy zwykle za czynność eklezjalną, z natury rzeczy należącą do struktur kościelnych.

Dodajmy jeszcze i to, że droga do świętości czasem zaczyna się późno, czasem bardzo późno. Myślę, że będziemy zaskoczeni w niebie, ilu świętych spotkaliśmy w życiu, nic o tym nie wiedząc. Ktoś nas zachwycił, kogoś lubiliśmy, ktoś nam imponował, ale żeby był świętym? Sam takich ludzi spotkałem i na myśl mi nie przyszło, że będę świadkiem ogłoszenia ich świętości. Nie wiedząc o tym, pomagali mi żyć, pomagali pokonywać paskudne cechy charakteru, nigdy się nie starając o znalezienie naśladowców.

Ignacio – jestem pewien – nigdy nie sądził, że będzie w gronie ogłoszonych przez Kościół świętymi. A jeśli nie będzie, to i tak stał się dla wielu ludzi dowodem, że można, że trzeba wychodzić poza granice egoizmu, poza granice myślenia tylko o sobie, a inspiracją była jego wiara. Tacy jak on, zwykli ludzie, zmuszają innych zwykłych ludzi do przebudzenia. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Spędź Wielkanoc z „Tygodnikiem"

Pierwsze takie Zmartwychwstanie | Rosja patrzy na ikony | Bieg do pustego grobu
Jeśli wiosna nie nadejdzie | Drugie życie po przeszczepie | Józef Stalin z Rabki
Barcelona – więcej niż futbol | Jak się żyje bez światła | Kto tu zaprosił wróble?
Najlepiej pisać ręcznie

Bieńczyk, Boniecki, Chomątowska, Chwin, Goc, Jagielski, Koziołek, Ugrešić

Także niezawodny przewodnik
– „Włóczykij kulturalny" – w nim m.in. najciekawsze spektakle wiosny, czego nie przegapić oraz jak ratowano ukraińskie dzieła sztuki.

MOC CZYTANIA w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego" – od środy 5 kwietnia w najlepszych punktach z prasą.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Więcej dzieci nie będzie
STEFAN SĘKOWSKI
Polki i Polacy nie decydują się na potomstwo z innych powodów, niż się powszechnie uważa. Cokolwiek byśmy zrobili dla znaczącego polepszenia sytuacji demograficznej, poniesiemy porażkę. Musimy zmienić sposób myślenia.

34 Z deskorolką na ołtarze
DOMA MATEJKO
Ignacio Echeverria, prawnik i skater, podczas ataku terrorystycznego na London Bridge stanął w obronie kobiety i zginął. Teraz może zostać świętym.

51 Łowcy nazistów
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Aktywiści skrajnej lewicy, na czele z niepozorną studentką, mieli dokonywać brutalnych samosądów na neonazistach. W Niemczech dobiega końca najgłośniejszy proces ostatnich lat.

54 Komendantka Ola
EWELINA BURDA
W gorsecie przemyca dynamit, w falbanach sukni rewolwery. Walcząca o niepodległość kospiratorka zostanie zapamiętana jednak głównie jako powściągliwa pani marszałkowa. 60 lat temu zmarła Aleksandra Piłsudska.

64 Śmiej się śmiało
ROZMOWA Z MICHAŁEM RUSINKIEM, PISARZEM:
Przyjaźnię się z tymi, którzy potrafią pięknie opowiadać, nawet o traumatycznych sprawach. Wzrusza mnie umiejętność rozbrajania patosu żartem. Wtedy zdarza mi się mieć łzy w oczach.

78 Jak przeżyć siebie
BARTEK DOBROCH
W połowie siódmej dekady życia brzmi jak Piotruś Pan, który postanowił dorosnąć do swych lat. Może sobie na to pozwolić: poprzednie Peter Chrzanowski spędził w lasach, na stokach oraz lodowcach. I w powietrzu.

MOODBOARD / ADOBE STOCK // JUAN CARLOS LUCAS / AFP / EAST NEWS // NAC // ARCHIWUM PETERA CHRZANOWSKIEGO // JACEK TARAN // RONALD WITTEK / PAP / EPA

6 Przyczajony smok, ukryty niedźwiedź
ANNA ŁABUSZEWSKA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Więcej dzieci nie będzie
STEFAN SĘKOWSKI

26 Za sprytne, by upaść
MAREK RABIJ:
Polskie banki nie unikną kryzysu zaufania

29 Wyjść z zamknięcia
SZYMON ŻYŚKO:
Chorujący na depresję mężczyźni rzadziej i później trafiają do lekarzy

34 Z deskorolką na ołtarze
DOMA MATEJKO

38 Księżowskie występki
EDWARD AUGUSTYN:
Dlaczego niektórzy duchowni katoliccy w USA okradali parafie

40 Na wpół tułacze
MARCIN CHODUŃ
Z LONDYNU:
Polskiej wspólnoty katolickiej w Londynie nie dopuszczono po pandemii do użytkowanej wcześniej kaplicy

ŚWIAT

44 Szosa doniecka
ANTONINA PALARCZYK
Z CZASIW JARU (UKRAINA):
Zapakowany po dach bus przysiadł na tylnych kołach. Czeka go zaraz droga na wschód. Na front trzeba ruszać wcześnie rano

TEMAT TYGODNIKA

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

12 Wojna papieska
DARIUSZ KOSIŃSKI
Dziś postać papieża Polaka jest gotowa na przyjęcie wszystkiego, co jego czciciele i wrogowie zechcą wpisać w tak ogólne pojęcia jak Polska, Kościół, demokracja. I Jan Paweł II musi za to zapłacić.

16 Czy Jan Paweł II wygra wybory
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ, PREZESEM IBRIS:
Dla większości Polaków atak na papieża to atak na ich tożsamość, i to żywą tożsamość. Jan Paweł II był nie tylko przywódcą religijnym, jego wielkość wykraczała poza ten aspekt.

FELIETONY

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI **43** ZUZANNA RADZIK
63 ELIZA KĄCKA **76** OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
MICHAŁ RUSINEK, MARZEC 2023 R., KRAKÓW
FOTO: JACEK TARAN

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

48 Donald znów na ringu
MARTA ZDZIEBORSKA:
Na półtora roku przed wyborami polityczne emocje podgrzewa głównie Trump

51 Łowcy nazistów
ŁUKASZ GRAJEWSKI

HISTORIA

54 Komendantka Ola
EWELINA BURDA

NAUKA

58 Mów do mnie jeszcze
JAREK GRYZ: *Wciąż nie przygasły dyskusje nad możliwościami i ograniczeniami generatora tekstu GPT 3.5, a już powstała jego nowa wersja.*

KULTURA

64 Śmiej się śmiało
ROZMOWA Z MICHAŁEM RUSINKIEM, PISARZEM

69 Piąta strona świata
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Dziś Katowice bez ironii mogą się nazywać Miastem Ogrodów i Miastem Muzyki – oraz Miastem Teatru*

72 Opowieści osobiste
PIOTR KOSIEWSKI:
Anka Ptaszkowska – radykalna i zaangażowana w twórczość bliskich jej artystek i artystów

74 Chybione zaklęcia
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Imperium światła” Sama Mendesa

75 Z archiwum
LEKTOR *o książce „Papiery po Iłłakowiczównie” Lucyny Marzec*

ZMYSŁY

78 Jak przeżyć siebie
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
O tym, jak irańscy ajatollahowie pomogli Ronaldowi Reaganowi wygrać wybory, pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
| TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Co obejrzeć w weekend
Jaki związek może mieć sposób oświetlania aktorów z przemocą seksualną i nierównościami na rynku pracy? Zobacz filmy polecane przez **ANITĘ PIOTROWSKĄ** | TygodnikPowszechny.pl/weekend

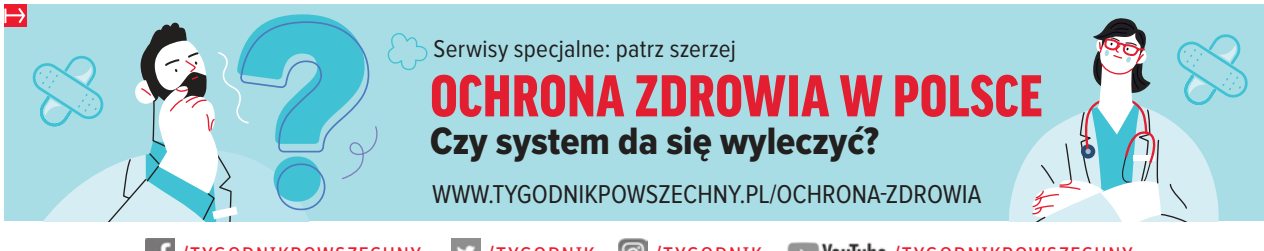

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PRZYCZAJONY SMOK, UKRYTY NIEDŹWIEDŹ

Na Kremlu wyglądano przyjazdu Xi Jinpinga jak zbawienia. Jego wizyta miała oznaczać przełom, odwrócenie niekorzystnych dla Rosji trendów. Ale znowu coś poszło nie tak.

ANNA ŁABUSZEWSKA

Niegdyś Nikita Chruszczow odgrażał się, że pokaże Zachodowi *kuźkinu mat'*, czyli coś bardzo groźnego. Wzmożenie medialne przed przyjazdem do Moskwy chińskiego gościa wskazywało, że Putin zamierza nawiązać do tej tradycji. A co ważniejsze – że niczego się nie boi, bo wspiera go silny sojusznik. Czy Rosja ma faktycznie powody do takiego optymizmu? Nawet to, co ujawniono publicznie, świadczy, że Moskwa nie uzyskała tego, na co liczyła.

Pierwsze spotkanie Xi–Putin odbyło się 20 marca – był serdeczny uścisk dłoni, padły ciepłe słowa. I oto niespodziewanie Xi Jinping z błogim uśmiechem wyraża pewność, że w 2024 r. Rosjanie poprą Putina. Słowa te wywołały konsternację nawet u rzecznika prasowego Kremla, który pospieszył z wyjaśnieniem, że Putin jeszcze nie podjął decyzji, czy w planowanych na przyszły rok wyborach wystartuje, a Xi chciał jedynie zaznaczyć, że wierzy w poparcie narodu dla przywódcy. Ale oświadczenie gościa zostało zinterpretowane inaczej: oto nowy patron przyznał jarłyk wasalowi, zaakceptował jego kolejną kadencję, którą świat zachodni stawia pod znakiem zapytania, gdyż oznacza ona złamanie zasad demokracji.

Ceremonia powitania przywódcy Chin na Kremlu, 21 marca 2023 r.

Takie słowa istotnie mogłyby opisywać narastającą asymetrię w stosunkach Rosji i Chin. W tych relacjach bywało różnie, lecz rolę „starszego brata" nieodmiennie odgrywała Moskwa. Rosjanom trudno jest ukryć, że tę pozycję tracą. Xi Jinping właśnie umocnił się na scenie wewnętrznej, zapewniając sobie trzecią kadencję i obsadzając swoimi ludźmi najważniejsze stanowiska. I w doskonałym humorze przyjechał do Moskwy, by utwierdzić się w przekonaniu o umacnianiu się również na scenie zewnętrznej. Chiny od roku umiejętnie wykorzystują słabnącą Rosję – np. kupują tanio rosyjskie surowce energetyczne, z których zakupu zrezygnował Zachód.

W drugim dniu wizyty Xi bardzo łaskawie rozmawiał z premierem Michaiłem Miszustinem, co zrodziło sugestie, że chiński przywódca przy okazji wizyty w Moskwie zrobił sobie nieformalny *casting* wśród rosyjskich polityków na ewentualnego następcę Putina i że właśnie Miszustin mu się spodobał. Putin podczas rozmowy z Xi był wyraźnie spięty.

Chiny są zainteresowane zajęciem na rosyjskim rynku miejsc, z których wycofały się zachodnie firmy. Z towarzyszem Xi przybył desant biznesmenów, na stole położono oferty przemysłu samochodowego – chińskie auta masowo zajmują miejsce francuskich czy niemieckich. Rosja musi też gdzieś kupować smartfony i notebooki. Krytyk putinizmu Igor Ejdman napisał wręcz na Telegramie: „Xi przyjechał potwierdzić formalnie protektorat nad Rosją? Na pierwszy rzut oka to doskonały moment. (...) O ile wcześniej o Rosji mówili: stacja benzynowa dla świata, to teraz stała się stacją benzynową dla ChRL. A dyrektor tej stacji, towarzysz Pu, powinien przestać palić papierosy w miejscu pracy i starannie wykonywać polecenia z góry. Xi jest brutalny, ale działa z rozmysłem, wyrachowaniem. Teraz słowem poprze swego wasala, ale jednocześnie poleci mu, by zwinął tę swoją przegraną i bezsensowną wojnę przeciw Ukrainie. Tyle że Pu nie jest w stanie się zatrzymać".

Chiny poddały pod dyskusję plan pokojowy dla Ukrainy, pełen ogólników i nieścisłości. Zapewne plan ten (albo inny) wałkowano podczas rozmów na Kremlu. Ale poza okrągłymi formułkami nic o wynikach tych rozmów otwarcie nie powiedziano. Czy dlatego, że nie udało się ustalić szczegółów? Przed wizytą w zachodnich mediach wyrażano zaniepokojenie perspektywą sprzedaży przez Chiny broni Rosji. Ale o tym też nic konkretnego nie powiedziano. ©

PAVEL BYRKIN / SPUTNIK / KREMLIN POOL / EPA / PAP

Między badaniem a tworzeniem świata

MAREK KĘSKRAWIEC

Istnieje mała szansa przepływu elektoratu pomiędzy zwolennikami władzy i opozycji, gdyż w Polsce stworzyły się dwa „podspołeczeństwa", które już się ze sobą nie komunikują. Przekonywanie przeciwników nie ma więc sensu, lepiej skupić się na mobilizowaniu swoich zwolenników oraz demobilizowaniu drugiej strony. Takie wnioski płyną z raportu prof. Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego „Wyborcy za jedną listą, liderzy przeciw". Obaj badacze, nie przekreślając innych rozwiązań, sugerują, że wyborcy zdecydowanie pragną wspólnego startu opozycji. Ogłoszenie jednej listy ma przynieść szybki sukces sondażowy, dodać sfrustrowanemu elektoratowi opozycji nowej energii i wiary w wygraną.

Podobne wnioski płyną z sondażu przeprowadzonego przez Kantar Public. Rozpatrywano w nim cztery warianty: sojuszy w różnych konfiguracjach i oddzielnego startu opozycyjnych partii. Okazało się, że poparcie dla wszystkich ugrupowań spadło na tyle, że tylko wspólna lista gwarantuje pokonanie PiS i jego akolitów. Donald Tusk skomentował ten sondaż odnosząc się do polityków, którzy nie chcą zewrzeć szeregów: „oni dostaną od wyborców naprawdę srogie baty". Problem w tym, że rozmowy o jednej liście utknęły. Zdaniem Roberta Biedronia Tusk z Hołownią są na siebie obrażeni, a w tej sytuacji rozpoczęcie dyskusji o minimum programowym nie ma sensu.

Z powyższymi badaniami jest ten kłopot, iż ciężko je rozpatrywać w oderwaniu od efektu, jaki przynosi trwające od miesięcy przekonywanie, że tylko jedna lista ma sens. Prof. Jarosław Flis z UJ zwraca uwagę na najnowsze spektakularne wyniki Konfederacji i sugeruje, że są one napędzane z jednej strony wyraźnym dystansowaniem się tej partii od PiS, ale z drugiej – właśnie dyskusją o jednej liście. Jego zdaniem prawemu skrzydłu zwolenników PO, PSL i Polski 2050 jest bliżej do Konfederacji niż do Nowej Lewicy. Kiedy słyszą o jednej liście, gotowi są raczej przenieść swe głosy na Sławomira Mentzena. Jednocześnie konsekwentne przedstawianie PSL i Hołowni jako środowisk uniemożliwiających scalenie opozycji, wraz z ich własnym niezdecydowaniem i wewnętrznymi tarciami – ciągną ich notowania w dół.

Warto się zastanowić, na ile cytowane na wstępie badania sprawdzają aktualny stan opinii publicznej, a na ile same kreują rzeczywistość. ©℗

Koniec protestu osób z niepełnosprawnościami

CZUJEMY SIĘ zlekceważeni, ale nie uważamy tego, co się stało, za porażkę. Dostaliśmy się znowu do budynku Sejmu, co wcale nie jest takie łatwe, udało się też po raz trzeci sprawić, że o naszych problemach dyskutowała cała Polska – mówi przebywająca do niedawna na Wiejskiej Alicja Jochymek, mama niepełnosprawnej intelektualnie Kingi, których historię, w tym także trzy kolejne wizyty w Sejmie (w 2014 r., cztery lata później i teraz) opisywaliśmy w ostatnim czasie na łamach „Tygodnika". Kilkanaścioro pikietujących opuściło w piątek Sejm z powodu narastających problemów zdrowotnych (zasłabły m.in. dwie matki).

Rzeczywiście, protest po raz kolejny wywindował problemy niepełnosprawnych na czołówki portali, ale na tym sukcesy sejmowej grupy, na czele z posłanką Koalicji Obywatelskiej Iwoną Hartwich, się kończą. Władza, reprezentowana przez wiceministra rodziny i polityki społecznej Pawła Wdówika, ograła protestujących, lekceważąc postulat podniesienia renty socjalnej z ponad 1,5 tys. brutto do prawie 3,5 tys. brutto, za to obiecując po rozmowach z innymi przedstawicielami tego środowiska tzw. świadczenie wspierające – ci z największymi potrzebami, uzależnieni od innych, mają dostać między ok. 800 a 3 tys. (czy świadczenie obejmie dorosłe dzieci protestujących do niedawna w Sejmie, nie wiadomo).

– Zrobiliśmy krok w tył, by w odpowiednim momencie wykonać dwa do przodu – podsumowuje Alicja Jochymek, zapowiadając kolejne akcje. ©℗ PW

Polski złoty banków się nie boi

MAREK RABIJ

Nasza waluta przyzwyczaiła nas, że w czasach burzliwych dla gospodarki gwałtownie traci na wartości do dolara, euro czy franka szwajcarskiego. Taki już los – komentowali ekonomiści – użytkowników złotego: w oczach międzynarodowych inwestorów nadal uchodzi za walutę kraju na dorobku, której lepiej pozbyć się z portfela, kiedy na horyzoncie majaczą czarne chmury. Tym razem złoty pozytywnie zaskoczył. W dniach, kiedy świat ze strachem śledził kolejne upadłości banków w USA i drżał o stabilność europejskiego systemu bankowego, nasza waluta zachowywała się spokojnie. Symboliczne zmiany jej kursu do dolara i euro nie odbiegały od obserwowanych w poprzednich tygodniach. Więcej, kiedy ze Szwajcarii zaczęły płynąć informacje o problemach Credit Suisse (doprowadziły *de facto* do jego upadłości), złotówka zaczęła wręcz zyskiwać do franka.

Ekonomiści wciąż spierają się, czemu nasza waluta zawdzięczała tę stabilność. Część z nich uważa, że wskutek wojny w Ukrainie złoty potaniał już tak bardzo, że nie ma potencjału do głębszych obniżek. Inni zwracają uwagę na charakterystykę polskiego systemu bankowego, który podlega ostrzejszym regulacjom niż szwajcarski oraz amerykański. Albo na szeroki strumień pomocy wojskowej i gospodarczej, który z Zachodu płynie do Ukrainy przez Polskę (część zleceń, choćby remont sprzętu dla ukraińskiej armii, realizowana jest w naszym kraju) i umacnia kurs złotego do dolara czy euro.

Są wreszcie analitycy, którzy w stabilności polskiego pieniądza dostrzegli dowód na to, że duże banki inwestycyjne i fundusze spekulacyjne, śledząc zacieśniającą się współpracę Polski z USA, postanowiły przerzucić złotego z koszyka walut krajów rozwijających się do koszyka walutowego państw rozwiniętych. Pojawiają się nawet sugestie, że rynek przygotowuje się już do zaostrzenia konfliktu gospodarczego USA z Chinami. Efektem tej rywalizacji może być przeniesienie dużej części amerykańskiej produkcji z Dalekiego Wschodu do politycznie bardziej przewidywalnych regionów świata, w tym do Europy Środkowo-Wschodniej. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

ROŚLINY

Na konferencji prasowej wiceministra klimatu i środowiska oraz dyrekcji Lasów Państwowych urzędnicy przekonywali dziennikarkę „GW", że „nie ma czegoś takiego jak Puszcza Karpacka", mimo iż nazwa ta figuruje na stronie internetowej LP. Wycinka cennego drzewostanu będzie trwać, za to Lasy zaangażują się w kampanię wyborczą, w której (cytujemy dyrektora Józefa Kubicę) „prawica pokaże swą wielką moc".

ZWIERZĘTA

Na półtora roku pozbawienia wolności Sąd Rejonowy w Piszu skazał dwoje rolników oskarżonych o znęcanie się ze szczególnym okrucieństwem nad własnym stadem bydła. Wyrok nie jest prawomocny.

LUDZIE

Z badań World Happiness Report wynika, że na liście najszczęśliwszych narodów zajmujemy 39. miejsce (prowadzą Finowie). Za wystarczający do szczęścia dochód netto 18 proc. badanych Polaków uznało 4690 zł, 36 proc. – 9380 zł, a 23 proc. – 14 070 zł.

GRZEGORZ WAJDA / REPORTER

PIŁKARZE

23 sekundy zajęło Czechom strzelenie nam pierwszej bramki w debiutanckim meczu polskiej reprezentacji piłkarskiej pod wodzą Fernando Santosa (na zdjęciu). Na trybunach w Pradze był premier Morawiecki, można jednak domniemywać, że w związku z porażką 1:3 temat słynnej premii dla zawodników został ostatecznie pogrzebany.

Pogodzić pracę z dzieckiem

ŚWIADCZENIE dla młodych matek chcących wrócić na rynek pracy, ochrzczone mianem „babciowego", to nowa jakość. Politycy dostrzegli, że wychowywanie samo w sobie stanowi pracę, za którą należy się wynagrodzenie.

W Polsce macierzyństwo wciąż nie idzie w parze z aktywnością zawodową. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej młode kobiety słyszą: „A czy planuje pani dzieci?". Z kolei po urodzeniu dziecka, z każdym rokiem powrót na rynek pracy jest trudniejszy. Pracownicom wracającym z urlopu macierzyńskiego bądź wychowawczego proponuje się zatrudnienie w mniejszym wymiarze godzin i często na gorzej płatnym stanowisku albo po prostu się je zwalnia po okresie ochronnym. Dlatego PO postuluje wypłacanie kobietom chcącym wrócić do pracy 1500 zł. Za te pieniądze matka może opłacić żłobek, nianię albo poprosić o opiekę nad dzieckiem kogoś z rodziny. „Babciowe" przynajmniej w pewnym stopniu mogłoby pogodzić pracę z wychowywaniem potomstwa.

Poruszającą książkę napisała Magda Moskal, matka trojga dzieci. W „Emil i my" pisze o radości, ale i „znoju macierzyństwa". Postuluje, byśmy zmienili swoje myślenie o pracy opiekuńczej, nauczyli się nie tylko ją zauważać, ale i wynagradzać. Nie chodzi tylko o matki. Dlaczego nianie mają wykonywać ją na czarno, a babcie i dziadkowie wyłącznie nieodpłatnie? © MAŁGORZATA NOCUŃ

Odmowa diagnozowania, dyskryminacja i poniżanie

FOTEL GINEKOLOGICZNY skonstruowano z myślą o kobietach, nie o wielorybach". „Powinna pani zastosować dietę MŻ: mniej żreć". „Stwierdziła, że pewnie mąż się mnie wstydzi". „Kazała mi żyć, jak ludzie żyli w Auschwitz, bo tam nikt nie wyglądał tak paskudnie". To kilka wyimków z raportu na temat fatfobii – dyskryminacji ze względu na wagę – w ochronie zdrowia. Analizę na podstawie 1200 ankiet przygotowały twórczynie podcastu „Vingardium Grubiosa" – prawniczka Natalia Skoczylas i kulturoznawczyni Urszula Chowaniec.

Relacje obnażają zaniedbania systemowe: lekarze mają skłonność do sprowadzania problemów zdrowotnych osoby otyłej do nadmiernej wagi – i nie prowadzą diagnostyki lub odmawiają leczenia. „Nieważne, czy przychodziłam z grypą, zapaleniem ucha (...), niemal zawsze zaczynało się od uwag na temat mojej wagi" – to powtarzająca się historia. Dotyczy to także chorób reumatycznych, skóry, układu krążenia itd. Autorki formułują listę rekomendacji, m.in. pracę edukacyjną i antydyskryminacyjną.

©℗MACIEJ MÜLLER

ALAIN JOCARD / AFP / EAST NEWS

FRANCJA: PREZYDENT W OPAŁACH. Podwyższenie wieku emerytalnego z 62 do 64 lat oraz sposób, w jaki przeprowadził je rząd (z ominięciem parlamentu, używając bezpośrednio zapisu konstytucji), wywołały największe od 2019 r. protesty we Francji. W miniony weekend związki wezwały do kolejnej, już dziesiątej rundy strajków. Demonstracje trwają też w mniejszych miejscowościach. W państwie, którego ustrój oparty jest na władzy prezydenta, kryzys coraz wyraźniej zamienia się w konflikt setek tysięcy Francuzów z Emmanuelem Macronem. Na zdjęciu: protest w pobliżu paryskiej opery, 23 marca 2023 r. ©℗ ŻYM

TikTok: czy kongresmeni wiedzą, jak działa internet

JEŚLI PRZESŁUCHANIE prezesa TikToka w amerykańskim Kongresie miałoby przesądzać o przyszłości tej aplikacji w USA, byłoby już po sprawie. Bynajmniej nie dlatego, że Shou Zi Chew udzielał choćby o jotę bardziej wymijających odpowiedzi niż zeznający tam wcześniej prezesi Google'a czy Facebooka. Gdy tylko włączono kamery, kongresmeni zaczęli prześcigać się w oskarżeniach pod adresem TikToka. Odpowiedziami nie byli jednak zainteresowani.

O tym, z jakiej pozycji startował Chew, najlepiej świadczy oświadczenie przewodniczącej komisji Cathy McMorris Rodgers, że TikTok powinien w USA zostać całkowicie zbanowany. Podziały partyjne nie miały znaczenia. „Panie Chew, witamy w najbardziej ponadpartyjnej komisji w kongresie", drwił Republikanin Earl „Buddy" Carter, a wtórował mu Demokrata Tony Cárdenas dodając: „Jest pan jedną z niewielu osób, które zdołały zjednoczyć tę komisję".

Później członkowie komisji przerywali wypowiedzi Chew, mówiąc wprost, że mu nie wierzą. Republikanin August Pfluger był oburzony, że aplikacja na podstawie zebranych danych dostosowuje treści do upodobań użytkowników. Carter chciał wiedzieć, czy TikTok na podstawie danych biometrycznych ustala wiek użytkowników, a później kamera telefonu śledzi rozszerzenie źrenic w celu ich identyfikacji. Richard Hudson zarzucał TikTokowi, że „uzyskuje dostęp do domowej sieci wi-fi". Użytkownicy platformy zareagowali prześmiewczymi filmami, w których zastanawiają się, czy kongresmeni wiedzą, jak działa internet.

To, jak TikTok zbiera i wykorzystuje dane, od lat budzi poważne obawy. Jest wiele poszlak świadczących o tym, że mogą z nich korzystać chińskie władze – spółką macierzystą TikToka jest chińska Bejing ByteDance Technology Co Ltd., a chińskie prawo daje służbom nieograniczony dostęp do zebranych danych.

Chew próbował wyjaśniać, że TikTok jest „międzynarodową firmą" z siedzibą w Szanghaju i Los Angeles, a w jej radzie nadzorczej jest więcej obywateli USA niż Chin. Podkreślał, że dane Amerykanów są już przenoszone na serwery firmy Oracle w Teksasie. Nikt go jednak nie pytał o szczegóły.

Wygląda na to, że TikTok znalazł się na linii ognia między Waszyngtonem a Pekinem, których stosunki coraz bardziej się pogarszają. Wobec argumentów, że jest „przedłużeniem partii komunistycznej", Chew wydawał się bezradny. Jego przesłuchanie w kongresie nie ujawniło jednak żadnych nowych związków TikToka z chińskim rządem. Nie wykazało też nic nowego w sprawie zagrożenia, jakie ta platforma może stanowić. Było politycznym show, które po raz kolejny obnażyło, jak bardzo politycy nie są przygotowani do rozwiązywania realnych problemów wirtualnego świata.

© AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Polska i Izrael: uścisk dłoni

ATAK NA SPORTOWCÓW podczas igrzysk w Monachium w 1972 r. był kluczowym momentem w historii Izraela. Nieudolna akcja niemieckiej policji przekreśliła zaufanie do zagranicznych służb. Do dziś delegacje izraelskie – czy to polityków, czy licealistów – mają za granicą własną ochronę. W przypadku wycieczek do Polski nie była ona nigdy celowym działaniem na szkodę polskiego wizerunku, lecz ochroną przed potencjalnymi zamachami.

Ogłaszając porozumienie ws. organizacji wycieczek szkolnych, w którym Polska bierze na siebie odpowiedzialność za ochronę izraelskiej młodzieży, nasi politycy muszą mieć świadomość realności zagrożenia. Polskie służby nie mają takiego doświadczenia jak Izraelczycy. Deklaracja, że ochrona jest w tym przypadku zbyteczna, brzmi jak igranie z ogniem.

Treść umowy nie została jeszcze ujawniona. Może i lepiej – bo jakiekolwiek porozumienie polsko-izraelskie z tematyką historyczną w tle będzie w obu krajach obarczone nieufnością i chęcią zaistnienia przed wyborcami. A przecież wspólnych interesów nie brakuje – zwłaszcza po zmianie gabinetu w Izraelu i odejściu nieprzychylnego wobec współpracy z Polską Jaira Lapida. Z nieoficjalnych informacji udzielonych przez Izraelczyków wynika np., że lęk przed irańską bronią tuż za wschodnią granicą Polski stał się argumentem na rzecz zjednoczenia sił. Takim, wobec którego na drugi plan wędrują nawet próby przekonywania się do historycznych racji.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
z Tel Awiwu

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjn

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

www.tokfm.pl

Biskupi zadecydowali za osoby transpłciowe

ARTUR SPORNIAK

Katolickiej służbie zdrowia nie wolno przeprowadzać zabiegów chirurgicznych lub chemicznych, które mają na celu przekształcenie cech płciowych ciała ludzkiego na cechy płci przeciwnej" – postanowiła Komisja Doktrynalna episkopatu USA. Kościół katolicki w Stanach to największa organizacja non-profit patronująca służbie zdrowia, prowadzi ponad 600 szpitali i 1600 placówek zdrowotnych, więc ograniczenie nowoczesnej pomocy dla osób z dysforią płciową jest znaczące. Krytycy zarzucają biskupom, że nota nie była konsultowana z osobami, których dotyczy.

Magisterium Kościoła bagatelizuje tzw. płeć psychologiczną (odczuwaną). Papieska Rada ds. Duszpasterstwa Służby Zdrowia już w 1995 r. stwierdziła, że „nie można naruszać integralności fizycznej osoby w celach leczenia zła o pochodzeniu psychicznym lub duchowym". Jeśli występuje niezgodność między płcią biologiczną a odczuwaną, zawsze właściwa jest ta pierwsza. Skąd to wiadomo i dlaczego tak łatwo przychodzi Kościołowi ignorowanie cierpienia osób transpłciowych?

Ważniejsza od rzeczywistości okazuje się doktryna. Nie jest ona jednak dana „z góry" – jej historyczne źródła pokazuje nota: to pochodząca sprzed 24 wieków metafizyka Arystotelesa, za którą biskupi powtarzają, że „dusza nigdy nie może być w niewłaściwym ciele". To ujęcie jest oczywistym anachronizmem, ale Kościół – uwikłany w wojnę kulturową – nie ma czasu na uaktualnienie wiedzy o człowieku. ©℗

Z dworu na ołtarze

SZALONA OD SAKRAMENTU – taki przydomek nadał papież Juliusz II Teresie Enríquez. 23 marca Franciszek upoważnił Dykasterię Spraw Kanonizacyjnych do promulgowania dekretu o heroiczności jej cnót.

Jak podkreśla iberystka dr Julia Lewandowska, Teresa potrafiła wykorzystać zmiany kulturowe epoki humanizmu i stworzyć nowy wzorzec aktywności kobiety w sferze publicznej i kościelnej. Urodziła się jako nieślubna córka admirała z królewskiego rodu, była damą dworu Izabeli Kastylijskiej. Po śmierci królowej zamieszkała w rodzinnym pałacu i prowadząc życie *quasi*-zakonne poświęciła się reformie Kościoła. Założyła Bractwo Najświętszego Sakramentu. Centrum jej duchowości stanowiły: idea powszechnego zbawienia, eucharystia, miłosierdzie i modlitwa za dusze czyśćcowe. Dzięki rodzinnemu majątkowi organizowała systemową pomoc dla ubogich. Postulaty jej kanonizacji pojawiały się od przełomu XIX/XX wieku. ©℗ MAM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

REFORMA

Papież uaktualnił i definitywnie promulgował list apostolski „Vos estis lux mundi", który w 2019 r. wprowadzał „ad experimentum" normy nakładające kary na biskupów i przełożonych zakonnych tuszujących pedofilię. W nowej wersji m.in. rozszerzono odpowiedzialność także na świeckich moderatorów międzynarodowych stowarzyszeń wiernych.

MĘCZEŃSTWO

„Jeżeli w dowodzeniu procesu beatyfikacyjnego osiągniemy pewność moralną, że zabójstwo ks. Blachnickiego to męczeństwo złożone za wiarę, w co ja osobiście jako postulator jego procesu beatyfikacyjnego głęboko wierzę, otworzy to bezpośrednio drogę do beatyfikacji, bez konieczności oczekiwania na cud" – powiedział bp Adam Wodarczyk, odnosząc się do wyniku śledztwa IPN.

POSŁUSZEŃSTWO

Ks. Dominik Chmielewski nie jest już moderatorem założonego przez siebie ruchu „Wojowników Maryi". Dwa lata temu specjalny zespół powołany przez episkopat wykazał liczne błędy w nauczaniu salezjanina. „Ksiądz Dominik Chmielewski zapoznał się z raportem i stosuje się do uwag" – poinformowały władze zakonu. O kontrowersyjnym duchownym pisał Tomasz Terlikowski: powszech.net/chmielewski.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

KS. WOJTEK KUBISIAK, PROBOSZCZ

Widzieć skrzywdzonych, dostrzec ich ból

EDWARD AUGUSTYN: Postanowił Ksiądz przekazywać 10 proc. z niedzielnej tacy na fundusz Zranionych w Kościele. Skąd taki pomysł?

ARCHIWUM PRYWATNE

KS. WOJTEK KUBISIAK: Zrodził się w atmosferze ostatnich wydarzeń i dyskusji. Pomyśleliśmy, że na pierwszym miejscu trzeba postawić tych, którzy zostali skrzywdzeni. Żeby poczuli, że są widziani ze swoim bólem. Chodziło o prosty gest. Nie przypuszczałem, że wyniknie z tego taki medialny hałas, bo przecież mówimy o niewielkiej, symbolicznej kwocie. Jesteśmy maleńką, wiejską parafią, która liczy 700 osób.

Wszyscy się zgodzili?
Przedstawiłem pomysł w ogłoszeniach parafialnych, zaprosiłem do rozmowy. Wylewności w odzewie nie było, bo jesteśmy raczej ludźmi powściągliwymi, ale kilkanaście osób wyraziło swoje zdecydowane poparcie. Nikt się nie sprzeciwił.

Kwota może symboliczna, ale dla parafii pewnie odczuwalna.
Oczywiście, u nas każdy grosz jest ważny. Ale jesteśmy parafią, której charyzmatem jest empatia. Dostrzeganie i reagowanie. Konkretne. Od zawsze wspieramy ludzi, którzy znaleźli się w potrzebie. Ostatnio rodzinę z sąsiedniej wioski, która w pożarze straciła dom. Ale też wolontariuszy na granicy białoruskiej.

Jak reagują na pomysł inni księża?
Na razie żadnych reakcji nie było, bo to świeża sprawa. Natomiast odbiór wśród moich świeckich znajomych, a są też wśród nich osoby skrzywdzone w Kościele, jest bardzo pozytywny.

KS. WOJTEK KUBISIAK *jest od 15 lat proboszczem parafii Krzelków-Czerńczyce na Dolnym Śląsku. Wcześniej był kapelanem więziennym i duszpasterzem Romów.*

KULTURA W SKRÓCIE

KOCUR W BRATYSŁAWIE

„Chleb i sól" Damiana Kocura został doceniony Nagrodą Specjalną podczas Międzynarodowego Festiwalu Filmowego FebioFest w Bratysławie. W marcu br. Kocur odebrał także Polską Nagrodę Filmową Orły w kategorii odkrycie roku. Nasza rozmowa z reżyserem na stronie powszech.net/kocur.

AOKZ W ŁODZI

Przy Włókienniczej 3 w Łodzi powstała nowa galeria sztuki AOKZ, czyli Artokiełzanie. Inaugurujący jej działalność wernisaż wystawy „50 dialogów ze sztuką z kolekcji AOKZ" odbędzie się 1 kwietnia. Przez dwa kolejne tygodnie będzie można oglądać bezpłatnie 50 prac 30 polskich artystów, w tym m.in. Zbigniewa Libery, Marcina Maciejowskiego, Karola Palczaka, Karola Radziszewskiego, Wilhelma Sasnala i Aleksandry Waliszewskiej.

MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

ZASŁONY W ORAWCE

Odwiedzający zabytkowy kościół w małopolskiej Orawce będą mieli natomiast okazję do podziwiania czterech unikatowych w skali światowej zasłon wielkopostnych. Malowane w motywy pasyjne tkaniny przysłaniają ołtarze w czasie Wielkiego Postu. W tym roku do 2 kwietnia prezentowane będą wszystkie cztery zasłony, w tym najstarsza, XVII-wieczna „Pieta pod krzyżem" (na zdjęciu).

MATERIAŁY PRASOWE KOLLER INTERNATIONAL AUCTIONS

TRINITY IDZIE POD MŁOTEK. Ma prawie 4 metry wzrostu, ok. 67 mln lat i składa się z blisko 300 kości, które należały do trzech osobników kultowego *Tyrannosaurus rex,* odnalezionych między 2008 a 2013 r. Trinity to trzeci szkielet króla dinozaurów, jaki zostanie zlicytowany. I pierwszy, który postawi stopę w Szwajcarii – ojczyzną tego gada była Ameryka Północna. Organizatorzy aukcji, która odbędzie się w kwietniu w Zurychu, ostrożnie szacują, że Trinity jest wart od 5 do 9 mln dolarów. W 1997 r. kości Sue sprzedano za 8,4 mln dol., a w 2020 r. Wydział Kultury i Turystyki w Abu Zabi potajemnie nabył Stana, najbardziej kompletny szkielet tego gatunku (zachowało się ok. 70 proc.) za 31,8 mln dol. ©℗ ŁK

Uracyl na Ryugu

CHEMICZNIE jest dość niepozorną cząsteczką – składa się z czterech atomów węgla i wodoru oraz dwóch azotu i tlenu – ale może pełnić ważną funkcję. Uracyl jest bowiem jedną z zasad azotowych budujących RNA, a więc nośnikiem informacji genetycznej. Skąd się wziął na Ziemi? Być może z kosmosu.

W 2018 r. sonda Hayabusa 2 pobrała przeszło 5 gramów materii z asteroidy Ryugu i po dwóch latach dostarczyła ją w zapieczętowanej kapsule na Ziemię. Ryugu to kilometrowy kawałek skały krążący wokół Słońca w pobliżu Ziemi. Znajduje się w tzw. grupie Apolla, z której pochodzi większość spadających na Ziemię meteorytów. Japońscy badacze właśnie ogłosili w „Nature Communications", że w tej próbce wykryli m.in. uracyl i witaminę B3.

Już wcześniej składowe RNA i DNA znajdowano w meteorytach, ale nie dało się wykluczyć, że było to ziemskie zanieczyszczenie. Teraz zdobyliśmy dowód na to, że ważne dla życia molekuły występują w kosmosie. I mogą być stare jak Układ Słoneczny, na którego obrzeżach Ryugu powstała. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Matematyczny Nobel za złagodzenie osobliwości

NAGRODĘ ABELA, nazwaną na cześć XIX-wiecznego norweskiego matematyka Nielsa Henrika Abela, przyznaje corocznie Norweska Akademia Nauk i Literatury. Towarzyszy jej czek na 7,5 mln koron (ok. 3 mln zł).

W tym roku otrzymał ją Argentyńczyk Luis Caffarelli z Uniwersytetu Teksańskiego w Austin. Nazwany przez „Guardiana" „Messim matematyki", Caffarelli wniósł gigantyczny wkład w teorię równań różniczkowych, które od czasów Newtona i Leibniza są podstawowym narzędziem modelowania najróżniejszych zjawisk fizycznych – od spadającego kamienia po rozszerzanie się Wszechświata. Do najtrudniejszych tego typu równań należą sformułowane już 200 lat temu tzw. równania Naviera-Stokesa opisujące dynamikę cieczy i gazów, które są szeroko stosowane w inżynierii i meteorologii. Nie chodzi tylko o to, że trudno je rozwiązać – wciąż nie wiadomo nawet, czy ich rozwiązania zawsze istnieją i nie zawierają tzw. osobliwości, czyli punktów, w których rozwiązanie staje się fizycznie bezsensowne. Caffarellemu udało się jednak znacząco złagodzić ten problem. Wykazał, że osobliwości, nawet jeśli są dopuszczane przez równania Naviera-Stokesa, to są „łagodne" i nie wpływają na praktyczną stosowalność tych ostatnich. Inżynierowie zajmujący się hydro- i aerodynamiką mogą spać spokojnie. © TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

WOJNA PAPIESKA

Dziś postać papieża Polaka jest gotowa na przyjęcie wszystkiego, co jego czciciele i wrogowie zechcą wpisać w tak ogólne pojęcia jak Polska, Kościół, demokracja. I Jan Paweł II musi za to zapłacić.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Przypomnę: sześć lat temu, 18 lutego 2017 r. w Teatrze Powszechnym w Warszawie odbyła się premiera „Klątwy" według dramatu Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Olivera Frljicia. Przedstawienie wywołało gwałtowne protesty i stało się jednym z najgłośniejszych polskich skandali teatralnych ostatnich dekad, głównie za sprawą jednej z początkowych sekwencji, w której na scenie pojawiła się teatralna kopia standardowego do banału pomnika Jana Pawła II. Najpierw była adorowana aż do najdosłowniejszej realizacji trywialnej formy uwielbienia – jedna z aktorek markowała fellatio na doczepionym do figury sztucznym penisie. Potem na posągu zawieszano tabliczkę z napisem „Obrońca pedofili" i tak napiętnowany wieszano na szubienicy. Adoracja przechodziła w całkowite odrzucenie.

Pamiętam, że oglądając tę scenę poczułem fizyczne drżenie. Był to symptom wskazujący, że zaatakowane zostało coś, co dla mnie jest ważne, wartościowe, cenne. Teatr jest miejscem i narzędziem takich wzburzeń, sprawdzających, co jeszcze drży w nas, gdy zostanie zaatakowane, a więc – co w nas jeszcze żywe.

Dziś tamta scena sprzed sześciu lat streszcza to, co właśnie się dzieje w tak zwanej rzeczywistości (zaraz dodać trzeba podważający jej realność przymiotnik) medialnej. Doprowadzona do karykatury adoracja przechodzi w napiętnowanie, a w tych, dla których Jan Paweł II nie jest tylko figurą, znów albo drżą filary, albo wzmaga się utożsamienie z nim.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Pomnik Jana Pawła II przed kościołem św. Jadwigi w Pszczynie, 20 marca 2023 r.

Dramat i ikona

Nie wiemy, jakie będą skutki obecnego dramatu papieskiego, ale już widać, że jego poszczególne ogniwa zmieniają swoje znaczenia, a nawet sposoby istnienia w zależności od tego, jakie reakcje wywołują. Dotyczy to przede wszystkim dokumentu Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3", który po emisji na antenie TVN na początku marca wywołał tak gwałtowną i spektakularną reakcję antagonistów medialnych i politycznych, że w jej efekcie zamienił się z sensacyjnego filmu śledczego stawiającego pytania w „atak na świętość wielkiego papieża Jana Pawła II", a po chwili w brutalną i inspirowaną przez „obcych" napaść na fundamenty narodowej tożsamości i Polskę jako taką.

Wszystko to stało się praktycznie w ciągu jednego dnia, 9 marca, gdy – jednak dość niespodziewanie – głos postanowił oficjalnie zabrać Sejm. Dzięki poparciu większości parlamentarnej przyjęta została specjalna uchwała, potępiająca „medialną nagonkę" i przeciwstawiająca się próbom zniszczenia „wizerunku człowieka, którego cały wolny świat uznaje za filar zwycięstwa nad imperium zła". Głosowaniu towarzyszyła szczególna spektakularna akcja – popierający uchwałę posłanki i posłowie prawicy stali, trzymając w dłoniach ikoniczne wizerunki świętego.

Co znamienne, w uchwale najwięcej miejsca poświęca się powtarzaniu twierdzeń, że Jan Paweł II „zajmuje szczególne miejsce w historii Polski i Europy", „jest wielkim autorytetem dla Polaków oraz społeczeństw całego świata", „był niestrudzonym orędownikiem praw człowieka i obrońcą ubogich we wszystkich zakątkach świata", zaś „myśli zawarte w Jego nauczaniu pozostają ważnymi wskazówkami w zakresie kształtowania życia społecznego". Te natrętne powtórzenia wielkich słów podniesione do rangi sejmowej uchwały o szczególnej oprawie, przyjętej jako odpowiedź na zarzuty dotyczące czegoś zupełnie innego, mogłoby rodzić podejrzliwość: skoro trzeba przypominać niekwestionowane dotąd zasługi Jana Pawła II, to może jednak w świetle oskarżeń o pobłażliwość wobec księży-pedofilów one też tracą swoją moc?

Tego samego dnia wieczorem marszałek Sejmu Elżbieta Witek wygłosiła w TVP orędzie, które pod względem monstrualizacji przeciwnika i zaklinania rzeczywistości wielokrotnie przebijało uchwałę sejmową. Szczerze mówiąc nie wierzyłem własnym uszom, gdy słyszałem, że „Jan Paweł II jest dla nas, dla Polaków tym, co nas jednoczy i spaja", a jego portret to jedno z czterech „wspólnych insygniów tożsamości" niezależnych od wyznawanej wiary i poglądów. Według Witek te cztery insygnia to „nasz orzeł biały, biało-czerwona flaga, obraz Matki Bożej Częstochowskiej i portret Jana Pawła II. W najtrudniejszych czasach to właśnie te symbole trzymały nas przy życiu, trzymały nas razem, dawały nadzieję na wolną, niepodległą Polskę". Nie spodziewam się wiele po polityce tożsamościowej Zjednoczonej Prawicy, ale stwierdzenie, że kto nie czci Jana Pawła II jak godła i flagi narodowej (nie mówiąc już o Matce Boskiej, przeciwko zrównaniu z którą protestowałby zapewne sam tak niefortunnie broniony), ten nie należy do grona „nas, Polaków", jednak mnie zaszokowało. I teologicznie, i historycznie, i racjonalnie jest to absurd, jeśli nie herezja. Nie słychać jednak, by strona kościelna lub intelektualiści prawicowi oponowali.

Jak się bowiem po raz kolejny okazało – irracjonalne szarże prawicy działają. Wygląda na to, że jako element doraźnej polityki uchwała Sejmu i orędzie marszałek Witek są skuteczne. Większość społeczeństwa nie chce słyszeć ↦

↦ o jakiejkolwiek krytyce osoby, w której kult i autorytet inwestuje od lat. Najnowsze badania opinii społecznej wykonane przez IBRiS pokazują, że procent Polaków, dla których Jan Paweł II jest autorytetem, w grudniu 2022 r. wynoszący 58 proc., po publikacji filmu Gutowskiego wzrósł do 65 proc., a następnie do 72 proc. Wygląda więc na to, że zamiast krytycznego myślenia wywołującego niepokój, większość rodaków woli poczucie stabilizacji i zakorzenienia. Rzecz w dzisiejszym świecie wcale nie dziwna, ale jednak wciąż zastanawiająca.

Pałuba

Obecna „wojna papieska" stanowi jaskrawy dowód, że Karol Wojtyła – Jan Paweł II, który był postacią wyjątkową i – jak wszystkie takie postacie – złożoną, działającą na dodatek w wyjątkowo skomplikowanych warunkach historycznych, został sprowadzony do wymiarów płaskiego obrazu, mocno trzymanego w rękach przez polityków (także kościelnych). Po uchwale Sejmu, wystąpieniu marszałek Witek i kolejnych manifestacjach staje się jasne, że walka nie toczy się o historyczną prawdę na temat człowieka, myśliciela, kapłana, męża stanu, duchownego i polityka. Walka dotyczy wizerunku, który dawno już został opróżniony z zawartości, a nawet oczyszczony z cech charakterystycznych i jest jak teatralny posąg z „Klątwy" – wykonany z gutaperki i pusty w środku. To nie pomnik i nawet nie figura, ale pałuba, chochoł o kształcie przypominającym kiedyś żyjącego człowieka.

Nie ukrywam – jestem wyczulony na zbiegi okoliczności: pierwsze notatki do tego tekstu zacząłem pisać 16 marca, w dniu rocznicy prapremiery „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego – dramatu narodowego, który ukazuje Polskę jako kraj we władzy chocholej klątwy. Przez lata rozważano, co też weselny Chochoł ma symbolizować. Ludzie pełni wiary i nadziei twierdzili, że okrywa on różę, a jego władza jest czasowa. Po 122 latach od pierwszego odprawienia dramatycznej wiwisekcji narodowej trudno jednak mieć wątpliwości – Chochoł niczego nie okrywa, jest pusty w środku, zaś jego władza i taniec napędzane są naszymi złudzeniami na temat nas samych.

Z kolei osiemnaście lat po śmierci Jana Pawła II i wielkich, rzeczywiście wspólnotowych rytuałach żałoby, które wywołała, nie sposób nie zauważyć, że papież Polak stał się kolejnym polskim chochołem – „malowanym obrazkiem", który trzyma się kurczowo w lęku przed tym, co mogłoby się ukazać i czym trzeba by zająć ręce, gdyby go z nich wypuścić. Oficjalny kult kościelny i państwowy, wzmocniony siłą rytualnego katolicyzmu i ceremonialnego patriotyzmu, na różne sposoby przyczynił się do tego, że postać Jana Pawła II została wypróżniona z istotnych treści jego nauczania i elementów postawy, którą przedstawiał i ustanawiał swoimi licznymi wystąpieniami.

> Należał do tradycji, której fundamentem była zgodność słów i czynów. Tu nawet ślad podejrzenia o działania niezgodne ze słowem rzuca cień na wszelkie słowa, zwłaszcza te najważniejsze.

Dziś postać papieża Polaka jest gotowa na przyjęcie wszystkiego, co w danym momencie jego czciciele i obrońcy zechcą wpisać w tak ogólne pojęcia jak Polska, Kościół, demokracja. I musi za to zapłacić.

Skrót klawiaturowy

Wrogów też to dotyczy, bo Jan Paweł II jest także pustą pałubą dla tych, którzy po rozpętaniu wojny o jego wizerunek przyjęli postawy obrazoburcze. To wizerunku dotyczy domaganie się przez posłanki lewicy „odjaniepawlenia" ulic i instytucji publicznych czy przeciwstawiająca ikonie bluźnierczy obraz okładka tygodnika „Nie", nie mówiąc już o setkach, jeśli nie tysiącach internetowych memów. I to właśnie memizacja debaty publicznej jest współodpowiedzialna za spotęgowanie procesu wytwarzania pałuby i poddawania zbiorowości jej władzy. Memy działają na zasadzie krótkotrwałego efektu wywołanego przez zestawienie obrazu i słowa. Są współczesną wersją dawnych emblematów, ale o przeciwnym wektorze – emblematy były narzędziami umacniania dominujących wyobrażeń i schematów wiedzy, podczas gdy najpopularniejsze memy służą ich kwestionowaniu lub braniu w nawias. Tak jak emblematy sprowadzały złożoną wiedzę do łatwo przyswajalnych kompozycji obrazowo-tekstowych, tak memy sprowadzają debatę społeczną do wymiany puent.

Przy wszystkich różnicach, oficjalny kult świętego i internetowe szyderstwa wspierają ten sam proces – wydrążania postaci Jana Pawła II i przekształcania jej w pustą skorupę, ambiwalentny totem plemiennych walk, który po usunięciu pierwotnych znaczeń każda ze stron interpretuje według własnych potrzeb, wkładając weń to, co dla niej najważniejsze. W ten sposób oderwana od historycznej postaci pałuba nabiera szczególnej wartości – choć pusta, jest tak cenna, że jej obrona wydaje się bezwzględnie konieczna.

Proces pałubizacji Jana Pawła II nie zaczął się z początkiem marca 2023 r. Toczył się jeszcze za jego życia, z czego sam Karol Wojtyła zdawał sobie chyba sprawę. Można znaleźć całkiem sporo jego (czasem ekscentrycznych) działań, które da się w tym kontekście interpretować jako próby oporu. Zdał się on niestety na nic – dziś, tak dla obrońców wizerunku papieża Polaka, jak i dla jego obrazoburców to, czego Karol Wojtyła – Jan Paweł II nauczał, co rzeczywiście robił – nie ma znaczenia. Straciła je przede wszystkim wiara w konieczność i moc ciągłej osobistej i społecznej pracy nad przemianą, współdziałania z duchem, który może odmienić oblicze ziemi.

Powtarzając słynne słowa z czerwca 1979 r. (otwierają one także sejmową uchwałę), czyni się z nich zaklęcie magiczne, jakiś duchowy skrót klawiaturowy, który ma działać sam przez się. Tymczasem było to wezwanie do nieustannego wysiłku codziennego nawracania, którego podstawowym warunkiem jest uczciwe mierzenie się z sobą. Tak rozumiana etyka i performatyka przemiany została w Polsce zastąpiona polityką podtrzymywania konfliktu i ceremonialnych aktów „obrony wartości". Pozorują one wierność chrześcijańskiej i romantycznej tradycji transformacji, ale w rzeczywistości stanowią ich zaprzecze-

nie i służą ich usunięciu z życia indywidualnego i zbiorowego.

Bez przebaczenia

Gdyby można całą „wojnę o papieża" sprowadzić do typowej dla współczesności walki na obrazy i ceremonie, sytuacja tych, dla których on sam wciąż jest ważny, byłaby całkiem prosta. Wystarczałoby, jak dotąd, dystansować się od sprowadzania Jana Pawła II do ikony/ /memu i próbować działać na rzecz kontynuacji i wprowadzania w życie tych elementów programu ewangelicznie pojmowanej solidarności, które uważa się za aktualne. Taka postawa pozwalałaby pozostać w opozycji do współczesnych strategii i taktyk politycznych, w praktyce zaprzeczających takim wartościom jak empatia, a przede wszystkim szacunek dla każdej osoby ludzkiej w jej konkretnym indywidualnym istnieniu.

Żyjemy w kraju (i świecie) rządzonym procesami zombizacji przeciwnika, którego czyni się potworem niepotrafiącym się komunikować, co najwyżej przypominającym człowieka, więc przeznaczonym do bezkarnej likwidacji. W wierności papieskiemu personalizmowi można by znaleźć i punkt oporu wobec tego procesu, i płaszczyznę możliwego odnowienia debaty, której warunkiem jest wysłuchanie, a nie zagłuszanie osób inaczej myślących i wykluczanie ich z grona „my". Opierając się na nauce świętego papieża, można by więc występować przeciwko jego rzekomym wyznawcom, takim jak obecna marszałek Sejmu.

Problem polega jednak na tym, że podstawowy warunek zachowania takiej postawy stanowi niezgoda na sprowadzanie Jana Pawła II do ikony, a to z kolei oznacza konieczność innego, nieceremonialno-wizerunkowego zmierzenia się z wynikami dziennikarskiego śledztwa inicjującego obecny dramat.

Maciej Gutowski i Ekke Overbeek, wyciągając dokumenty i świadectwa mające dowieść tezy, że „Jan Paweł II wiedział", podważają jednolity, świetlisty i apoteozowany wizerunek-pałubę papieża jako osoby nieomylnej i zawsze kierującej się najwyższymi zasadami etycznymi. Wbrew późniejszym spotęgowaniom medialnym i memicznym nie czynią przy tym z Jana Pawła II jakiegoś potwora czy amoralnego członka przestępczej organizacji, ale ukazują go jako człowieka, który w określonej sytuacji ze złożonych i niekoniecznie jasnych powodów podejmował działania dziś jednoznacznie potępiane jako „obrona pedofili", a więc stojące w jaskrawej sprzeczności z tym, co głosił.

> Zamiast etycznej pracy nad sobą, polską wspólnotą rządzi niepodzielnie mściwa praca nad innymi. Oznacza to eliminację z życia zbiorowego chrześcijaństwa jako religii przebaczenia.

Ta sprzeczność ma w przypadku Jana Pawła II szczególne znaczenie, ponieważ należał on do tradycji, która za jeden ze swych fundamentów uznawała zgodność słowa i czynu. „W słowie chęć tylko widzim, w działaniu potęgę..." – pisał jej prawodawca, a słowa te pozostają w mocy i sprawiają, że choćby ślad podejrzenia o działania tak bardzo niezgodne ze słowem, jak tuszowanie krzywdy dzieci, rzuca głęboki cień na wszelkie słowa, zwłaszcza te najważniejsze.

I tu – jak sądzę i czuję – przed tymi, dla których osoba, myśl i postawa Jana Pawła II były i są ważne, otwiera się najgłębsza i najciemniejsza szczelina. Stanowi ona radykalne przeciwieństwo „wojny o wizerunek", bo nie o wizerunek chodzi, ale o pewien model życia, o doświadczenie mierzenia się z jego realnością, której częścią nieusuwalną są błąd i grzech.

To prawda niby oczywista, ale obie strony obecnego konfliktu zdają się o niej zapominać (może to zapomnienie jest owego konfliktu prawdziwą stawką?): nawet największy człowiek nie jest doskonały i musi nieustannie uważać, by w chwili, której się nie spodziewa, utrata czujności, fałszywe rozpoznanie, poddanie cudzym wpływom lub „ogólnym uwarunkowaniom" nie doprowadziło do nieodwracalnego błędu, po którym żadne przeprosiny nie będą już wystarczające.

Tymczasem w kraju deklaratywnie chrześcijańskim, wszystkie strony wszystkich konfliktów żywią ten sam bezwzględny dogmatyzm etyczny, niedopuszczający żadnego wybaczenia, żadnego zrozumienia dla cudzych słabości. Ten sam dogmatyzm, który jest siłą napędową mediów społecznościowych.

Zamiast etycznej pracy nad sobą, polską wspólnotą rządzi niepodzielnie mściwa praca nad innymi – nad wytworzeniem, podtrzymaniem i wykorzystaniem figury przeciwnika jako nie-osoby godnej jedynie potępienia i to potępienia całościowego. Jeśli czegoś naprawdę nie ma w praktyce życia publicznego, to szansy na zrozumienie i wybaczenie. Możliwe jest tylko wyparcie i zaparcie się siebie, skutkujące projektowaniem na innych własnych błędów i przewin. Ten fundamentalny brak oznacza praktyczną eliminację z życia zbiorowego chrześcijaństwa jako religii przebaczenia. To on skazuje nas na tkwienie w fikcji etycznej nieskazitelności pod sankcją odmowy wszelkich praw. To on wypróżnia nas z nas samych, zamieniając w wizerunkowe pałuby, ikony i memy.

Jeśli w obecnej wojnie papieskiej można znaleźć choćby cień nadziei, to wiązałbym ją z nikłą, ale jednak istniejącą szansą na przypomnienie podstawowej prawdy chrześcijaństwa, a przede wszystkim jego podstawowej nadziei – na wybaczenie zrozumianych win. By szansy tej nie zmarnować, niepotrzebne są sejmowe uchwały, orędzia, deklaracje na konferencjach prasowych i marsze, które i tak nie zagłuszą już wypowiedzianych wątpliwości.

Potrzebne jest coś dokładnie odwrotnego – otwarcie archiwów, wyświetlenie wszystkich przypadków, wysłuchanie pokrzywdzonych, wyznanie wszystkich błędów – praca ogromnie trudna, ale konieczna. Bo dopiero po jej wykonaniu będzie można wypowiedzieć w imieniu Jana Pawła II najbardziej ludzką prośbę możliwą do sformułowania tylko wtedy, gdy wszystkie role zostaną odegrane i zdemaskowane: „Jak sami chcecie grzechów odpuszczenia,/ Tak mi przebaczcie moje przewinienia". I dopiero wtedy można będzie zapytać, czy świętym się jest ze względu na społecznie pożądaną i projektowaną nieskazitelność, czy też się nim staje, podnosząc się z upadku.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Warszawa, 15 marca 2023 r.

Czy Jan Paweł II wygra wybory

MARCIN DUMA, PREZES IBRIS:

Dla większości Polaków atak na papieża to atak na ich tożsamość, i to żywą tożsamość. Jan Paweł II był nie tylko przywódcą religijnym, jego wielkość wykraczała szeroko poza ten aspekt.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy zdziwiła Pana reakcja Polaków na reportaż TVN i książkę Ekke Overbeeka? Przez pierwsze dwa dni niektórym komentatorom wydawało się, że ta historia zrujnuje nie tylko wizerunek Jana Pawła II, ale wręcz cały Kościół. Szybko się to odwróciło.

MARCIN DUMA: Według naszych badań świadomość istnienia filmu dotyczy ok. 60 proc. Polaków, książka natomiast ma śladowy wpływ na opinię publiczną. W tej sprawie zresztą w ogóle nie chodzi o Kościół. W grudniu IBRiS badał percepcję tej instytucji oraz samego Jana Pawła II w naszym społeczeństwie. Było to przed reportażem, ale w sytuacji, w której znaliśmy już zarzuty co do postawy polskiego papieża.

Wnioski z badań były dość jednoznaczne: Jan Paweł II jest jednym z konstytutywnych elementów tożsamości Polaków, poczucia ich godności, immanentną częścią opowieści o uwolnieniu się od komunizmu i ważnej roli Polski w historii świata. Karol Wojtyła to Polak, który został papieżem, a zarazem papież, który pozostał Polakiem. Uważamy go za postać wyjątkową. Kościół zaś postrzegamy inaczej.

Czy to znaczy, że wizerunek papieża Polaka i instytucji Kościoła to dwie różne sprawy?

Zupełnie różne. Ci sami ludzie, którzy potrafią być niezwykle krytyczni wobec Kościoła i nie mają zamiaru mu wybaczać, mają zupełnie inne podejście do Jana Pawła II. To jest postać z innego porządku. Papież był towarzyszem losu milionów z nas, często wręcz drogowskazem. Nawet jeśli nie był idealny, a jego poglądów np. na antykoncepcję albo aborcję nie podzielaliśmy, to uważamy, że jest powodem do dumy. Dla zburzenia jego pomnika w sercach większości Polaków potrzebny byłby zupełnie inny kaliber zarzutów.

Czyli ważymy racje w kontekście zasług jego dla Polski, ale też intymnego miejsca, jakie Jan Paweł II znalazł w umysłach wielu z nas?

Papież jest jedną z największych postaci polskiej historii. Jest jak Mieszko I, Kazimierz Wielki i inni wybitni królowie, jak Kościuszko i Piłsudski. Tyle że tamte postacie znamy z książek, a Jana Pawła II znacząca większość Polaków po prostu pamięta, był częścią ich życia i punktem odniesienia, nawet dla wielu niewierzących. Jego postać wiąże się z konkretnymi, osobistymi przeżyciami.

Jak wielu z nas tak uważa?

W grudniu 2022 r. zadaliśmy dorosłym respondentom pytanie, czy Jan Paweł II jest dla nich autorytetem. Twierdząco odpowiedziało 59 proc. osób. Kiedy w tak samo sformułowanym pytaniu pojawiał się zamiast papieża Kościół katolicki, podobnych odpowiedzi było tylko 36 proc. To ogromna różnica.

Badanie powtórzyliście kilka dni po emisji reportażu.

I już wtedy za autorytet uważało Jana Pawła II prawie 65 proc. Polaków, natomiast tydzień później, 18 marca, aż 72 proc. Widać wyraźnie, że film, a właściwie dyskusja, która po nim się wywiązała, wzmocniły przywiązanie do poddanej krytyce figury polskiego papieża.

Co ciekawe, kiedy w 2019 r. pojawił się reportaż braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu", kierunek zmian opinii publicznej był podobny, choć skala dużo mniejsza. Tam bowiem chodziło o przestępstwa księży i ukrywanie ich przez biskupów, ale nie było mowy o Janie Pawle II. Wtedy obudziła się jedynie konserwatywna Polska, teraz natomiast mamy do czynienia ze zjawiskiem znacznie szerszym.

Biorąc pod uwagę sondaże partyjne, 72 proc. to ponad dwa razy więcej, niż wynosi obecny elektorat partii władzy, która dziś gra rolę jedynego obrońcy dobrego imienia papieża. Ta strategia może przynieść sukces?

Może, ale proste przekładanie wierności wobec osoby Jana Pawła II na skokowy wzrost poparcia dla PiS nie ma sensu. Papież jest też istotną postacią dla wyborców PSL, Polski 2050 oraz PO, także tych liberalnych. Dla nich nie ma znaczenia, co mówił on o aborcji, antykoncepcji czy homoseksualizmie. Nawet jeśli o tym pamiętają, to łatwo jest im pomyśleć: „minęły prawie dwie dekady, może dziś uważałby inaczej?". Część ludzi sądzi też, że biorąc pod uwagę ówczesne normy etyczne oraz sposób organizacji Kościoła w czasach papieża Polaka, on zrobił i tak więcej, niż od niego wymagano. Pamiętajmy, że o pedofilii w tamtych czasach w zasadzie się nie mówiło.

To nie jest żadne usprawiedliwienie dla ludzi Kościoła, ale na przykład w latach 70. XX wieku również na lewicy, i to na demokratycznym Zachodzie, pojawiały się tendencje do obniżania wieku inicjacji seksualnej. Sprawa Romana Polańskiego, którego zresztą niektórzy do dziś bronią, nie wzięła się znikąd.

Powszechnie nie zdajemy sobie jednak sprawy z tych historycznych niuansów, większość z nas dostrzega aktualny kierunek zachodzących zmian i je akceptuje. Różne przemocowe zachowania, tolerowane jeszcze niedawno, są już dziś mocno i powszechnie piętnowane. Chcemy wierzyć, że i na te sprawy Karol Wojtyła patrzyłby dziś inaczej.

Czy mam rozumieć, że ta afera nie będzie aż takim paliwem wyborczym, jak się PiS wydaje?

Ta sprawa nie przeciągnie na stronę PiS tłumów wyborców tylko dlatego, że polski papież był i wciąż jest dla nich ważny. Ludzie raczej nie oddadzą głosu na prawicę, by zrobić na złość antyklerykalnym egzorcystom. Ważne jest co innego: zarzuty wobec Jana Pawła II pomogą zmobilizować elektorat PiS do liczniejszego uczestnictwa w wyborach, pod hasłem obrony przed brutalnym atakiem na świętość narodową i religijną. W dodatku ze strony telewizji, która ma ewidentnie opozycyjny wizerunek. Wcześniej brakowało czytelnego pomysłu na stworzenie w kampanii wyraźnego podziału, w którym – zdaniem rządzących – stanowiliby oni reprezentację większości. Papież się do tego lepiej nadaje niż sprawa obrony mięsa lub aut spalinowych. On dla tych drobnych elementów może być silnym spoiwem całej opowieści o walce z budzącym lęk, rzekomym cywilizacyjnym zagrożeniem.

Czy ta mobilizacja się uda?

Zależy to od zręczności PiS. Za chwilę będziemy mieli rocznicę śmierci papieża i wtedy władza sprawdzi, jak mocno ta narracja działa. W październiku zaś, w niedzielę poprzedzającą rocznicę wyboru Karola Wojtyły, będziemy mieli dzień papieski. Kto wie, czy właśnie wtedy nie odbędą się ostatecznie wybory. Oczywiście, istnieje możliwość przegrzania tego tematu, ale to będziemy wiedzieli jesienią. Na razie widać, że wyśmiewany pomysł z homiliami po „Wiadomościach" TVP przyciąga sporą publiczność. Ludzie ich dawno nie widzieli, wracają wspomnienia, emocje.

Myśli Pan, że dziś opozycja patrzy na TVN jak na pożytecznych inaczej?

Gdybyśmy narysowali komiks i na obrazku umieścili reprezentanta opozycji, to w dymku zobaczylibyśmy różne znaki: krzyżyk, gwiazdkę, wykrzyknik albo trupią czaszkę. One zazwyczaj oznaczają konfuzję i niecenzuralne słowa. Politycy opozycji dobrze wiedzą, jak ważny jest dla Polaków mit JP II; pod tym względem elektoraty PO, Hołowni czy PSL są dość podobne – próba radykalnej zmiany spojrzenia na papieża zburzyłaby, dosłownie, dużą część ich tożsamości. Postawione w reportażu zarzuty okazały się zatem niewystarczające, by Polacy mieli rozejść się z Karolem Wojtyłą. Zresztą, sam reportaż obejrzało trochę ponad milion ludzi.

Czy przyjęta przez większość opozycji taktyka milczenia jest dobra?

Podtrzymywanie tej dyskusji jest wyłącznie w interesie PiS i jego sojuszników. Opozycja na milczeniu nie straci, bo dzięki temu nie da się wciągnąć w dyskusję, podczas której ktoś zawsze powie coś, co potem tygodniami będzie krążyć po „Wiadomościach" i TVP Info. Strategia unikania stawania się stroną sporu to dobry pomysł. Im dłużej media będą żyły tą historią, tym gorzej dla opozycji. Zbyt mocno podsyca emocje.

Reasumując, PiS może zyskać, ale raczej mobilizując własny elektorat, natomiast opozycja nie musi stracić. Czy to dotyczy też Lewicy? Włodzimierz Czarzasty uważa pomysł „odjaniepawlania" Polski za chybiony, ostrożny jest też Robert Biedroń, ale posłanka Joanna Scheuring-Wielgus – już nie. A wpływowi lewicowi publicyści piszą o „Bestii z Wadowic".

Rozumiem ostrożność liderów Lewicy, ale z drugiej strony to jedyne duże ugrupowanie, które może sobie pozwolić na swobodę w wyrażaniu opinii w tej sprawie, a szerokie spektrum poglądów jej nie zaszkodzi. O ile oczywiście nazbyt mocno i powszechnie nie będą akcentowane pomysły obalania pomników; to byłoby przeciwskuteczne. Wśród zwolenników Lewicy są młodzi ludzie z dużych miast, często antyklerykalni, ale jest też spora reprezentacja starego SLD-owskiego elektoratu, który wcale nie jest antypapieski. Ci ludzie nie trzymają obrazków papieża w domach, ale bezpardonowy atak na niego nie mieści się w ich estetyce.

Wspomniał Pan o młodzieży. W podejściu do JP II są na pewno ogromne różnice pokoleniowe.

Ta różnica jest nawet łatwa do opisania. Dla dorosłych osób atak na papieża to atak na ich tożsamość, i to żywą tożsamość. Wielu z nich pamięta pielgrzymki, z którymi wiążą się bardzo konkretne, silne emocje i wzruszenia, a także poczucie mocy – niezależne od tego, czy dziś jesteśmy praktykującymi katolikami, czy chodzimy do kościoła tylko w święta, czy już wcale. Jan Paweł II był nie tylko przywódcą religijnym, jego wielkość wykraczała szeroko poza ten aspekt.

Jeszcze w PRL zdawali sobie z tego sprawę ludzie dalecy od Kościoła, jak Kuroń czy Michnik.

I gdybym miał wskazać materiał, który dobrze oddaje stan tego ducha i to, co Polacy myślą o Janie Pawle II, wskazałbym na niedawny wywiad z Adamem Michnikiem, zresztą źle przyjęty przez radykalną lewicę jako zbyt łaskawy dla papieża. Dla młodej lewicy to typowo „dziaderskie" opinie, ale dla większości – poglądy świadczące o rozsądku. ↦

Czy nie jest też tak, że dla większości młodzieży Jan Paweł II stał się postacią obojętną, papierową?

Nie jest dla nich nawet symbolem walki z systemem totalitarnym, bo dla tych ludzi komunizm to już historia. Także Unia Europejska jest czymś oczywistym, nie czują więc potrzeby okazywania komukolwiek wdzięczności. Oni się z Wojtyły raczej podśmiewają, ale nie dlatego, że czują antypatię i chcą szargać świętości. Papież jest im obojętny, jak inni dziadersi. To pan z podręczników albo wręcz z pożółkłego obrazka wiszącego u babci nad drzwiami. Ci ludzie nawet jak dojrzeją i staną się mniej radykalni, nie pokochają papieża, bo nie jest częścią ich wspomnień. Nie ma więc sporu międzypokoleniowego w tej sprawie, bo w zasadzie nie ma tematu. To zresztą element większego procesu laicyzacji; wiara przestaje być dla młodych ważna.

Nie będzie wojny pokoleniowej, ale czy sprawa ta nie zniszczy i tak wątłego poczucia wspólnoty w jakże plemiennej Polsce?

Nie ma takiej obawy, nawet przy mocnym wykorzystaniu tej sprawy w kampanii. Papież przenika bańki polityczne i społeczne. Nie będzie łatwo nikomu go „sprywatyzować".

Czy dla hierarchii kościelnej ta sprawa nie stanie się sposobem na restaurację bezrefleksyjnego mitu JP II i zamiast reform oraz naprawy krzywd ofiar nie spowoduje chęci skrycia się za papieżem?

Raczej nie. Ludzie wiedzą, że od Jana Pawła II już nie można niczego oczekiwać, ale od Kościoła, owszem, wymaga się rachunku sumienia, pokuty i naprawy krzywd. Zwłaszcza w stosunku do ofiar pedofilii. To poczucie u wiernych nie zniknie. Schowanie się za pomnikiem papieża byłoby dla hierarchii wygodne, ale przeciwskuteczne. Zresztą, oświadczenie episkopatu po reportażu nie daje do tego podstaw. Ono było w sumie spokojne, rozsądne i umiarkowane.

A co właściwie wynikało z grudniowych badań dotyczących Kościoła?

Zapytaliśmy wprost, czy Kościół w Polsce powinno się zlikwidować. Szalenie interesujące było, jak spójną uzyskaliśmy odpowiedź, zarówno w środowiskach progresywnych, centrowych, jak i konserwatywnych. Kościoła nie należy likwidować, bo wielu Polakom ta organizacja jest potrzebna do życia, nie tylko w kwestii wiary, ale porządkowania całego świata. Chrystus, wartości chrześcijańskie, miłosierdzie, wspólnota – są wciąż ważne. Uważamy jednak, że sposób organizacji tych spraw powinien ulec zdecydowanej zmianie.

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

MARCIN DUMA jest badaczem opinii i rynku, prezesem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS.

> Afera z papieżem nie przeciągnie na stronę PiS tłumów wyborców, pragnących zrobić na złość antyklerykalnym egzorcystom. Może jednak zmobilizować elektorat prawicy do liczniejszego udziału w wyborach, bo wzbudzi w nim lęk.

Choć najmocniej słychać radykalne głosy z obu stron, większość ludzi myśli w sposób bardziej zniuansowany. Czy dotyczy to również elektoratu Konfederacji? Z jednej strony mamy tam odłam narodowy związany z Kościołem, a z drugiej skrajnie liberalny. W efekcie – wedle badań CBOS z ubiegłego roku – konfederaci mają jeszcze mniejsze złudzenia wobec hierarchii kościelnej niż sympatycy PO.

Mam wrażenie, że spora część wyborców głosuje na nich nie z uwagi na deklarowany konserwatyzm, ale pomimo niego. Widać to w sondażach, które spadają wtedy, gdy Konfederacja zaczyna mówić o aborcji. Dla jej wyborców dużo ważniejszy jest skrajnie liberalny i wolnorynkowy rys partii oraz nawoływania do likwidacji ZUS czy też niższych podatków. Poparcie im rośnie, gdy „mówią Mentzenem", a nie Bosakiem. Gdy w narracji pojawia się Braun, to wręcz im spada. Reportaż TVN w tym środowisku nie rezonował także dlatego, że wyborcy Konfederacji są po prostu stosunkowo młodzi, a więc bardziej liberalni, również w stosunku do aborcji czy antykoncepcji. To środowisko nie wstąpi na redutę obrony dobrego imienia papieża Polaka.

Wybiegnijmy na koniec w przyszłość, ku kampanii wyborczej. Czy opozycja jest w stanie przedstawić inną kluczową narrację? Wokół kryzysu, cen, afer z wykorzystywaniem publicznych pieniędzy dla celów partyjnych?

Tak jak istnieje niebezpieczeństwo przegrzania tematu papieskiego przez PiS, tak opozycja już przegrzała temat kryzysu, wzrostu cen paliw, chleba. Fakt, PiS zapłacił w sondażach za inflację, ale mieliśmy przecież marznąć zimą w domach, co z kolei miało stać się gwoździem do trumny partii władzy. Nic takiego nie nastąpiło. Uważam, że nie można ciągle krzyczeć „pożar", bo ludzie się znieczulają. Wpływa to też na nich demobilizująco, gdyż erozji ulega wiara, że prawicę można w ogóle pokonać. Należy więc budować własną narrację, zamiast liczyć, że PiS się wywróci o własne nogi. Opozycja np. schowała do kieszeni temat aborcji, zapominając, że destrukcja ustawowego kompromisu w tej kwestii wstrząsnęła w 2020 r. poparciem dla władzy. Również dziś nie pomoże jej chowanie się za papieżem. Przy całym szacunku dla niego, na aborcję patrzymy już inaczej. I nie ma znaczenia, czy dotyczy to wielkich aglomeracji, czy małych miejscowości. ©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY

najprościej

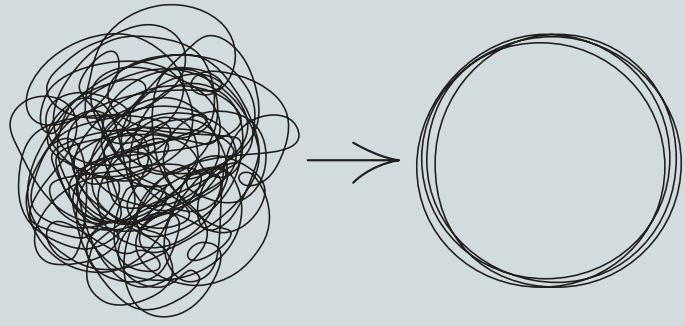

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Chwilowo bezimienny

Brak imienia narratora w narracji pierwszoosobowej nie jest zjawiskiem zaskakującym. Większość Księgi Powtórzonego Prawa stanowi przemowa Mojżesza, nic więc dziwnego, że na jego imię natkniemy się w niej sporadycznie. Tymczasem w porcji Tory przypadającej na zeszły tydzień (przypomnijmy, że jesteśmy jeszcze w Księdze Wyjścia i Izraelici pod wodzą Mojżesza przecierają pustynne szlaki) – jego imię też nie pada. Dlaczego?

Odpowiedź komentatorzy odnajdują w bieżącym fragmencie. Kiedy Nasz Nauczyciel, po czterdziestodniowej nieobecności, wraca do obozu, niosąc tablice Dekalogu, czeka nań przykra niespodzianka: złoty cielec. Po rozbiciu tablic, starciu na proch idola i wydaniu dyspozycji zbrojnym lewitom, Mojżesz potrzebuje jeszcze nocy, by ochłonąć. Nazajutrz „zwrócił się Mojżesz do Wiekuistego, i rzekł: »O, zgrzeszył lud ten grzechem wielkim, zrobiwszy sobie bogi złote. A teraz, czy możesz przebaczyć grzech ich? A jeżeli nie, wymażże mnie z księgi Twojej, którą napisałeś!«" (Wj 32, 31-32; Cylkow). Wiekuisty odpowiada: „Tego, który zgrzeszył Mi, tego wymażę z księgi Mojej!" (wers 33). Egzegeci nie są skorzy, by w tym momencie przypisać przywódcy jakąkolwiek winę – tymczasem z jednego tygodniowego czytania jego imię „znika" – znajdują więc uzasadnienie: osoba sprawiedliwa musi uważać na swoje słowa, gdyż nie pozostają one bez echa, nawet jeśli zostały wypowiedziane w kontekście niespełnionego warunku. Rzeczywiście, nie sposób wytknąć tu konkretnej przewiny, jednak uważam słowa sfrustrowanego ludu, skierowane do Aarona, za wiele mówiące: „Wstań, zrób nam bogi, któreby szły przed nami; gdyż ten Mojżesz, ów mąż, który nas wywiódł z ziemi Micraim – nie wiemy, co się stało z nim" (wers 1). Czy „ów mąż" w jakimś sensie nie zastąpił ludziom Boga?

Najwyższy kończy wymianę dotyczącą wymazywania z Tory poleceniem: „A teraz idź, prowadź lud ten dokąd mówiłem tobie. Oto anioł Mój idzie przed tobą" (wers 34). „Mój anioł" to po hebrajsku *mal'achi* – wystarczy poprzestawiać spółgłoski, by otrzymać jego imię: Michael. Archanioł w tej roli budzi sprzeciw Mojżesza, gdyż dotychczas to sam Bóg prowadził swój lud. „Jeżeli gniew Twój nie przechodzi, to nie wyprowadzaj nas ztąd! Albowiem po czémże inném wiadomém będzie, żem znalazł łaskę w oczach Twoich – ja i lud Twój? Czyliż nie po tém, że pójdziesz z nami, żebyśmy tak odróżnieni byli – ja i lud Twój – od każdego ludu na powierzchni ziemi?" (Wj 33, 15-16). Wiekuisty ulega: „I to uczynię; gdyż znam cię po imieniu" (wers 17). Wprawdzie to imię w jednym odczycie nie pada, lecz otwiera go słowo „ty" i stanowi on jedno długie poruczenie. Chwilowo bezimienny Mojżesz jest w nim obecny – jak zwykle, a nawet bardziej. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bóg nie chce ofiary

„Ustąpcie od nas smutki i trosk fale, / / Gdy Pan Zbawiciel tryumfuje w chwale; / / Ojcu Swojemu już uczynił zadość / Nam niesie radość. Alleluja", zaśpiewamy w Niedzielę Wielkanocną. Ale co Chrystus miałby Ojcu zrekompensować, za co kajać się i przepraszać? Oczywiście za grzechy, za nasze grzechy, gdyż sam był bezgrzeszny. A ponieważ obraziliśmy Boga nieskończenie wielkiego, to i kara musi być odpowiednia, piekło, w którym „ogień nie gaśnie".

Bóg jednak, przy całej swojej surowości, jest też miłosierny, dlatego spowodował, że Jego Syn staje się człowiekiem i żeby uśmierzyć gniew Ojca i powstrzymać Go od wymierzenia należnej ludziom kary, godzi się złożyć siebie w krwawej ofierze. Paweł Apostoł mówi: Jezus „mając naturę Boga, nie uznał za stosowne korzystać ze swojej równości z Bogiem, lecz ogołocił siebie samego, przyjmując naturę sługi i stając się podobnym do ludzi. A z zewnętrznego wyglądu uznany za człowieka, uniżył siebie samego, stając się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci na krzyżu".

Sprawiedliwości musi stać się zadość. Jest wina, musi być kara. Ale w Biblii mamy również inny sposób patrzenia na Boga Ojca i na Jezusa Chrystusa oraz na ich wzajemne odniesienie. „Bóg tak umiłował świat – mówi Jan Ewangelista – że wydał swego Syna Jednorodzonego, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne". I właśnie te dzieci Boże postanowiły zabić Bożego Wysłańca, pozbyć się Go raz na zawsze. Czym zatem Syn Boży kierował się przychodząc do nas w osobie Jezusa z Nazaretu? Autor Listu do Hebrajczyków: „Wchodząc na świat [Chrystus] powiada: Ofiary krwawej czy bezkrwawej nie chciałeś, lecz ciało mi przysposobiłeś. Ofiary całopalne i składane za grzech nie spodobały Ci się. Zatem rzekłem: Oto przyszedłem – napisano o mnie w zwoju księgi – żeby spełniać, o Boże, wolę Twoją", to znaczy „aby zebrać razem rozproszone dzieci Boże". Z tego wynika, że Bóg nie odpłaca nam pięknym za nadobne.

Jezus, przyjmując wyrok śmierci z naszej ręki, udowodnił, że Bożą reakcją na grzech nie jest gniew i kara, ale miłosierdzie. Po prostu, Bóg jest wszechmocny i nie może zmienić swego ojcowskiego nastawienia. I tak jest również dzisiaj. „Bóg, który stał się jednym z nas w człowieczeństwie Jezusa – mówi Franciszek – nadal prowadzi nas w pielgrzymce świętości, dzięki której wzrastamy w naszym podobieństwie do Niego i stajemy się uczestnikami boskiej natury". I jeśli gdzieś Boga można z całą pewnością spotkać, to na dzisiejszych Golgotach, np. w Ukrainie. Bóg nie czeka na ofiary, ale na nas. „Przysposobił nam ciało" i pragnie, żebyśmy mieli „w sobie takie usposobienie, jakie też było w Chrystusie Jezusie". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Drugi upadek

Dla tego, kto kieruje się ku Bogu bez żadnych pośrednictw, jego własne działanie jest światłem.

MISTRZ ECKHART

Człowiek ambitny widzi swoje dobro w działaniach innych ludzi, miłujący rozkosz – we własnym popędzie, człowiek mądry – we własnym działaniu.

MAREK AURELIUSZ

Dziś chcę się podzielić nieco innym „okruchem". Jest nim VII Stacja Ekumenicznej Drogi Krzyżowej, którą przeżywaliśmy na ulicach Łodzi w ubiegły piątek.

Oswoiliśmy drugi upadek. Nie dziwi nas. Nie przeraża tak jak pierwszy. W sumie – myślimy – można się było tego spodziewać: kto upadł raz, upadnie pewnie ponownie, to tylko kwestia czasu. Trudno się dziwić czy specjalnie oburzać.

Tymczasem refleksja biblijna nad drugim upadkiem biegnie dokładnie w przeciwnym kierunku. Słowo Boże jest przerażone perspektywą drugiego upadku, tzn. powrotu do już odrzuconego grzechu. Wyrzucony z człowieka zły duch – mówi Jezus – wraca z siedmioma gorszymi od siebie: „i staje się stan późniejszy owego człowieka gorszy niż poprzedni" (zob. Łk 11, 26). Podobnie stwierdza św. Piotr w swoim Drugim Liście (a słownictwo, do którego się ucieka, daleko wykracza poza łagodną przeciętną Nowego Testamentu): „Jeśli bowiem uciekają od zgnilizny świata (...), a potem oddając się jej ponownie zostają pokonani, to koniec ich jest gorszy od początków. (...) Spełniło się na nich przysłowie: Pies powrócił do tego, co sam zwymiotował, a świnia umyta – do kałuży błota" (2 P 2, 20-22). Jeszcze mocniej – choć mniej plastycznie – poucza autor Listu do Hebrajczyków: „Jeśli bowiem ponownie grzeszymy po otrzymaniu pełnego poznania prawdy, to już nie ma dla nas ofiary przebłagalnej za grzechy, ale jedynie jakieś przerażające oczekiwanie sądu i żar ognia". Kto powraca do grzechu, ten „podeptał Syna Bożego i zbezcześcił krew Przymierza, przez którą został uświęcony i obelżywie zachował się wobec Ducha łaski" (Hbr 10, 26-29). Do człowieka podniesionego z paraliżu nasz Pan mówi: „Oto wyzdrowiałeś. Nie grzesz już więcej, aby ci się coś gorszego nie przydarzyło!" (J 5, 14).

To prawda: wszyscy wierzymy, że Bóg, który ma na imię Miłosierdzie, jest niezmordowany w dawaniu nam drugiej szansy. A potem trzeciej, i czwartej, i... siedemdziesiątej siódmej. Nie oznacza to jednak, że wolno się nam oswoić z powtarzającym się złem w naszym życiu. Powrót do zła („drugi upadek") to nie jedynie ponowne przekroczenie jakiejś normy. To „podeptanie Krwi", która obmyła mnie z popełnionego grzechu; to sponiewieranie Ducha Świętego, któremu przyznałem rację, gdy przekonywał mnie o grzechu.

Strzeżmy się też ponownych upadków w naszych ekumenicznych odniesieniach. Bójmy się cofać z drogi już przebytej. Unieważniać osiągnięte porozumienia. Zrywać dialog dla wątpliwych powodów. Wracać do podziałów również oznacza „podeptanie" Chrystusowego Krzyża, na którym Chrystus skonał, aby zburzyć mur, jakim jest wrogość. Oznacza także obelgę wobec Ducha łaski, który nas przynagla do jedności i prowadzi ku jej kolejnym etapom.

Nie depczmy Krzyża i nie gaśmy Ducha! Amen. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 IV)

Niedziela Palmowa: Mt 21, 1-11; Iz 50, 4-7; Ps 22; Flp 2, 6-11; Mt 26, 14 – 27, 66;
Poniedziałek: Iz 42, 1-7; Ps 27; J 12, 1-11;
Wtorek: Iz 49, 1-6; Ps 71; J 13, 21-33. 36-38;
Środa: Iz 50, 4-9a; Ps 69; Mt 26, 14-25;
Wielki Czwartek: Wj 12, 1-8. 11-14; Ps 116; 1 Kor 11, 23-26; J 13, 1-15;
Wielki Piątek: Iz 52, 13 – 53, 12; Ps 31; Hbr 4, 14-16; 5, 7-9; J 18, 1 – 19, 42;
Wielka Sobota – Wigilia Paschalna: Rdz 1, 1 – 2, 2; Ps 104 lub 33; Rdz 22, 1-18; Ps 16; Wj 14, 15 – 15, 1a; Ps: Wj 15, 1b-6. 17-18; Iz 54, 4a. 5-14; Ps 30; Iz 55, 1-11; Ps: Iz 12, 2-6; Ba 3, 9-15. 32 – 4, 4; Ps 19; Ez 36, 16-17a. 18-28; Ps 42 lub 51; Rz 6, 3-11; Ps 118; Mt 28, 1-10;
Niedziela Zmartwychwstania: Dz 10, 34a. 37-43; Ps 118; Kol 3, 1-4 lub 1 Kor 5, 6b-8; J 20, 1-9 lub Łk 24, 13-35.

Wybrał PIOTR SIKORA

MOODBOARD / ADOBE STOCK

KRAJ

WIĘCEJ DZIECI NIE BĘDZIE

Polki i Polacy nie decydują się na potomstwo z innych powodów, niż się powszechnie uważa. Cokolwiek byśmy zrobili dla znaczącego polepszenia sytuacji demograficznej, poniesiemy porażkę. Musimy zmienić sposób myślenia.

STEFAN SĘKOWSKI

Według wstępnych danych Głównego Urzędu Statystycznego w 2022 roku urodziło się 305 tys. dzieci. To najmniej od końca II wojny światowej. Politycy dwoją się więc i troją wymyślając kolejne projekty, które mogłyby poprawić dzietność. Kilka lat temu wielkie nadzieje wiązano z programem Rodzina 500 plus; ostatnio na topie jest mieszkalnictwo, gdyż brak własnego M (lub jego zbyt mała powierzchnia) ma być jednym z głównych powodów, dla których ludzie nie planują potomstwa.

Można wskazać liczne powody, dla których państwo może prowadzić aktywniejszą politykę mieszkaniową. Możliwe jest również, że łatwiejszy dostęp do własnych czterech kątów ułatwi lub przyspieszy podjęcie ostatecznej decyzji o poszerzeniu rodziny. Nie będzie to jednak miało znaczącego wpływu na sytuację demograficzną Polski. Podobnie jak 500 plus (wedle pomysłodawców ten program miał przynieść w roku 2022 od 315 do 341 tys. urodzeń, a, jak wiemy, nie osiągnęliśmy nawet minimalnej założonej wartości), Maluch plus (zakładający rozwój instytucji opieki nad dziećmi do lat 3), równiejszy dostęp do urlopów rodzicielskich czy też wcześniejsze „kosiniakowe". Śmiem twierdzić, że mimo tych wszystkich projektów współczynnik dzietności nie wyniesie wiele więcej niż obecnie (1,3 dziecka na kobietę). Tymczasem, aby Polaków nie ubywało, trzeba osiągnąć poziom zastępowalności pokoleń, czyli 2,1.

Liczne programy wsparcia dla rodziców są nieskuteczne nie dlatego, że zostały źle zrealizowane. Problem tkwi raczej u podstaw. Ich twórcy wychodzą z założenia, że nasi rodacy chcą mieć dzieci, ale różne przeszkody im to uniemożliwiają. Wystarczy jednak je usunąć i nasze podwórka ponownie zaroją się od rozbieganych maluchów. Kłopot w tym, że Polki i Polacy wcale nie chcą mieć dzieci – a na pewno nie tak bardzo, jak o tym mówią. W rzeczywistości mają inne życiowe priorytety.

Chciałabym, ale...

Jak to możliwe? Przecież zewsząd słyszymy, jak bardzo chcemy powiększać swe rodziny! Tak przynajmniej wynika z badań. Z ubiegłorocznego raportu CBOS dowiedzieliśmy się, że aż 41 proc. Polaków i Polek chciałoby mieć więcej dzieci, niż ma. Mówić można jednak różne rzeczy. Uważniejsze przyjrzenie się przyczynom, dla których Polki i Polacy nie decydują się na potomstwo, pomaga wyjaśnić, jak jest naprawdę i co stoi za naszymi wyborami. Wyniki badań pracowni ASM, przeprowadzonych pod koniec 2020 r. dla Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej, mówią nam, że osoby bezdzietne, pytane o powód, dla którego nie chcą mieć potomstwa, wskazują najczęściej: brak potrzeby posiadania dziecka (22 proc.), chęć zachowania niezależności (16 proc.) oraz to, iż uważają, że dziecko to zbyt duża odpowiedzialność (14 proc.). Raptem 6 proc. stwierdziło, że dziecko to zbyt duże obciążenie finansowe, na problemy mieszkaniowe zaś wskazało ledwie 2 proc. Wśród częściej wskazywanych powodów jest np. brak odpowiedniego partnera oraz problemy zdrowotne.

Mówimy tu więc o sytuacjach, które bywają subiektywne. Z brakiem potrzeby, jak i zamiłowaniem do swobody trudno polemizować, są znakiem naszych czasów, jednak z pewnością trudno uznać je za przeszkody nie do przeskoczenia. Podobnie jest z obawą przed zbyt dużą odpowiedzialnością. Ludzie zakładali rodziny w bardziej niespokojnych epokach, od tysiącleci też wychowują potomstwo, kierując się głównie obserwacją, instynktem i zdobywanym „w boju" doświadczeniem. Trudno też uwierzyć, że za masowym spadkiem dzietności stoi niedopasowanie Polaków do Polek i odwrotnie. Albo że w trzeciej dekadzie XXI wieku sytuacja zdrowotna jest znacznie gorsza od tej, która istniała choćby pod koniec komunizmu, nie mówiąc już o wcześniejszych czasach. Dostęp do nowoczesnych terapii jest dziś szeroki i z pewnością stan naszego zdrowia nie odpowiada za tak niską liczbę urodzeń w Polsce. Wręcz im lepiej ze zdrowiem noworodków i starszych, tym mniejsza dzietność, o czym piszę dalej.

We wspomnianym badaniu ASM pojawia się inna, niezwykle ciekawa kwestia. Na pytanie, jakie warunki muszą być spełnione przed podjęciem decyzji o dziecku, ponad połowa ankietowanych odpowiedziała, że należy mieć stabilną sytuację finansową (75 proc.), zawodową (69 proc.), zdobyć wykształcenie (57 proc.), własne mieszkanie (55 proc.), a nawet się wyszaleć, wybawić (53 proc.). Krótko mówiąc, dla większości ankietowanych (niezależnie od tego, czy dzieci już mają, czy nie) to są priorytety, które należy „odhaczyć", zanim pojawi się potomstwo. Przy tak długiej liście zadań faktycznie może zabraknąć czasu na dzieci. A przecież w kolejce czekają jeszcze takie wartości jak: dorobić się, coś osiągnąć (48 proc.), wziąć ślub (43 proc.) oraz zrobić karierę (35 proc.).

Jesteśmy jak cały Zachód

Niezależnie od tego, co Polacy będą mówić na temat rzekomych i prawdziwych przyczyn, dla których nie mają potomstwa – takie są nasze priorytety. Praca, pieniądze, dom, samorealizacja. Często dochodzi do tego również obawa przed podjęciem ryzyka, z jakim niewątpliwie związane jest wejście w stały związek i, koniec końców, decyzja o dziecku oraz jego poczęcie. Można się na to tradycjonalistycznie zżymać, oskarżać młodych o niedojrzałość lub indywidualistycznie twierdzić, że to sprawa osobistego wyboru i innym nic do tego. Niemniej wygląda na to, że rodzicielstwo – wbrew deklaracjom – wcale nie jest na szczycie priorytetów do osiągnięcia, dla których jesteśmy gotowi poświęcić inne pragnienia i wartości.

Sytuacja Polski nie różni się od innych krajów Zachodu. W Europie nie ma ani jednego państwa, w którym byłaby zapewniona zastępowalność pokoleń. W znajdującej się na czele statystyk Francji współczynnik dzietności wynosi 1,8. Polska ze swoim 1,3 jest co prawda w dolnej części europejskiej tabeli, ale porównywalny wynik ma Austria, Finlandia czy Luksemburg – i trudno byłoby te państwa nazwać krajami nieprzyjaznymi ↦

↦ rodzinie. Zresztą, w krajach Zachodu dzietność byłaby jeszcze niższa, gdyby nie migranci z krajów muzułmańskich. W 2021 r. w Wielkiej Brytanii współczynnik dzietności wśród migrantek wynosił 2,0, wśród Brytyjek zaś – 1,5. W 2016 r. co piąte dziecko urodzone w Niemczech miało matkę urodzoną poza tym krajem. Zdarzyło się to niedługo po napływie uchodźców, głównie z Syrii.

Także Polki, które emigrowały do Wielkiej Brytanii, podniosły tam statystyki dzietności. Trudno je jednak traktować jako reprezentatywne dla całej populacji Polek i wyciągać z tego wnioski, że gdybyśmy tylko mieli takie rozwiązania socjalne jak nad Tamizą, to jako społeczeństwo byśmy nie wymierali. Są to bowiem zazwyczaj osoby zdeterminowane, by podejmując tak radykalny krok jak migracja, zmienić całkowicie swoją sytuację życiową. Jednak dane pokazujące sytuację społeczności migranckich mieszkających w nowym miejscu przez dłuższy czas pokazują, że tego typu „wyże" zdarzają się głównie w pierwszym pokoleniu. Dzieci urodzone już w nowym miejscu zamieszkania zazwyczaj upodabniają się w swoich życiowych wyborach do otoczenia.

Fakt, iż są kraje, które cieszą się znacznie hojniejszą polityką społeczną, bardziej rozbudowaną polityką mieszkaniową, mają gęstszą sieć przedszkoli i żłobków czy też bardziej równościowe prawo regulujące funkcjonowanie zawodowe pracujących rodziców, a jednak trawią je takie same problemy z dzietnością jak nas, każe domniemywać, że jednak nie w tym tkwi problem. Mieszkańcy sytego Zachodu coraz częściej nie chcą mieć dzieci. Według badania przeprowadzonego w 2020 r. przez międzynarodowy instytut YouGov 13 proc. Brytyjczyków i Brytyjek w wieku 18-24 lata i 20 proc. w wieku 25-34 nie ma i nie chce mieć potomstwa. Ogółem, spośród wszystkich grup wiekowych aż 37 proc. bezdzietnych Brytyjczyków i Brytyjek nie chce mieć dzieci. To więcej niż w Polsce, gdzie, jak wynika z cytowanego powyżej badania ASM, taką postawę deklaruje 17 proc. bezdzietnych Polek i Polaków (dalsze 12 proc. „nie wie").

Wśród najczęstszych przyczyn, jakie podają bezdzietni Brytyjczycy i Brytyjki na uzasadnienie swej postawy, jest – ich zdaniem – zbyt zaawansowany wiek, by mieć dzieci (23 proc.), poza tym niechęć do zmiany stylu życia, zbyt wysokie koszty rodzicielstwa (po 10 proc.), a także opinia, że Ziemia jest przeludniona (9 proc.). Z nieco starszego sondażu Stiftung für Zukunftsfragen z 2016 r. wynika, że dla Niemek i Niemców główną przeszkodą stało się to, że utrzymanie dzieci jest zbyt drogie (63 proc.), chcą też być wolni i niezależni (61 proc.) lub kariera jest dla nich ważniejsza niż założenie rodziny (55 proc.).

Rodzicielstwo, wbrew deklaracjom, nie jest na szczycie priorytetów, dla których jesteśmy gotowi poświęcić inne pragnienia i wartości.

Także kwestia bezpłodności i niepłodności nie tłumaczy niskich statystyk urodzeń w Europie. Jakkolwiek jest to dramatyczny problem dla wielu par, to jednak fakt, iż wedle statystyk w różnych krajach Zachodu kilkanaście procent z nich nie może począć dziecka w ciągu roku od rozpoczęcia starań, nie tłumaczy niskich statystyk urodzin dla całej populacji. Co prawda w wielu krajach powszechnie dostępne są metody sztucznego zapłodnienia, ale raptem kilka procent noworodków bywa poczętych metodą *in vitro*, choć służy ona nie tylko parom mającym problemy z poczęciem dziecka, ale także kobietom, które nie posiadają partnera. Trudno więc liczyć na to, by *in vitro* stało się magicznym remedium na problemy demograficzne.

Dzieci żyją dłużej

Polska stała się częścią Zachodu i zarazem krajem rozwiniętym – w takich państwach co do zasady rodzi się mniej dzieci. Równia pochyła rozpoczęła się na przełomie XIX i XX wieku. Nasze przodkinie zamieszkujące wszystkie trzy zabory jeszcze na początku XIX wieku rodziły średnio ponad szóstkę dzieci. Poniżej piątki zeszły na stałe w drugiej dekadzie XX wieku, poniżej czwórki niedługo przed II wojną światową, poniżej trójki zaś w 1960 r. Ostatni raz prostą zastępowalność pokoleń zanotowaliśmy w Polsce w roku 1988; od 1992 r. Polki rodzą średnio mniej niż dwoje dzieci w swoim życiu. Jest to zarazem tendencja, którą łatwo dostrzec nie tylko na ziemiach polskich.

Pierwsze tąpnięcie nastąpiło, gdy radykalnie spadła umieralność niemowląt i wzrosła przeżywalność dzieci. Na początku XIX wieku 30 proc. z nich nie dożywało piątych urodzin (w 2021 r. – 0,5 proc.). Rzeczywistość była brutalna: jeśli rodzice chcieli, by dwoje lub troje dotrwało dorosłości, musieli ich począć odpowiednio więcej. Dziecko ówcześnie miało także większe znaczenie dla dochodu rodziny, ponieważ pracowało w gospodarstwie bądź zarobkowo (z biegiem czasu ograniczono pracę dzieci). Rodzice liczyli często także na to, że dzieci będą się nimi opiekowały na starość. W późniejszych czasach postęp gospodarczy, rozwój medycyny i higieny, usługi publiczne (dostęp do kanalizacji), a także rozwój państwa opiekuńczego (w tym systemu emerytalnego) spowodowały, że dzieci żyły dłużej – i nie trzeba było ich mieć tylu co wcześniej.

Drugi cios dzietności zadała tabletka antykoncepcyjna, odkryta i rozpowszechniona w latach 60. XX w. Nie była to pierwsza ze znanych ludzkości metod zapobiegania ciąży, jednak była pierwszą, która w sposób tak zdecydowany oddawała decyzję o uniknięciu poczęcia kobietom. Te zaś, z przyczyn oczywistych, są najbardziej zainteresowane tym, by nie pozostawić rozwoju wydarzeń przypadkowi. W efekcie po wejściu pigułki na rynek zjazd demograficzny mocno przyspieszył. Okazało się, że ludzie nie tylko nie potrzebują dzieci aż tak bardzo jak kiedyś, ale że raczej unikają ich poczęcia, jeśli mają ku temu okazję. Rodzicielstwo przestało być oczywistym stanem wyjściowym u progu dorosłości, od którego są tylko wyjątki oraz z którego braku trzeba się przed społeczeństwem i starszymi krewnymi tłumaczyć. Stało się jednym z wielu stylów życia, który można wybrać, ale nie trzeba. A jeśli się go już wybiera, to wcale nie trzeba zakładać rodziny wielodzietnej (o ile w ogóle trzeba zakładać rodzinę).

Taka sytuacja może być, paradoksalnie, szansą na bardziej personalistyczne podejście do rodzicielstwa. Dziecko, które nie jest już darmową siłą roboczą, zabezpieczeniem na starość czy niechcianą niespodzianką, staje się celem samym w sobie. W tym kontekście używanie czasem w dyskusji o dzietności argumentów gospodarczych jest dość niebezpieczne. Jeśli mamy rodzić dzieci po to, aby nadal rósł produkt krajowy brutto, jeśli celem ich pojawienia się na świecie ma być wydolność systemu emerytalnego, to rodziców sprowadzamy do – przepraszam za język – roli bydła rozpłodowego, dzieci do robotnic w roju, a wszyscy razem stajemy się niewolnikami systemu, który miał nas wspierać i dawać nam bezpieczeństwo.

Nie znaczy to jednak, że decyzje o tym, by nie mieć dzieci, pozostają bez negatywnych konsekwencji. Obecnie w Polsce 24 proc. gospodarstw domowych stanowią osoby samotne i zarazem bezdzietne. To i tak nie najgorzej jak na warunki europejskie, bo w Unii co trzecie gospodarstwo domowe jest jednoosobowe, a w Norwegii – co drugie. Jeśli jednak w naszym kraju doliczymy do statystyki pary nieposiadające potomstwa, to nagle się okaże, że i u nas dzieci zamieszkują ledwie co trzecie domostwo.

Sytuacja taka może doprowadzić do pandemii samotności, zwłaszcza u ludzi w starszym wieku, a zagrożenie to nie dotyczy tylko singli, ale również par. Tym bardziej że już dziś osoby, które nie mają dzieci (i u których często jest już za późno na decyzję o naturalnym poczęciu potomstwa), coraz bardziej się martwią, że tak pokierowały swym losem. 27 proc. ankietowanych przez ASM we wcześniej cytowanym badaniu stwierdziło, iż żałuje, że nie ma dzieci, a 32 proc. – że nie ma dzieci więcej.

Jednocześnie takie ujęcie nie powinno prowadzić do stereotypizacji osób, które dzieci nie mają. Badania na temat wpływu bezdzietności na zdrowie psychiczne czy dobrobyt nie są jednoznaczne. Psycholodzy i socjolodzy badający te kwestie nie dochodzą do twardych konkluzji, oprócz zaś badań, które wskazują na większą podatność na poczucie samotności czy depresję osób, które dzieci nie mają, można znaleźć również takie, które nie wskazują na żadne istotne różnice między bezdzietnymi a rodzicami w tym zakresie. Inna sprawa, że nigdy wcześniej nie mieliśmy tak wielu osób bezdzietnych w społeczeństwie pobłogosławionym tak długim życiem swoich członków. Opisany wyżej problem może więc eksplodować dopiero z biegiem czasu.

Sytuacja Polski nie różni się od innych krajów Zachodu.

W Europie nie ma państwa, w którym byłaby zapewniona zastępowalność pokoleń.

Oswoić niską dzietność

Spadek dzietności to zjawisko raczej nieodwracalne. Świadczy o tym fakt, że ostatni wyż demograficzny przechodziliśmy dawno temu, w połowie lat 80. XX w. Dzieci tamtego boomu w okresie dorosłości miały inne priorytety niż ich rodzice, a dziś powoli wychodzą z okresu najlepszej rozrodczości. Kolejne roczniki były już coraz mniej liczne i nawet gdyby ich dzietność wzrosła teraz radykalnie, to powrotu do liczby urodzeń sprzed chociażby trzech dekad nie będzie. Nawet tym krajom, którym w ostatnich latach rośnie dzietność (jak np. w Czechach), wciąż daleko do poziomu zastępowalności pokoleń (na jedną Czeszkę przypada obecnie 1,7 dziecka). Oczywiście, lepszymi politykami publicznymi można te wyniki nieco poprawić. Jednak będzie to oznaczało co najwyżej „odblokowanie" decyzji tych, którzy rzeczywiście „chcą, ale boją się" mieć dzieci w tym momencie. Warto dla nich prowadzić aktywną politykę mieszkaniową, prorodzinną czy edukacyjną. Tylko że celem nie powinien być wyż demograficzny, bo go i tak nie osiągniemy, lecz polepszenie standardu życia tych, którzy już się urodzili. I przy okazji tych, którzy przyjdą po nich.

Nieuchronna niska dzietność wygeneruje problemy, z którymi będziemy musieli sobie poradzić. W pierwszej kolejności: odwrócenie piramidy wiekowej i sytuacja, w której coraz mniej osób pracuje na potrzeby rosnącej liczby niepracujących osób starszych. Rzecz jasna nie można seniorów traktować jak darmozjadów, bo na swoje świadczenia ciężko zapracowali. Ale na dłuższą metę nie da się utrzymać obecnego wieku emerytalnego bez podwyższenia obciążeń składkowych osób aktywnych zawodowo. A i to może nie wystarczyć. Politycy będą oczywiście wmawiać ludziom, że wcale nie trzeba na nich wymuszać dodatkowych lat pracy, ale jeśli nie podejmiemy takich trudnych decyzji, to czeka nas zapaść. Dzisiejsi młodzi (a, jak ustaliliśmy, będzie ich coraz mniej) tego ciężaru zwyczajnie nie uniosą. Na dłuższą metę potrzeba systemu, który zostanie uniezależniony od sytuacji demograficznej.

Krótkoterminowo można łatać dziury imigracją, ale i ona nie jest remedium na problem. Nie da się ściągać migrantów lub uchodźców w nieskończoność, zwłaszcza że – jak już wspomniałem – kolejne pokolenia z reguły upodabniają się w swoich życiowych wyborach do otoczenia. Innym rozwiązaniem może być postawienie większego akcentu na rozwój technologiczny. Co prawda świat, w którym roboty za nas i na nas pracują, a my, ludzie, spijamy tylko śmietankę, jest na razie utopią. Niemniej istnieje szansa, by wraz z procesem zastępowania ludzkiej pracy nowoczesnymi technologiami ich owoce wykorzystywać dla wspólnego dobra, np. dzięki większemu niż do tej pory uwzględnieniu tego elementu w polityce podatkowej.

Pomysłów może być zresztą wiele. Nie wpadniemy na nie, jeśli będziemy się kurczowo trzymać wyobrażenia społeczeństwa, którego „podstawową komórką" jest rodzina z mężem, żoną i gromadką dzieci, czasem wręcz wielopokoleniowa. Można nad tym ubolewać, ale nic na to nie poradzimy – w Polsce taki model odchodzi w przeszłość, a na Zachodzie, w którego trend się wpisujemy, tym bardziej. Zamiast obrażać się na rzeczywistość, lepiej dostosowywać rozwiązania polityczno-społeczne do zmian, jakie w niej nieuchronnie zachodzą. A tym, którzy jednak chcą mieć dzieci, ułatwiać podjęcie decyzji mądrą polityką publiczną.

© STEFAN SĘKOWSKI

Za sprytne, by upaść

MAREK RABIJ

Burza, jaka zebrała się nad amerykańskimi bankami i zatopiła szwajcarski Credit Suisse, na razie omija Polskę. Jednego nasi bankowcy nie unikną. Kryzysu zaufania.

Witajcie w świecie, w którym prawie wszystko jest możliwe. Gdzie menedżer wysokiego szczebla umoczony w jeden z najbardziej spektakularnych upadków w dziejach branży, bankructwo Lehman Brothers, spokojnie kontynuuje karierę w innym banku – aż do jego upadku. W świecie, w którym prywatyzuje się zyski, podkreślając, że prowadzi się biznes jak każdy inny, jednocześnie uspołeczniając straty – kiedy tylko powinie się noga. Gdzie w obliczu bankructwa można wziąć miliardy dolarów pomocy publicznej i od razu wypłacić sobie z tych pieniędzy sowite premie. Gdzie podsuwa się klientom wadliwie skonstruowane umowy kredytowe i jednocześnie żąda od państwa obrony przed sądowo potwierdzonymi roszczeniami pokrzywdzonych. W branży, która niezrealizowane zyski nazywa stratami i która obracając rocznie setkami miliardów złotych, jest rzekomo podatna na wstrząsy jak dziecięca układanka z klocków.

Ostatnie lata przyzwyczaiły klientów do tego, żeby do komunikatów płynących z sektora bankowego podchodzić z nieufnością. W zeszłorocznym badaniu na zlecenie Związku Banków Polskich co trzeci klient deklarował brak zaufania do branży lub nie miał na ten temat zdania (wzrost o 4 pkt. proc. rok do roku). Teoretycznie powinno to stanowić dla banków sygnał alarmowy do radykalnej zmiany sposobu działania. Dlaczego więc do tego nie dochodzi?

Odpowiedź jest prosta. Nie ma takiej potrzeby. Ewolucja, jaką w ostatnich latach przeszła bankowość – od instytucji pożytku publicznego do przedsięwzięć o czysto komercyjnym charakterze – sprawiła też, że klienci, zwłaszcza indywidualni, przestali być *de facto* bankom potrzebni. To klienci potrzebują banków.

Miłośnicy stóp

Widać to doskonale we wstępnych wynikach finansowych polskiego sektora bankowego za rok ubiegły, naznaczony przecież piętnem spowolnienia gospodarczego.

Tylko od stycznia do końca listopada banki na czysto zarobiły 13,1 mld zł, czyli aż o 116 proc. więcej niż rok wcześniej. Za tym sukcesem nie stało jednak nagłe przebudzenie uśpionej dotąd wirtuozerii menedżerów, lecz decyzje Narodowego Banku Polskiego. Jedenaście podwyżek stóp procentowych, rozciągniętych w czasie od września 2021 r. do września 2022 r., szeroko otworzyło branży drzwi do finansowego eldorado. Wpływy z odsetek sięgnęły 118,6 mld zł. Przy 43,2 mld zł, które z tego samego tytułu banki musiały wypłacić posiadaczom depozytów, tzw. wynik odsetkowy branży przekroczył 75 mld zł i był wyższy od zanotowanego rok wcześniej aż o 62 proc. Opłaty i prowizje przyniosły bankom kolejne 18,4 mld zł (o 7,4 proc. więcej niż przed rokiem). Koszty administracyjne pochłonęły 45 mld zł, czyli blisko jedną trzecią przychodów, i wzrosły o 27,6 proc.

W kontekście tych liczb nieco innego charakteru nabierają skargi prezesów banków na zaordynowane branży przez rząd wakacje kredytowe, w których dostrzeżono tradycyjne już „zagrożenie dla stabilności sektora", podczas gdy w rzeczywistości obniżyły one jego przychody o ok. 13 mld – czyli niespełna 10 proc. Kolejnych kilkanaście miliardów pochłonęły składki na Fundusz Wsparcia Kredytobiorców, zrzutka na ratowanie tonącego Getin Banku, którego pogrążyły kredyty frankowe, i odpisy na poczet spornych kredytów walutowych innych banków. Bez tych niedogodności bardzo dobry rok 2022 mógłby okazać się dla bankowców wprost rewelacyjnym. Andrzej Powierża, analityk domu maklerskiego Banku Handlowego, szacuje, że gdyby nie rezerwy na kredyty walutowe, koszt wakacji kredytowych i innych nowych

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **SŁUPSK,** czwartek 30 marca, spotkanie z prof. Danielem Kalinowskim, „Szlakiem Buddy" / stacjonarne /
- **KRAKÓW,** piątek 31 marca, spotkanie z Agnieszką Piskozub-Piwosz, Pawłem Rojkiem, Piotrem Popiołkiem, „Joseph Ratzinger – polifonia" / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 3 kwietnia, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa" – rozdział „Tożsamość chrześcijaństwa", cykl „Wspólne czytanie" / online /

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

regulacji, zysk tylko ośmiu największych polskich banków wyniósłby w zeszłym roku aż 33 mld zł.

Nie wszystko jednak stracone. Jeśli w tym roku politycy nie wejdą bankowcom w paradę kolejnymi wakacjami kredytowymi (po sejmowych korytarzach nadal krążą takie pomysły), to w 2023 r., dzięki wysokim stopom procentowym, zysk netto polskich banków powinien sięgnąć, jak szacują analitycy, od 28 do 30 mld zł.

Wasza strata naszym zyskiem

Inaczej wygląda to z perspektywy klienta. Luty jest już drugim z rzędu miesiącem, w którym banki w Polsce obniżają rentowność oferowanych lokat i rachunków oszczędnościowych. Wcześniej – jak piszą analitycy HRE Investments – średnie oprocentowanie depozytów rosło niemal nieprzerwanie przez 15 miesięcy. Jeszcze w listopadzie 2021 r. najlepsze lokaty bankowe oferowały zysk na poziomie zaledwie 1 proc. rocznie. Pod koniec 2022 r. było to już ponad 7,5 proc. W styczniu tego roku górny limit oferowanego oprocentowania zjechał jednak do 7,3 proc., a w kolejnym miesiącu – do 7,18 proc. Zmiany mogą się wydawać symboliczne, ale przy inflacji, która w lutym przebiła niewidziany w Polsce od 26 lat pułap 18,4 proc., każda obniżka oprocentowania depozytów bankowych powiększa stratę klientów. Oprocentowanie lokat na poziomie 7,18 proc., wyznaczające górny próg bankowej hojności, oznacza, że trzymanie pieniędzy w banku kosztuje aż 11,22 proc. rocznie – i to bez uwzględnienia w rachunku opłat i prowizji, które przybierają niekiedy formę karykaturalną. 10 zł za wypłatę gotówki w okienku czy 20 zł za list ponaglający do spłaty zaległej raty? To nie żart. To już standard. Podobnie jak obsługa zdalna.

Pod koniec trzeciego kwartału 2022 r. w Polsce działało 10 359 placówek bankowych i 20 888 bankomatów. W ciągu tylko jednego roku z krajobrazu polskiej bankowości ubyło zatem 698 oddziałów i 176 bankomatów. Bankowcy przekonują, że przyszłością sektora, dla której nie ma alternatywy, jest automatyzacja obsługi: w większości przypadków klient powinien móc obsłużyć się samemu za pomocą aplikacji w smartfonie, a przy najbardziej skomplikowanych operacjach pomoże mu telekonsultant. O ile oczywiście klient zdoła się dodzwonić na infolinię i przedrzeć przez gąszcz trudnych pytań identyfikacyjnych bankowego systemu IVR. Z zeszłorocznej, ostatniej edycji badania firmy ARC Rynek i Opinia wynika, że od poprzedniej podobnej ankiety, przeprowadzonej w 2018 r., średni czas oczekiwania na połączenie z konsultantem infolinii bankowej wydłużył się w Polsce niemal dwukrotnie – z 38 do 69 sekund.

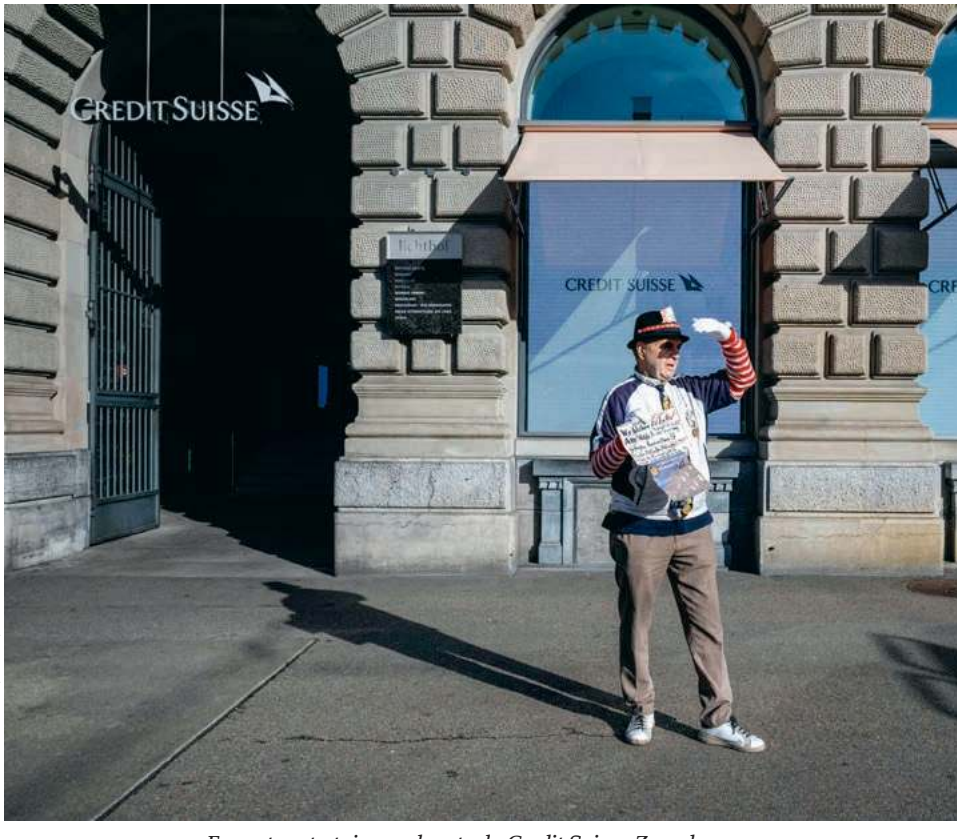

FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

Emeryt protestuje przed centralą Credit Suisse. Zurych, 20 marca 2023 r.

Do czego zatem służą dziś banki?

Odpowiedź na to pytanie może się wydawać oczywista, ale dokładniejsza analiza dokumentów bankowych pokazuje, że pomiędzy potocznym wyobrażeniem o roli banków w gospodarce i życiu publicznym a ich faktycznymi działaniami – istnieje rozbieżność. Mówiąc o stabilności sektora bankowego w Polsce i potrzebie jego ochrony przez państwo, przedstawiciele branży rytualnie wskazują na argument bezpieczeństwa depozytów, zwłaszcza klientów indywidualnych. Mimo swych minusów lokaty w banku to wciąż najpopularniejsza forma inwestycji i do tego – jak pokazują ostatnie badania firmy Maison and Partners – uznawana za najbezpieczniejszą; uważa tak aż 57 proc. respondentów.

Na koniec 2022 r. trzymaliśmy w bankach łącznie 1,07 biliona złotych, o 36 mld zł więcej niż rok wcześniej. To niezgorszy wynik jak na kraj, w którym jakiekolwiek oszczędności ma niespełna 60 proc. mieszkańców, ale też za mały, by ogłosić, że polska bankowość stoi depozytami milionów drobnych ciułaczy. W gruncie rzeczy pozyskiwanie pieniędzy od nich stało się dla bankowców zajęciem pobocznym, odkąd po kryzysie finansowym z 2009 r. banki centralne zalały świat tanią gotówką. W 2021 r. – jak podaje Związek Banków Polskich w ostatnim opublikowanym raporcie – tzw. suma bilansowa banków w naszym kraju wyniosła 2,57 bln zł. Tyle warte były zatem wszystkie lokaty, depozyty, papiery wartościowe i inne zobowiązania. W ciągu zaledwie 10 lat suma ta w Polsce uległa podwojeniu – z 1,29 bln zł. Banki nie muszą dziś brać depozytów od jednych klientów, żeby innym zaoferować kredyt. Ich biznesowa uwaga może skupić się całkowicie na śmietance, jaką jest handel kredytami. ↦

„Koła zamachowe gospodarki"

W 2021 r. PKB Polski urosło aż o 6,8 proc., ale głównie dzięki szybko rosnącej konsumpcji. Znamienne, że od kilku już lat bardzo mały udział we wzroście naszej gospodarki mają inwestycje – zarówno publiczne, jak i te prywatne, finansowane zwykle z kredytów. Przedsiębiorcy chętnie wskazują tu na rząd jako winnego, który nie potrafi zachęcić do wydawania pieniędzy nad Wisłą. Częściowe wytłumaczenie tego fenomenu można jednak znaleźć także w bankowych statystykach, z których wynika, że skumulowana wartość kredytów dla gospodarstw domowych wzrosła w latach 2011-2021 z 506,6 do 769,3 mld zł. Na każde 100 zł udzielonego kredytu przypada już ponad 67 zł pożyczonych właśnie klientom indywidualnym. Udział pożyczek dla gospodarstw domowych rośnie właściwie nieprzerwanie od kilkunastu lat. W 2005 r. było to 53 proc. W 2018 r. już 65 proc. – i to przy zmniejszonej podaży kredytów hipotecznych, wymuszonej zmianami prawnymi, które wprowadziły m.in. obowiązkowy limit 20 proc. wkładu własnego na zakup nieruchomości.

Nawet w zeszłym roku, po serii ostrych podwyżek stóp procentowych, które we wrześnie zatrzymały się na poziomie 6,75 proc., banki w Polsce zbierały urodzajne plony finansując konsumpcję indywidualną. W trakcie trzech kwartałów 2022 r. liczba kredytów ratalnych udzielonych Polakom na różne zakupy urosła w porównaniu z trzema kwartałami 2021 r. o 29,4 proc. W tym samym czasie liczba nowo przyznanych kredytów mieszkaniowych zmalała aż o 44,7 proc. Z kolei dynamika liczby kredytów dla przedsiębiorstw nie przekroczyła już nawet 9 proc.

Opowieść o bankach jako kole zamachowym polskiej gospodarki można więc uznać za zgodną z rzeczywistością, o ile opatrzy się ją jednym, ale ważnym przypisem: że chodzi przede wszystkim o konsumpcję indywidualną. Polscy bankowcy, pragnący uchodzić za demiurgów przedsiębiorczości, w rzeczywistości bardziej palą się do pożyczania na kolejne bezpieczne z ich punktu widzenia cele, jak AGD czy sprzęt elektroniczny, niż do finansowania nowych przedsięwzięć biznesowych o potencjalnie wysokiej stopie zwrotu, ale i sporym ryzyku.

Banki przeszły ewolucję od instytucji pożytku publicznego do przedsięwzięć czysto komercyjnych. **Klienci, zwłaszcza indywidualni, nie są już bankowcom potrzebni.**

Wręcz groteskowo brzmi w tym kontekście akapit z raportu Związku Banków Polskich o stanie branży w 2021 r., w którym sami autorzy z rozbrajającą szczerością stwierdzają, że „większy udział małych podmiotów gospodarczych w naszym kraju oraz mniej rozwinięty rynek kapitałowy powinny przemawiać na korzyść większego znaczenia kredytów dla przedsiębiorstw (...), ale praktyka nie potwierdza racjonalności takiego uzasadnienia".

Słowem – reguły bankowego rzemiosła na rynku takim jak polski sugerują odważniejsze kredytowanie firm na dorobku, ale nasi bankowcy wiedzą przecież swoje.

Chcesz kredyt? A masz pieniądze?

Przedsiębiorcy również zdają się już mieć wyrobione zdanie w kwestii dostępności bankowego kredytu. Zwłaszcza na początku biznesowej drogi. W połowie ubiegłego roku łączna wartość kredytów udzielonych przedsiębiorstwom sięgnęła 424,1 mld zł, ale ponad połowa tej kwoty trafiła na rachunki dużych firm z okrzepłym pomysłem na biznes, rozwiniętą bazą klientów i zwykle również sporymi zapasami kapitałowymi.

W przypadku mikroprzedsiębiorstw, czyli jakże ważnego dla rozwoju gospodarki biznesowego przedszkola, z którego mogą w przyszłości wyjść przyszli potentaci – droga do kredytu bankowego zwykle przypomina slalom z przeszkodami w postaci dodatkowych wymogów i zabezpieczeń. A na mecie, zamiast nagrody, często i tak czeka odmowa. W badaniu, jakie w 2019 r. przeprowadziła firma badawcza Keralla Research, 20,6 proc. ankietowanych przedsiębiorców, którzy ubiegali się o kredyt w banku, przyznało się do odejścia z kwitkiem. W 2016 r. podobnie odpowiadało tylko 14,1 proc. badanych. W przypadku właścicieli małych firm odsetek odmów sięgnął aż 25 proc.

Odczucia ankietowanych przedsiębiorców są zbieżne z danymi samych banków. W 2017 r. udzieliły one polskim mikrofirmom kredytów na kwotę 24,1 mld zł. Dwa lata później – 23,6 mld zł. W ubiegłym roku, jak wynika ze wstępnych wyliczeń Biura Informacji Kredytowej, skumulowana wartość pożyczek bankowych dla takich klientów spadła do 16,3 mld zł. Od okienka odsyłani byli głównie mikroprzedsiębiorcy działający w sektorze produkcyjnym – tu spadek wartości kredytów udzielonych w 2022 r. wyniósł aż 21,3 proc. Na drugim miejscu uplasowali się handlowcy (-9,5 proc.). Relatywnie najłatwiej o pożyczkę mieli budowlańcy (spadek o 1,4 proc.).

Banki bez wątpienia mają rację, kiedy wskazują, że pożyczanie debiutantom wiąże się z większym ryzykiem. Na koniec 2022 r. łączna wartość przeterminowanych należności, jakie mają mikroprzedsiębiorstwa, sięgnęła 11,2 mld zł. Z danych Krajowego Rejestru Długów wynika, że zagrożonych brakiem regularnej spłaty jest dziś ok. 16 proc. kredytów udzielonych takim klientom. Dla porównania: w przypadku pożyczek na mieszkanie, tradycyjnie uchodzących w branży za najbezpieczniejsze, ten sam odsetek nie przekracza dziś 2,4 proc.

Bankom bez wątpienia przysługuje też prawo do decydowania o skali ryzyka kredytowego, jakie są gotowe podjąć. Rzecz w tym, że tak ostrożnej strategii nie da się pogodzić z ich własną narracją o kluczowej roli, jaką rzekomo odgrywają w stymulowaniu przedsiębiorczości. W latach 2020-2022 łączna wartość portfela kredytów udzielonych mikroprzedsiębiorcom wzrosła z 73 do 73,2 mld zł, czyli o symboliczne 0,3 proc. W tym samym czasie produkt krajowy brutto Polski powiększył się z 2,34 do ponad 3 bln zł – a więc niemal o 30 proc.

O ile szybciej rozwijałaby się polska gospodarka, gdyby banki odważniej pomagały rodzimym przedsiębiorcom przy rozkręcaniu biznesu? Precyzyjna odpowiedź na to pytanie nie jest oczywiście łatwa. Ale to nie przekreśla sensu samego pytania.

©℗ MAREK RABIJ

Wyjść z zamknięcia

SZYMON ŻYŚKO

Nie ma znaczących różnic w zapadalności na depresję wśród kobiet i mężczyzn. Tyle że ci drudzy rzadziej i później trafiają do lekarzy. Za to częściej popełniają samobójstwa.

Mariusz dokładnie pamięta tamten moment, gdy zdał sobie sprawę, że może mieć depresję. Nazywa go „dniem, w którym usiadł".

Żeby zrozumieć, co się wtedy wydarzyło, trzeba poznać bliżej Mariusza. 36-letniego singla, którego życie skupiało się na pracy. Kochał swoją pracę, dawała mu spełnienie. Nie miał problemu z zostawaniem po godzinach, jeśli tego wymagała sytuacja. Mariusz kocha też sport, jest aktywny od dziecka. Puchary i medale z okręgowych mistrzostw lekkoatletycznych do dzisiaj stoją na jego półce obok dyplomu berlińskiej uczelni i zawodowych certyfikatów. Są tak samo ważne. Mariusz lubi też dobrze wypić, więc kolejną półkę zajmują drogie alkohole. – Do picia trzeba mieć głowę i portfel – mówi z uśmiechem, i dodaje, że po doświadczeniach ostatnich tygodni już wie, że on ma tylko portfel, bo głowę stracił.

Czego Mariusz nie lubi? Rozmów o uczuciach, lekarzy i bezsilności. Z krótkiej listy czynników sprzyjających rozwojowi depresji to one są w czołówce i sprawiają, że mężczyźni rzadziej trafiają do specjalistów. Dalszy rozwój wydarzeń był na tyle oczywisty, że niezauważalny nawet dla Mariusza. Im więcej było stresu w pracy, tym więcej godzin w niej spędzał, by nie zabierać jej do domu. Zresztą do mieszkania wracać nie chciał, bo w telewizorze widział tylko kolejne kadry z wojny toczącej się kilkadziesiąt kilometrów od niego. Od razu w biurze wskakiwał w dres i biegł kilka okrążeń dookoła krakowskich Błoń. Wracał koło północy, brał prysznic i pił drinka na rozluźnienie. Odkurzył stare płyty, bo radiowe listy przebojów też zamieniły się w kanały informacyjne. Stale czuł niepokój, ale odsuwał go od siebie. Podobno ludzie sukcesu wstają przed 5 i uprawiają sport. Czy zaliczają się do nich również ci, którzy budzą się o 3 i idą na basen? Albo ci, którzy w ogóle nie sypiają?

Dzień, w którym Mariusz po prostu usiadł, stał się tak ważny, ponieważ był zaprzeczeniem wszystkiego, co znał. W takie letnie popołudnia jak to lipcowe zazwyczaj wracał tylko na chwilę do domu, przebierał się i znikał w tętniącym mieście. Tym razem nadaktywny mężczyzna nagle nie mógł zrobić nic. Włożył buty, czapkę i usiadł na kanapie, jak przed długą podróżą. Minęła godzina, a on wciąż tam był. Nagle przypomniało mu się więcej podobnych sytuacji. Gdy sparaliżowany zastygł, trzymając klamkę od drzwi w biurze, albo gdy pod basenowym prysznicem woda przestała już dawno lecieć, a on dalej stał. To było coś więcej niż zamyślenie się.

– Trwało to aż do zmroku, czasem się kładłem, czasem siadałem. Nie odpisałem znajomym, nie ściągnąłem butów, uwolniła się lawina niesprecyzowanych myśli. Zazwyczaj, gdy tylko było mi źle, wychodziłem, ale wtedy mnie po prostu przygniotło – opisuje tamten stan.

Skala depresji

Na początku lat 80. XX wieku Szwedzki Komitet ds. Zapobiegania i Leczenia Depresji zauważył, że współczynnik samobójstw jest wyższy w Gotlandii niż w pozostałych regionach kraju. Za przyczynę tego zjawiska uznano słabe przygotowanie praktyczne lekarzy pierwszego kontaktu do rozpoznawania zaburzeń depresyjnych. Odpowiedzią był program szkoleniowy realizowany w ośrodkach zdrowia publicznego. Okazał się on na tyle skuteczny, że liczba zdiagnozowanych depresji wzrosła, a liczba samobójstw spadła. ↦

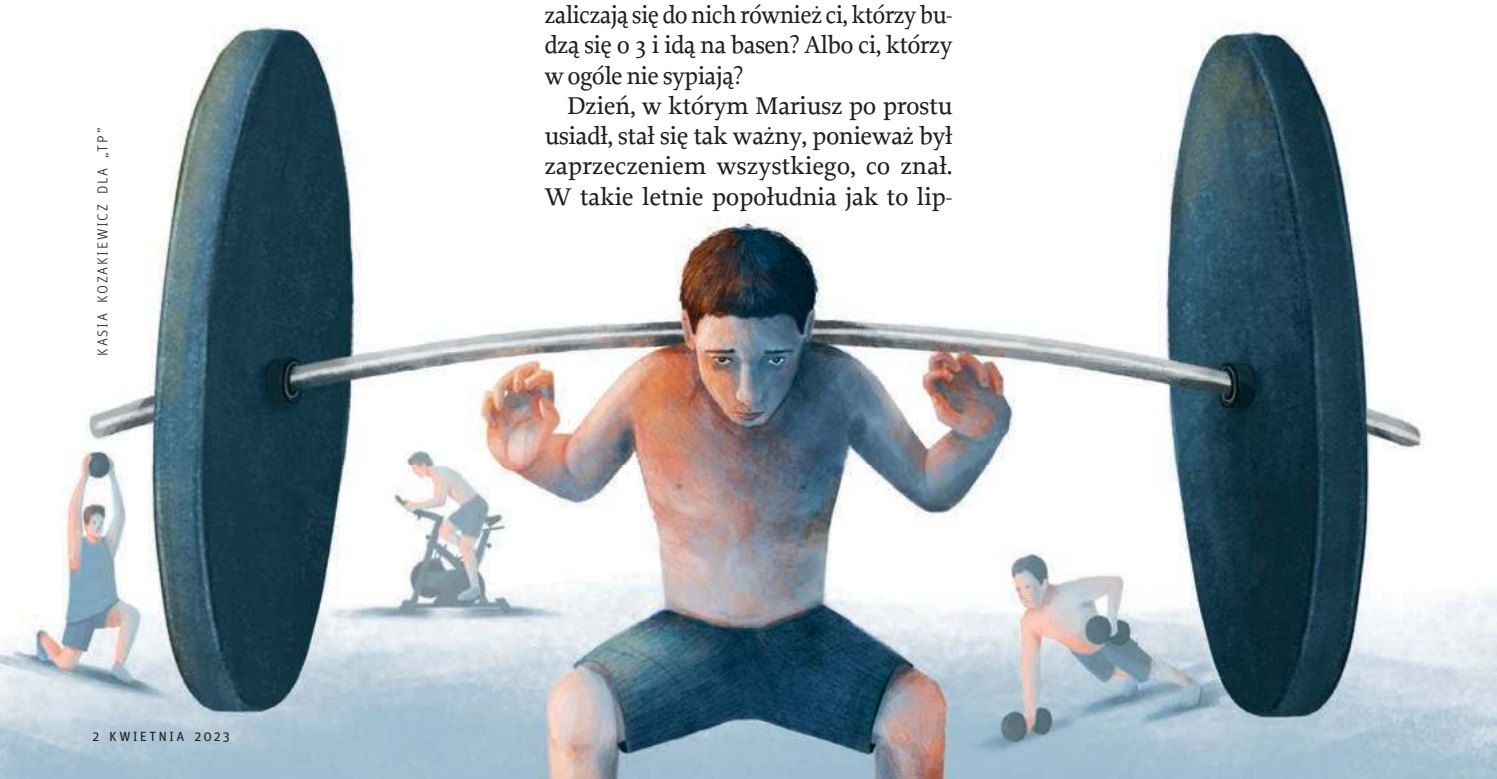

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

↦ Wdrożono go więc również w innych częściach kraju.

Diagnoza przyczyn problemu nie zadowalała jednak dr. Wolfganga Rutza, który był jednym z psychiatrów realizujących program na wyspie. Zasadniczy problem polegał na tym, że pozytywne zmiany zaobserwowano głównie u kobiet. Postanowił więc przyjrzeć się stereotypowi, że mężczyźni chorują rzadziej na depresję, bo przecież to oni częściej popełniają samobójstwo. Ta medyczna zagadka sprawiła, że powstała rewolucyjna praca naukowa na temat zaburzeń depresyjnych wśród mężczyzn. Dr Rutz odkrył, że to, co w przypadku kobiet może być w depresji objawem towarzyszącym (obok trzech głównych niezbędnych do rozpoznania), w przypadku mężczyzn jest charakterystyczne dla epizodu depresyjnego. Mowa o tak banalnych objawach jak np. rozdrażnienie, problemy z pamięcią, koncentracją lub ze snem. Czyli o czymś, czego w życiu doświadczył choć raz niemal każdy. Konkluzja była prosta: mężczyźni o depresji mówią innym językiem, bo inaczej jej doświadczają.

Zdaniem szwedzkiego psychiatry męska depresja manifestuje swoją obecność niespecyficznie, a trudności dodaje fakt, że wiele z tych objawów w przypadku mężczyzn może być traktowanych jako pewna norma społeczna lub kulturowa. Przyzwyczailiśmy się przecież do tego, że mężczyźni bywają wybuchowi, agresywni, przepracowują się, pozostają w ciągłym ruchu i nie mówią o tym, co czują.

Aby pomóc w diagnozowaniu depresji wśród mężczyzn, dr Rutz stworzył Gotlandzką Skalę Męskiej Depresji (GDMS), która zwraca uwagę na te pomijane aspekty. Podczas wywiadu pacjent pytany jest nie tylko o spadek nastroju, anhedonię (czyli niemożność bądź ograniczoną zdolność odczuwania przyjemności) i brak motywacji, ale również o ryzykowne zachowania, nadużywanie środków psychoaktywnych oraz wypalenie zawodowe. Mężczyzna w gabinecie lekarskim rzadko powie „jest mi ze sobą źle, czuję smutek". Częściej zakomunikuje lekarzowi: „jestem zestresowany, wszystko mnie denerwuje, szybko się męczę i źle sypiam", wskazując na to, że przed czymś ucieka. Na to dr Wolfgang Rutz uwrażliwił szwedzkich lekarzy i okazało się to strzałem w dziesiątkę.

Mariusz włożył buty, czapkę i siadł na kanapie, jak przed długą podróżą. Minęła godzina, a on wciąż tam był. Przypomniało mu się więcej podobnych sytuacji.

Dziś Gotlandzka Skala Męskiej Depresji coraz częściej stosowana jest również poza Szwecją, a jej adaptację na język polski zrobił prof. Jan Chodkiewicz z Uniwersytetu Łódzkiego.

Wyciskanie, martwy ciąg i testosteron

Jesienią i zimą siłownie zapełniają się nowymi klientami. Wielu z obecnych tam mężczyzn to wyznawcy klasycznego rozładowywania napięcia poprzez aktywność. Sport – choć u niektórych może wspomagać i profilaktykę, i leczenie zaburzeń psychicznych – może być też substytutem mierzenia się z nagromadzonym stresem i trudnościami. Podnoszenie fizycznych ciężarów jest łatwiejsze niż ściąganie tych psychicznych z głowy. „Co dzisiaj robisz?" – pyta chłopak o atletycznej budowie ciała. „Barki i wkurwienie na szefa" – żartuje kolega na ławeczce obok.

Specjaliści nie mają złudzeń, łatwiej trafić na siłownię niż po pomoc. Karnety sportowe to już standard w polskich firmach, wsparcie psychologiczne pracowników wciąż należy do rzadkości. Powodem nie zawsze są traumy wyniesione z dzieciństwa i krzywdy, które narastają latami. Czynnikiem wzmacniającym podatność na zaburzenia depresyjne jest również przewlekły stres przechodzący w lęk uogólniony (bez wyraźnego powodu). Nieumiejętność odreagowania dzisiaj i niepewność jutra są wystarczającymi powodami, by szukać wsparcia medycznego oraz psychologicznego.

Zdaniem psychiatry i psychoterapeuty dr. Krzysztofa Krajewskiego-Siudy zaburzenia lękowe zwiększają ryzyko epizodu depresyjnego aż trzykrotnie, 30 proc. z nich ewoluuje w depresję. – To wynika z zachwiania proporcji. Nasza biologia nie nadąża za przemianami kulturowymi. Przede wszystkim chodzi o styl życia, który czyni nas narcyzami i rozbudza różne apetyty, a te nie zawsze jesteśmy w stanie zaspokoić. Rozdźwięk pomiędzy tym, czego pragnę, a tym, co jestem w stanie osiągnąć, często kończy się depresyjnością. Brakuje nam refleksji nad ograniczeniami i uznania ich – wyjaśnia.

Jest jeszcze jedna ciemna strona medalu, której nie dostrzeżemy w perfekcyjnych sylwetkach sportowców amatorów. Niektórzy mężczyźni pragnąc dogonić swoje własne wygórowane oczekiwania, sięgają po suplementację środków dietetycznych i medycznych. Dzieje się to poza kontrolą specjalistów. Niebezpieczny jest zwłaszcza testosteron. Jego nadmiar i nagłe odstawienie to niemal pewna droga do choroby lub zaostrzenia nieujawnionego wcześniej epizodu. – Miałem pacjenta, u którego rozregulowanie gospodarki hormonalnej spowodowało depresję. To w ogóle najtrudniejszy typ pacjenta dla psychiatry i endokrynologa – wyjaśnia dr Krajewski-Siuda. – Mężczyźni suplementujący testosteron bez żadnej kontroli tak naprawdę się kastrują. I nie jest to metafora, bo do mojego gabinetu trafiają również kobiety po wielu nieudanych próbach zajścia w ciążę – dodaje.

Zanim Mariusz zdecydował się na wizytę u psychiatry, minęło jeszcze kilka tygodni. Wychowany w latach 90., był przesiąknięty tym, co wyniósł z podwórkowych przepychanek, gdy słowa „psychiatra" i „choroba psychiczna" były równoznaczne z obelgą „psychol". O tym wewnętrznym dysonansie opowiada ktoś, kto na poziomie racjonalnym potrafił przyjąć, że ma problem. Emocjonalnie czuł jednak ogromny opór przed zgłoszeniem się do specjalisty. Aby przekonać samego siebie, powoli zaczął zbierać argumenty „za" i „przeciw", dużo czytać, odsiewać informacje. Nie wszystko, co znalazł w internecie, rozumiał. Miał problemy z przebrnięciem przez te wszystkie porady w stylu „pokochaj siebie" – dla niego to był obcy język.

W końcu pojawiła się nić łącząca wszystkie wątki. W tekstach opisują-

cych dokładnie to, z czym się mierzy, zaczynało powtarzać się jedno słowo – „depresja". Tak powoli doszedł do momentu, w którym potrafił już własnymi słowami opisać towarzyszące mu od tygodni objawy. Nakładały się one na rozpoznanie zaburzeń: anhedonię, obniżenie nastroju i spadek napędu.

Praca z emocjami

Prof. Krajewski-Siuda zauważa pewną prawidłowość wśród mężczyzn z depresją, których na przestrzeni wielu lat spotykał w gabinecie. W trzech czwartych przypadków rejestruje ich ktoś bliski – najczęściej partnerka lub matka. Bywa, że na wizytę przychodzą z kimś. W końcu też, gdy już trafiają do gabinetu psychiatrycznego, są najczęściej w ciężkiej depresji. Gdy mówią o myślach rezygnacyjnych („byłoby lepiej, gdybym zniknął"), bywa, że są to już myśli samobójcze („chcę/muszę ze sobą skończyć"). Natomiast próby samobójcze zdecydowanie częściej kończą się dla nich śmiercią niż w przypadku kobiet.

Psychiatra sugeruje, żeby w przypadku podejrzenia u siebie depresji zacząć od lekarza, który może przepisać nie tylko leki, ale przede wszystkim dodatkowe badania oraz zwolnienie lekarskie, jeśli jest konieczne.

Mariusz najpierw poszedł na wizytę wstępną i kilka podstawowych badań, żeby wykluczyć inne przyczyny somatyczne epizodu depresyjnego, bo diagnozę „depresja" usłyszał niemal od razu. W czasie drugiej wizyty, gdy wyniki badań wyszły w normie, lekarz wprowadził leki, jeden główny i drugi wspomagający. Następnie kilka tygodni Mariusz obserwował, jak antydepresanty działają na organizm. Po drodze miał jedną zmianę leku wspomagającego, który powodował nadmierną senność. Podczas czwartej wizyty pojawił się temat psychoterapii. Psychiatra nie nalegał, ale podsunął mu adresy kilku terapeutów i zasugerował, że to może dać Mariuszowi narzędzia do radzenia sobie ze stresem. Mariusz wybrał terapeutę mężczyznę.

– Nawet rozmowa o tym, że miałem stresujący dzień w pracy, wkurzył mnie szef lub kolega, była dla mnie niezwykle trudna i wciąż jest. Odsłanianie się przed kimś z tego, co uznajemy za porażkę, nie jest przyjemne. Gabaryt tej porażki nie jest wcale ważny. Nagle musisz powiedzieć to na głos sobie i jeszcze komuś obok. A później odkrywasz, że istnieją proste techniki zdejmowania stresu, zwalniania, relaksacji, i działają – dzieli się przemyśleniami Mariusz.

Za największy sukces psychoterapii, którą rozpoczął, uważa to, że dziś potrafi się dystansować od wydarzeń, a nie od własnych emocji.

Za największy sukces psychoterapii, którą rozpoczął, uważa to, że dziś potrafi się dystansować od wydarzeń, a nie od własnych emocji. Bo te są zawsze, a leczenie depresji to praca z emocjami równie ważna jak farmakoterapia. Czasem polega na mierzeniu się z emocjonalną przyczyną zaburzenia depresyjnego, a czasem jest pracą z emocjonalnymi konsekwencjami przebytego już epizodu. Lęk i wstyd to dwa najsilniej maskujące stany emocjonalne. Korzenie pewnych mechanizmów Mariusz odnalazł również we wcześniejszych doświadczeniach, ale to już materiał na inną opowieść.

Zaburzenie bez płci

Mężczyzna w depresji – przynajmniej statystycznie – częściej zamyka się przede wszystkim w sobie, a nie w mieszkaniu. Męska depresja bywa nieuchwytna dla samego pacjenta. „Nic nie wskazywało, że może to zrobić" – nie jest banalnym wytłumaczeniem powodów samobójstwa, ale szokiem realnie doświadczanym przez bliskich. Wielu mężczyzn nauczyło się, że granice ich męskości wyznacza pancerz ściągający emocje, chroniący miękkie podbrzusze. Nie przyznają do niego dostępu nawet sobie.

Psychiatrzy są zdania, że epidemiologicznie nie ma znaczących różnic w zapadalności na depresję wśród kobiet i mężczyzn. Różnica jest w jej diagnozowaniu. Kobiety trzy razy częściej leczą depresję, ale to mężczyźni nawet czterokrotnie częściej są ofiarami samobójstw.

Według danych Komendy Głównej Policji w 2022 r. na 5201 samobójstw aż 80 proc. ofiar to mężczyźni. Męski obraz depresji może za kilkadziesiąt lat stać się dominującym zjawiskiem w rozpoznaniu niezależnie od płci. Różnice doświadczeń między mężczyznami i kobietami z czasem zaczną się zacierać, ponieważ wszyscy uczestniczymy w tym samym wymagającym wyścigu o pracę, życie, uznanie. Dlatego mówienie o męskiej depresji jest pretekstem nie tylko do odsłaniania zaburzeń depresyjnych wśród mężczyzn, ale też do dyskusji o tym, jak indywidualnym zespołem objawów jest ta choroba, która cały czas ewoluuje.

Jak może wyglądać mężczyzna w depresji?

Jak Michael Phelps, który odbierając poczwórne złoto podczas igrzysk olimpijskich w Londynie myślał o tym, że chce ze sobą skończyć. „Chciałem zniknąć ze świata sportu, przestać się ścigać, w ogóle przestać istnieć (...) Zdarzały się dni, gdy czułem, że największym sukcesem jest podniesienie się z łóżka. W porównaniu z tym zdobywanie złotych medali to łatwizna" – przyznał po latach na konferencji prasowej.

Albo jak Ralph Kamiński, będąc u szczytu sławy. „Od zawsze myślałem, żeby wystąpić na Open'er Festival. Myślałem, że to mnie wyzwoli i po tym koncercie cudownie ozdrowieję. Byłem tam ciałem, ale jakby wcale mnie tam nie było. Tłumy ludzi, oklaski, powinienem czuć się jak bóg, a schodząc, czułem się jak najgorsza na świecie osoba, nic niewart" – powiedział w wywiadzie dla magazynu „Elle".

Osoba chorująca na depresję potrafi latami funkcjonować na pozór normalnie. Z perspektywy otoczenia może wydawać się, że jest człowiekiem sukcesu skupionym na dążeniu do celu. Depresja jednak cały czas skutecznie go zatruwa, aż w końcu nieleczona prowadzi na skraj przepaści. © SZYMON ŻYŚKO

Autor jest dziennikarzem, ostatnio opublikował, wraz z Krzysztofem Krajewskim-Siudą, książkę „Męska depresja. Jak rozbić pancerz" (Mando, Kraków 2023).

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 307/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Bolesławie Balcerzaku, synu Edwarda i Stefanii Eugenii z domu Tymińskiej, zmarłym w dniu 23 listopada 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 84/22 prowadzone jest postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Kruczek, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Jelczu-Laskowicach (55-220) przy ul. Piastowskiej 20/10. Skład spadku nie został ustalony.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Oławie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 1088/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Zbigniewie Żukowskim, synu Zbigniewa i Janiny, urodzonym w dniu 5 marca 1934 r. w Warszawie, zmarłym w dniu 13 sierpnia 2022 r. w Warszawie, którego ostatnie miejsce zwykłego pobytu znajdowało się przy ul. Rakietników 50 w Warszawie. W skład spadku wchodzi odrębna własność lokalu mieszkalnego nr 13 przy Rakietników 50 w Warszawie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 24/23 toczy się postępowanie z wniosku BNP Paribas Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Tomaszu Kołsucie urodzonym dnia 6 czerwca 1965 r., synu Henryka i Antoniny, zmarłym dnia 3 maja 2022 r. w Ziębicach, ostatnio zamieszkałym w Ziębicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Tomaszu Kołsucie, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Na wniosek Gminy Miasta Jaworzna wszczęto przed Sądem Rejonowym dla miasta stołecznego w Warszawie pod sygnaturą II Ns 737/22 postępowanie o uznanie za zmarłego Walentego Musiała urodzonego 4 lutego 1909 roku w Jaworznie, syna Marianny Musiał z domu Figiel i Franciszka Musiała. Sąd wzywa Walentego Musiała, aby w terminie 3 miesięcy zgłosił się do tutejszego sądu, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego.

Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie Wydział I Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 720/22/P z wniosku Alicji Szymaszek, Adama Woźniczki, Janiny Sochy, przy uczestnictwie Krzysztofa Woźniczki, Ireny Nowickiej, Jadwigi Jerzyk, Ryszarda Prociaka, Jana Prociaka, o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Krakowie przy ul. Zadworze 11, 30-718 Kraków, składającej się z działki ewidencyjnej nr 98, ob. 17, jedn. ewid. Podgórze, dla której Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie Wydział IV Ksiąg Wieczystych prowadzi księgę wieczystą nr KR1P/00059372/1.

W związku z tym Sąd wzywa wszystkich właścicieli nieruchomości lub ich spadkobierców, w szczególności spadkobierców Tomasza Heretyka (zmarłego w dniu 13 maja 1971 r. we Francji), aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swe prawa do nieruchomości pod rygorem ich pominięcia i stwierdzenia zasiedzenia, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 454/20 toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Wańkowicz i Ryszarda Wańkowicza z udziałem Kazimierza Wańkowicza o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonych w Pruchniku (powiat jarosławski) oznaczonych ewidencyjnie:
- nr 1971/4 o powierzchni 0,0571 ha, objętej księgą wieczystą Sądu Rejonowego w Jarosławiu V Wydziału Ksiąg Wieczystych nr PR1J/00067177/2, a zapisanych na Włodzimierza Bieniasza, Kazimierza Wańkowicza i Mieczysława Wańkowicza,
- nr 1971/2 o powierzchni 0,0430 ha, objętej księgą wieczystą Sądu Rejonowego w Jarosławiu V Wydziału Ksiąg Wieczystych nr PR1J/00011388/7, a zapisanych na Kazimierza Wańkowicza i Mieczysława Wańkowicza.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie on udowodniony.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. akt I Ns 597/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Barteckim, synu Kazimierza i Agnieszki urodzonym 22.08.1956 roku w Gliwicach, zmarłym w dniu 22.02.2020 roku w Gliwicach, ostatnio stale zamieszkałym w Gliwicach.

Sąd wzywa spadkobierców Andrzeja Barteckiego, aby zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili nabycie spadku w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: *Afuturyzm*

Minęło niedawno 20 lat od amerykańskiej inwazji na Irak, w mediach więc – jak zwykle przy takich okazjach – pojawiło się mnóstwo podsumowań: politycznych, historycznych, militarystycznych i innych. Nie zamierzam dodawać kolejnego elementu do tego zbioru, nie miałbym zresztą wiele więcej do powiedzenia niż to, co na różne sposoby w wielu miejscach powiedziano. A mianowicie, że ostatecznie z tego przedsięwzięcia z pewnością nie wynikło to, co miało wyniknąć, i że bilans minusów przewyższa bilans plusów. Odzwierciedlają to zresztą badania opinii publicznej. Wedle sondażu przeprowadzonego w 2019 r. przez Pew Research Center, ponad 60 proc. Amerykanek i Amerykanów uważa, że 20 marca 2003 r. George W. Bush popełnił fatalny błąd.

Czy jednak, gdyby zachował się inaczej, cieszyłby się dziś większą społeczną sympatią? Nie mam pojęcia, trajektorie, po których podążają sprawy naszego życia, są przewidywalne tylko w skrawkach. Dotyczy to jednostkowego losu – o czym z pewnością każdy z nas gotów jest zaświadczyć, przywołując stosowne rozczarowania, zaskoczenia i niespodziewane zwroty, które go spotkały lub właśnie spotykają – a co dopiero losu wielkich wspólnot, państw czy imperiów. Nie oznacza to oczywiście, że nie mamy dziś prawa oceniać tamtej decyzji również przez pryzmat jej znanych już nam – a wówczas nieistniejących nawet na poziomie spekulatywnym – konsekwencji. Owszem, możemy. W 2003 r. też zresztą różnie ją oceniano – od jednoznacznego wsparcia, euforii i przekonania, że oto nadchodzi nowa era w geopolitycznych dziejach świata (jak wieszczyły radośnie amerykańskie gazety), aż po zdecydowany krytycyzm, podejrzliwość i defetyzm. Przeciwnicy od początku mieli mocne argumenty, na długo zanim jeszcze się okazało, że deklarowany główny powód – „brudna" broń jądrowa, jaką Irak miał rzekomo produkować w jakichś tajnych zakładach – był, delikatnie rzecz ujmując, fake newsem. Zwolennicy natomiast pożytkowali retorycznie wciąż jeszcze dotkliwy i żywy wstrząs, jakim były wcześniejsze o półtora roku ataki na World Trade Center – symboliczny koniec marzenia o stabilności i przewidywalności aktywnego wciąż jeszcze na przełomie stuleci.

W każdym razie po dwóch dekadach jesteśmy niewątpliwie mądrzejsi względem roku 2003. Tamte debaty postrzegamy w zgoła odmiennym świetle. Sprawnie katalogujemy ówczesne naiwności, zaślepienia, nieadekwatności. Potrafimy bezbłędnie wskazać luki w rozumowaniach, wytropić i zanalizować najdrobniejsze przejawy myślenia życzeniowego oraz pracę innych zagięć i zakrzywień poznawczych. Znamy szersze konteksty, niegdyś całkiem zasłonięte, a także konsekwencje, albo niemożliwe do przewidzenia, albo nieświadomie marginalizowane, żeby wybrać scenariusz, który w tamtym momencie jawił się jako najkorzystniejszy. Wreszcie – bogatsi jesteśmy o wiedzę, co potem się wydarzyło i wpłynęło na bieg zdarzeń, a czego nie dałoby się uniknąć z pomocą żadnych naszych wyborów, ponieważ nie było to kwestią wyboru, lecz przypadku.

Skądinąd tak się właśnie rzeczy mają w odniesieniu do każdej bez mała decyzji, jaką podejmujemy – w skali globalnej czy indywidualnej. Większa część tych decyzji i ich konsekwencji rozpływa się w powietrzu, znika, ulega natychmiastowemu niemal zapomnieniu – inne natomiast okazują się fundamentalne. Do tego stopnia, że obchodzimy ich rocznice nie tylko 20, ale i 200 czy też 2000 lat po zaistnieniu. I za każdym razem towarzyszy nam taka właśnie refleksja: że z perspektywy teraźniejszości przeszłość wygląda zupełnie inaczej, niż kiedy sprawy minione wydarzały się „tu i teraz".

A jednak „prezentyzm", to znaczy spoglądanie na historię tylko i wyłącznie z aktualnego punktu widzenia, słusznie uważa się za moralny i poznawczy błąd. Cechuje go w szczególności ślepota na złożoność i ograniczoność sytuacji każdego człowieka, który – decydując się na jakieś działanie bądź zaniechanie – rozporządza wyłącznie tym, co się już wydarzyło i wydarza, nie zaś tym, co dopiero nadejdzie.

Cóż, prezentyzm faktycznie jest błędem poznawczym i moralnym, uniemożliwia nam bowiem lepsze rozumienie historii i niesprawiedliwie traktuje wcześniejsze pokolenia. Ale czy podobnym błędem nie jest – tworzę tę nazwę na poczekaniu, może ktoś zaproponuje lepszą – niezwykle dziś, mam wrażenie, powszechny „afuturyzm"? To znaczy: stuprocentowe zakotwiczenie w teraźniejszości; zero pokory wobec własnych mentalnych ograniczeń; pyszne przekonanie o moralnej doskonałości; odmowa przyjęcia do wiadomości, że świat jest nieprzejrzysty i skomplikowany, i że każda poważna decyzja zaowocuje konsekwencjami, których nie da się w pełni przewidzieć; a co najważniejsze – brak świadomości, że przyszłe pokolenia będą na nas patrzeć z równym niesmakiem i poczuciem wyższości, z jakimi my spoglądamy na naszych poprzedników?

Oczywiście nie twierdzę, że to właśnie powodowany taką filozofią George W. Bush zdecydował o inwazji na Irak. Twierdzę jedynie, że, być może, gdyby zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw afuturyzmu, wtedy zarówno jego ówczesne decyzje, jak i nasz dzisiejszy świat wyglądałyby trochę inaczej. Twierdzę także, że nasza przyszłość może być zdecydowanie lepsza, jeśli dzisiejsi decydenci i decydentki nie dadzą się uwieść tyleż magnetycznemu, co często tragicznemu w skutkach urokowi afuturyzmu. ©

JUAN CARLOS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Przyjaciele i mieszkańcy Madrytu oddają hołd zamordowanemu w Londynie Ignaciowi Echeverrî, 8 czerwca 2017 r.

Z DESKOROLKĄ NA OŁTARZE

Ignacio Echeverría, prawnik i skater, podczas ataku terrorystycznego na London Bridge stanął w obronie kobiety i zginął. Teraz może zostać świętym.

DOMA MATEJKO

Ostatnie godziny życia Ignacia Echeverríi nieszczególnie przypominały te z żywotów świętych, do których na przestrzeni wieków zdążyliśmy się przyzwyczaić. Jest 3 czerwca 2017 r., Londyn. Ignacio spotyka się z dawno niewidzianym kolegą, wypija piwo lub dwa i wraca do domu. Ma ze sobą deskorolkę. Rzadko kiedy wychodzi bez niej z domu. Nic nie zapowiada tragedii, która wydarzy się chwilę później.

W marcu 2017 r. miał miejsce atak terrorystyczny na moście Westminster, w maju terrorysta-samobójca wysadził ładunki wybuchowe na koncercie Ariany Grande, zabijając 22 osoby. Jednak 27 maja stan zagrożenia terrorystycznego w mieście obniżono z najwyższego, krytycznego, do poważnego. Na początku czerwca londyńczycy mieli nadzieję, że odetchną trochę spokojniej.

Ignacio w każdej wolnej chwili jeździł na desce z kolegami. Przemierzali razem ulice Londynu, a popołudnia spędzali w skateparkach. Był z nich najstarszy, ukończył prawo i jako jedyny miał poważną pracę, a pod bluzą z kapturem często chował koszulę. Nie wyglądał na typowego skate'a ani na prawnika, był kimś pomiędzy. Zawsze w ruchu, z tendencją do pakowania się w problemy. Wtedy, w sobotni wieczór, kiedy przejeżdżał w okolicach Borough Market, trójka terrorystów wjechała na London Bridge, zabijając przypadkowych przechodniów.

Napastnicy wysiedli z białej furgonetki renault i zaczęli atakować ludzi nożem. Ignacio użył deskorolki jako tarczy, aby obronić młodą kobietę przed atakiem. Chwilę później sam został raniony dwa razy w plecy. Jonathan Moses, młody lekarz, który jadł kolację w pobliskiej restauracji, widząc, co się stało, podjął próbę reanimacji. Bezskutecznie. Ignacio zmarł. Miał 39 lat.

Bohater z deskorolką

Przez cztery dni rodzina i przyjaciele Echeverríi nie wiedzieli, co się z nim stało. Dzwonili do wszystkich szpitali, byli w kontakcie z policją. Nikt nie umiał udzielić im pewnej informacji. W mediach pojawił się opis Ignacia: „Młody mężczyzna 1,75 metra wzrostu o wadze 85 kilogramów z blizną nad jedną z brwi. Gdy widziano go po raz ostatni, miał na sobie dżinsy, ciemny sweter, tenisówki Vans i łańcuszek ze złotym medalikiem". Z każdym dniem i godziną najczarniejszy scenariusz wydawał się coraz bardziej realny.

To były najdłuższe cztery dni w życiu Joaquína Echeverríi – ojca Ignacia. Paradoksalnie jego niepokój minął w chwili, kiedy zobaczył ciało syna. „Ignacio już nie cierpi" – powie w jednym z wywiadów udzielonych chwilę po tragicznej wiadomości. Ciało Ignacia wróciło do Hiszpanii wojskowym samolotem i zostało przyjęte z honorami przez ówczesnego premiera Mariano Rajoya oraz ministrę obrony narodowej, Maríę Dolores de Cospedal. Rajoy w czułym geście objął rękoma twarz matki Ignacia, po czym złożył na jej ręce Order Zasługi Cywilnej – jedno z najwyższych odznaczeń państwowych. Rok później z rąk królowej Elżbiety II rodzice Ignacia odebrali medal Jerzego – drugie pod względem ważności odznaczenie cywilne w Wielkiej Brytanii. ↦

↦ W Las Rozas, rodzinnym mieście Ignacia, oddalonym o 20 km od Madrytu, ogłoszono dwa dni żałoby i zorganizowano memoriał. Setki skate'ów wzniosło w górę swoje deskorolki, oddając w ten sposób cześć zabitemu. Każda z osób, z którą rozmawiałam, przywoła później tę scenę. Ignacio zdobył nowy przydomek: „Bohater z deskorolką", a jego imieniem nazwano pobliski skatepark i szkołę.

Trzecia droga

Miesiąc po śmierci Ignacia, 11 lipca, papież Franciszek ogłosił nową drogę do kanonizacji. Jak podaje dokument wydany w formie *motu proprio*, czyli z inicjatywy własnej papieża, stały się nią „dobrowolne i szczere ofiarowanie życia oraz heroiczna zgoda z miłości na pewną i mającą niebawem nastąpić śmierć", w połączeniu z praktykowaniem religii „przynajmniej w sposób zwyczajny" oraz ogólna opinia o świętości.

Do tej pory na ołtarze wynoszono na podstawie drobiazgowego badania heroiczności cnót praktykowanych przez kandydata lub stwierdzając męczeńską śmierć za wiarę. Trzecia droga otworzyła Kościół na „zwyczajnych świętych", takich, którzy, owszem, praktykują wiarę katolicką, ale niekoniecznie w sposób nadzwyczajny. Wystarczy uczestnictwo w niedzielnej mszy i przystępowanie do sakramentów.

To właśnie ta nowa droga stworzyła rodzinie i przyjaciołom Ignacia możliwość rozpoczęcia starań o otwarcie jego procesu beatyfikacyjnego. Od momentu śmierci Ignacia jego ojciec bardzo się stara, aby jak najwięcej osób dowiedziało się o bohaterskim czynie syna. Udziela wywiadów, głosi prelekcje w szkołach, w 2019 r. wydał książkę „Taki był mój syn Ignacio: bohater z deskorolką" („*Así era mi hijo Ignacio: el héroe del monopatín*"). Mimo że od tamtej czerwcowej nocy minęło już ponad pięć lat, Joaquín kiedy opowiada o synu, mówi szybko, rytmicznie i z takim zaangażowaniem, jakby tragedia wydarzyła się niedawno.

– To, czy Ignacio będzie świętym, czy nie, nie czyni ani jego, ani mnie lepszymi – mówi Joaquín w rozmowie z „Tygodnikiem". – Chcę jedynie, aby jego śmierć nie poszła na marne, aby była użyteczna.

Jak przyznaje, są osoby, które jego poszukiwanie sensu w pozornie bezsensownej i przypadkowej śmierci uważają za naiwne, ale według niego Ignacio został wybrany, aby umrzeć w ten sposób.

Buntownik

Operator kamery starał się uchwycić wszystkich gości na ślubie swojego przyjaciela Guillerma. Lata później, już po śmierci Ignacia, kiedy ból i smutek osłabły, Guillermo wrócił do nagrania ze ślubu, na którym jego przyjaciel Ignacio był świadkiem. – Chciałem sobie przypomnieć tę chwilę, zobaczyć go szczęśliwym – opowiada Guillermo.

Kamera dociera do stolika, przy którym siedzi Ignacio. Wszyscy śmieją się i rozmawiają, a Ignacio podpiera głowę na ramieniu, nie ukrywając znużenia. – Osoby, z którymi siedział, nudziły go i tyle – komentuje Guillermo. – Ignacio był politycznie niepoprawny. Nigdy nie starał się dopasowywać, mówił głośno to, co myślał, i nie obchodziło go, jak odbierają go inni. Był autentyczny, był sobą.

Nie był z tych, którym zawsze się udaje, którzy jakoś się prześlizgują i wychodzą z największych opresji bez szwanku. Wiele razy zmieniał pracę. Nie mógł znaleźć swojego miejsca. Jego szczerość nie była najwyżej cenioną cechą w sektorze bankowym, gdzie pracował. – Opowiadał, że często miał problem z szefami. Interpretował przepisy dosłownie. Często wprost mówił swoim zwierzchnikom, że nie mogą podpisać danej umowy, bo przepisy na to nie pozwalają. Jego szefów doprowadzało to do szału – wspomina Guillermo.

W swojej ostatniej pracy był zatrudniony w londyńskim holdingu HSBC jako analityk ds. przeciwdziałania praniu brudnych pieniędzy.

Również w życiu osobistym nie wszystko szło tak, jakby tego chciał. – Zapisał się do Akcji Katolickiej tutaj, w Madrycie, żeby znaleźć żonę – opowiada Joaquín Echeverría. – Chciał, żeby podzielała jego światopogląd.

Niestety okazało się, że w grupie były same małżeństwa. Jego obowiązkowość nie pozwoliła mu jednak na opuszczenie grupy. Udzielał się w niej bardzo aktywnie, aż do samego wyjazdu do Londynu. Nigdy nie odpuszczał, a że nie był człowiekiem wybitnie utalentowanym, może poza jazdą na deskorolce, to wiele rzeczy przychodziło mu z trudnością. Jak relacjonują jego znajomi, potrafił spędzić całe lato, ucząc się do egzaminów poprawkowych na Sorbonie, gdzie studiował, a z wysiłku i wyczerpania schudnąć tak bardzo, że aż zmarszczki wychodziły mu na twarzy. Ale i tak się nie poddawał.

Ciągły pech

Na północy Hiszpanii leży nadmorskie miasteczko o nazwie Comillas, które swego czasu wypromowano na miejscowość wczasową dla ludzi z wyższej klasy średniej. To właśnie tam Guillermo poznał Ignacia, kupując piankę pływacką. Zazwyczaj chłopcy z Madrytu, tacy jak Guillermo i Ignacio, nie kolegowali się z chłopakami z Comillas. Takie były zasady. Jednak Ignacio, który znany był z nieprzestrzegania konwenansów, przyjaźnił się ze wszystkimi, a przy okazji na każdym kroku pakował się w kłopoty.

– Kiedyś, jak już byliśmy dorośli, siedzieliśmy na głównym placu w Comillas. Nagle podchodzi do nas trzech chłopaków i chce nas bić. Pomyślałem: to z pewnością dlatego, że jestem z Ignaciem. Tylko jemu przydarzały się takie rzeczy – wspomina Guillermo z uśmiechem.

Wtedy wszystko skończyło się dobrze. Innym razem, na plaży w Kantabrii, Ignacio – korzystając ze swoich umiejętności pływackich – ocalił dwie topiące się osoby. Jednak historii, z których wychodził cało, jest mało. Wielokrotnie został pobity, broniąc słabszego. Kiedyś stanął w obronie chłopca, którego dręczyła grupa chuliganów. „Zostawcie go, nic mu nie róbcie" – krzyczał. Napastnicy pobili Ignacia tak, że blizny pozostały na wiele miesięcy. Do swojego przyjaciela Guillerma powiedział „Chcieli mnie zabić". – Płakał, a nie był człowiekiem skłonnym do łez. Był wręcz dość chłodny – opowiada Guillermo. – Mógł cię nie widzieć rok, a potem na przywitanie pomachać i rzucić „siema".

Niedopasowany

Ignacio był wszędzie tam, gdzie teoretycznie powinno go nie być. Ta tendencja towarzyszyła mu do samego końca. Był religijnym chłopakiem wśród skate'ów, którzy nie słyną z przesadnej pobożności. Był deskorolkarzem w bluzie z kapturem na spotkaniach wspólnot katolickich. Teoretycznie nie pasował nigdzie. Na weekendy, które spędzał, surfując, zabierał mszalik na wypadek, gdyby nie miał możliwości iść na mszę.

JOAQUÍN ALONSO ECHEVERRÍA / TWITTER

Ignacio Echeverría na zdjęciu udostępnionym przez jego ojca

Już po śmierci Ignacia jego rodzina dowiedziała się, że w jednej z parafii w Londynie udzielał katechezy dla dzieci hiszpańskojęzycznych. Wiara była częścią jego wielowymiarowego życia. Zapewne niektórzy głęboko praktykujący ludzie nie będą pod szczególnym wrażeniem jego postawy religijnej. W końcu Ignacio tylko spełniał „normy"...

– Przykład Ignacia pokazuje, że świętość jest uniwersalna – mówi „Tygodnikowi" postulator procesu beatyfikacyjnego, Juan Carlos Mollejo. Jak przyznaje, religijność Ignacio ma dużą wagę przede wszystkim dlatego, że dopełniała się w codzienności. Na elektroniczną skrzynkę pocztową postulacionecheveriia@gmail.com przychodzą wiadomości od osób, które, zainspirowane postawą Ignacia, postanowiły coś zmienić w swoim życiu, lub które miały doświadczyć szczególnej łaski za jego pośrednictwem.

– Mamy historię mężczyzny, który twierdzi, że za wstawiennictwem Ignacia został uzdrowiony z przewlekłej choroby serca – opowiada Mollejo.

Oczywiście jest za wcześnie, żeby oficjalnie mówić o cudzie uzdrowienia, ale ważne jest to, jak historia Ignacia oddziałuje na ludzi. – Do śmierci Ignacia nie byłem osobą praktykującą, nie przystępowałem do sakramentów – opowiada Joaquín Echeverría.

Ojciec Ignacia nie mógł i nadal nie może pogodzić się ze skandalami, jakie są udziałem często wysokich hierarchów Kościoła katolickiego. – Kiedy jednak zobaczyłem martwe ciało mojego syna, poczułem spokój, wynikający z pewności, że jest w niebie. Wtedy zdałem sobie sprawę, że moja wiara jest głębsza, niż mi się wydawało.

Śmierć z wiary

Od śmierci Ignacia minęło pięć lat. Według prawa kanonicznego może więc rozpocząć się proces beatyfikacyjny. Jednak procedura jest bardzo złożona. Zwłaszcza biorąc pod uwagę okoliczności i miejsce, gdzie zmarł Ignacio.

Zazwyczaj osobą wnoszącą do Watykanu o rozpoczęcie procesu jest biskup diecezji, w której zmarł kandydat lub kandydatka do beatyfikacji. W przypadku Ignacia byłby to biskup południowej diecezji Londynu, Southwark. Jednak wspólnota osób, które zainicjowały działania dążące do otworzenia procesu beatyfikacyjnego, tj. rodzina i przyjaciele Ignacia, przebywa w Hiszpanii. Również w Madrycie, a nie w Londynie, znajduje się większość dokumentów, które mogą okazać się użyteczne w procesie.

Dlatego Juan Carlos Mollejo zwrócił się do arcybiskupa Madrytu kard. Carlosa Osoro, aby ten poprosił ordynariusza Southwark, abp. Johna Wilsona, o wyrażenie zgody na przejęcie przez archidiecezję w Madrycie jego kompetencji. Jeżeli angielski hierarcha wyda taką zgodę, kolejnym krokiem będzie uzyskanie pozwolenia Watykanu na otwarcie procesu beatyfikacyjnego na poziomie diecezjalnym, czyli w Madrycie.

Ten etap może potrwać kilka lat. Trzeba przesłuchać zarówno rodzinę, przyjaciół, jak i świadków śmierci Ignacia oraz zebrać świadectwa od osób, które zainspirowane jego postawą zmieniły swoje życie na lepsze lub pogłębiły swoją wiarę. W przypadku „Bohatera z deskorolką" kluczowe jest udowodnienie, że uratował kobietę wiedząc, że cena, jaką zapłaci, to śmierć, i że jego poświęcenie wynikało z woli postępowania według wiary, którą wyznawał.

Wbrew doniesieniom prasowym proces beatyfikacyjny nie został jeszcze formalnie otwarty. Starania o to trwają.

Wierzący niepraktykujący

Tylko 8,9 proc. Hiszpanów między 25. a 34. rokiem życia określa się jako osoby wierzące i praktykujące. Katolicyzm w Hiszpanii jeszcze nigdy nie miał się tak źle jak teraz. – Religia coraz bardziej traci na ważności. Nikt nie mówi, że idzie na mszę, nawet jeżeli idzie, bo byłoby to co najmniej dziwne – zauważa podczas rozmowy z „Tygodnikiem" 30-letnia Carmen, niezwiązana religijnie.

Według danych Centrum Badań Socjologicznych z grudnia 2022 r. tylko 56,4 proc. Hiszpanów określiło siebie jako katolików. Statystyki wyglądają jeszcze bardziej zaskakująco, gdy popatrzy się na odsetek, jaki stanowią osoby praktykujące. Tych jest zaledwie 18,7 proc. Być może dlatego zaraz po śmierci Ignacia w hiszpańskich mediach nie mówiono nic o jego religijności. – Dopiero teraz się dowiaduję, że był wierzący – przyznaje Javi Orgaz, młody katolik.

Dla niektórych Hiszpanów Ignacio już jest świętym, inni, tak jak Isa Martí, czekają na cud. Są też tacy, dla których deskorolkarz stanowi źródło inspiracji. – Czy będzie świętym, czy nie, to i tak dla wspólnoty chrześcijan, zwłaszcza dla młodych, już stał się przykładem – mówi Javier Fernández de la Vega Medina z Europejskiej Konfederacji Absolwentów Jezuitów.

José, niewierzący mieszkaniec Madrytu, przyznaje, że jeżeli beatyfikacja miałaby przynieść ulgę rodzinie, to jest to dobry pomysł. Jednocześnie uważa, że Ignacio nie musi zostać świętym, żeby być bohaterem. Według niego i milionów Hiszpanów – już nim jest. © DOMA MATEJKO

Księżowskie występki

EDWARD AUGUSTYN

Dlaczego niektórzy duchowni katoliccy w USA okradali parafie? Badania prowadzą do ciekawych wniosków.

Przestępstwa księży – osób o wysokiej pozycji społecznej, uważanych za autorytety moralne – to temat interesujący nie tylko czytelników tabloidów. Zajmują także naukowców – od psychologów, badających mechanizmy podejmowania niezgodnych z głoszonymi wartościami decyzji, poprzez etyków, których interesują sposoby usprawiedliwiania zła, aż po ekspertów od edukacji menedżerskiej, analizujących błędy w systemach zarządzania i kontroli.

Badań na temat przestępczości księży nie ma jednak wiele. Dlatego warto zwrócić uwagę na analizę przypadków malwersacji dokonanych przez księży katolickich w USA, opublikowaną w najnowszym numerze czasopisma „Journal of Forensic and Investigative Accounting". Autorzy – Robert A. Warren i Timothy J. Fogarty z Uniwersytetu w Cleveland – zwrócili się do wszystkich 195 amerykańskich diecezji z prośbą o informację o finansowych nadużyciach dokonanych przez duchownych. Odpowiedź otrzymali tylko z jednej, dlatego postanowili oprzeć swoje badania wyłącznie na aktach sądowych i policyjnych.

Liczba ustalonych w ten sposób przypadków (95) nie pozwala wnioskować o skali zjawiska (dowody wielu przestępstw, zwłaszcza drobnych, pozostają w archiwach Kościoła). Nie jest też próbą reprezentatywną, która umożliwiałaby ilościową analizę danych. Wyniki badania ważne są natomiast ze względu na jakość informacji – pozwalają poznać motywację oskarżonych, okoliczności popełnienia przestępstwa oraz sposób tłumaczenia się z niegodziwego postępowania.

Analizowano wydarzenia z lat 1963-2023, z których większość (75 proc.) przypadła na ostatnie trzy dekady. Były to sprzeniewierzenia na dużą skalę (najniższa suma 9,3 tys. dolarów, najwyższa 5 mln dolarów), dokonywane przez wiele lat (średnio 6, najdłuższy proceder trwał blisko 30). Najczęstszymi sposobami defraudacji było podkradanie gotówki z cotygodniowych składek, wyłudzanie pieniędzy od starszych, samotnych osób oraz przelewanie części pieniędzy parafialnych na prywatne konta. Choć zdarzały się też sposoby bardziej wyrafinowane, jak spekulowanie funduszami kościelnymi czy wystawianie fałszywych faktur.

Interpretacja zebranego materiału oparta została na tzw. trójkącie nadużyć Cresseya (*fraud triangle*), którego trzy elementy (motywacja, okazja i racjonalizacja) są podstawą naukowych analiz przestępczych zachowań.

Motywacja

Najczęstszym statystycznie powodem kradzieży jest lęk przed spadkiem poziomu życia. Wśród księży natomiast, którzy mają stabilne zatrudnienie i nie grozi im utrata pracy czy choroba dziecka, dominowała chęć poprawienia materialnego statusu. Amerykańscy duchowni katoliccy osiągają dochody niewiele wyższe od minimalnego wynagrodzenia (od 2,1 do 2,8 tys. dolarów miesięcznie). Co prawda nie ponoszą kosztów mieszkania i wyżywienia, mają opłacane składki zdrowotne i emerytalne, otrzymują też dodatek samochodowy, jednak wielu z nich tłumaczyło swoje występki frustracją z powodu dużo wyższych zarobków świeckich rówieśników czy duchownych innych wyznań i religii (np. pastorów i rabinów).

Marzenie o lepszym życiu oznaczało dla nich nie tylko nabywanie luksusowych towarów czy wyjazdy na egzotyczne wycieczki, ale – dużo częściej – zakup lub budowę nieruchomości, co wymagało dużo większych funduszy (jeden z księży w stanie Michigan wydał na dom – o powierzchni ponad tysiąca metrów kwadratowych, z krytym basenem – 3 mln dolarów).

Drugim motywem kradzieży było podwójne życie księży – utrzymywanie „sekretnych żon" i dzieci (ksiądz z Wirginii przeznaczył na ten cel ponad 0,5 mln dolarów), doraźne związki z kobietami lub mężczyznami czy płacenie za seks. Powodem był też hazard – rekordzista stracił w kasynach 300 tys. dolarów.

Pojawiały się również motywacje szczególne: kilku oskarżonych zbierało pieniądze na dodatkową emeryturę (rekordzista zgromadził ponad 1 mln dolarów), inni wysyłali je do swoich rodzin w Meksyku czy Nigerii, a jeden z księży, Libańczyk, wspierał finansowo szpital w swojej ojczyźnie.

Okoliczności

Okazja czyni złodzieja. Badania naukowców z Cleveland dowodzą, że w środowisku kościelnym jest ich (okazji, nie złodziei) szczególnie dużo. Sprzyjają temu jednoosobowy zarząd nad finansami, słabe mechanizmy kontrolne (i umiejętne ich obchodzenie) oraz wysoki poziom zaufania społecznego do księży. Ponadto kwoty wpłacane na cele religijne są zwykle niewielkie (choć tworzą największą część dochodu parafii), więc ofiarodawcy nie domagają się potwierdzenia wpłaty.

MEL MELCON / LOS ANGELES TIMES / GETTY IMAGES

Zbieranie ofiar podczas mszy w kościele św. Bazylego w Los Angeles, 2015 r.

Co prawda Kodeks Prawa Kanonicznego wymaga, by w każdej parafii działała rada ekonomiczna, jednak jej rola ogranicza się zwykle do akceptacji sprawozdań przedstawianych przez proboszcza. W niektórych z opisanych spraw ksiądz działał w zmowie z osobą, która teoretycznie powinna nadzorować jego działania (szczególnym przypadkiem był kapłan z Ohio, zatrudniający na stanowisku sekretarza parafii swoją „sekretną żonę" – defraudowane pieniądze szły na utrzymanie ich wspólnego domu).

Tylko niespełna 30 proc. przestępstw zostało wykrytych w drodze rutynowej kontroli, czasem dopiero po latach, gdy proboszcz przekazywał urząd następcy. Niemal tyle samo przypadków zostało ujawnionych dzięki sygnalistom. W jednej z parafii w stanie Connecticut wikary, podejrzewający proboszcza o malwersację, wynajął prywatnego detektywa. W innej zainstalowano ukrytą kamerę w pomieszczeniach, gdzie były liczone coniedzielne ofiary. Czasem przestępcy wpadali w ręce policji przypadkowo, przy okazji innych śledztw.

Okolicznością zachęcającą do nadużyć mogą też być niskie kary – blisko połowa sprawców w ogóle ich uniknęła, zawierając ugodę przedprocesową, część otrzymała wyroki w zawieszeniu, w kilku przypadkach sprawę oddalono lub podejrzany został uniewinniony. Wyrokiem skazującym zakończyła się jedynie co czwarta sprawa, ale i wtedy kary pozbawienia wolności były niskie (rok lub mniej). Zdaniem autorów badania nie jest to jednak przywilej tylko tej grupy społecznej – w przypadku osób o wysokim autorytecie sądy często biorą pod uwagę „szkody wizerunkowe", jakie sprawcy ponieśli poprzez fakt oskarżenia, uznając je za część kary.

Władze kościelne były równie pobłażliwe: tylko 7 sprawców zostało wydalonych z kapłaństwa, 27 otrzymało karę czasowego zawieszenia w obowiązkach, 30 powróciło, po odbyciu wyroku, do posługi w swojej lub innej diecezji, 24 przeszło na księżowską emeryturę. Losu 7 osób badaczom nie udało się ustalić.

Usprawiedliwienie

Ostatnim elementem trójkąta nadużyć jest racjonalizacja czynu, a więc umiejętność usprawiedliwienia złego postępowania. Od przestępców w sutannach można by się w tej materii wiele nauczyć, o czym świadczą protokoły rozpraw o warunkowe zawieszenie kary.

Najczęstszą obroną było odwoływanie się do własnego poczucia sprawiedliwości. Oskarżeni starali się przekonać sąd, że przywłaszczone środki były *de facto* rekompensatą za wykonaną pracę, która nie została doceniona i wyceniona. Na drugim miejscu znalazła się argumentacja, że pieniądze zostały podjęte z zamiarem przeznaczenia ich na „dobry cel" (różnie pojmowany). Wielu księży nie uważało swoich czynów za kradzież, tłumacząc, że skoro przepisy kościelne dają im prawo samodzielnego dysponowania parafialnymi funduszami, wydawanie ich na cele prywatne nie jest przestępstwem. Inni zapewniali, że zabrane pieniądze były nieformalną pożyczką, którą zamierzali w przyszłości spłacić. Tylko sześciu przyznało, że przyczyną defraudacji było ich uzależnienie (np. od hazardu), jeden – że potrzebował pieniędzy do zawarcia nieformalnej ugody po oskarżeniu o wykorzystanie seksualne.

Omówione przypadki są też przykładem zjawiska, które etycy behawioralni nazywają „licencjonowaniem moralnym". To proces znany każdemu z nas, choćby w niewielkiej skali. Mamy z nim do czynienia, gdy za wytrwałą wierność zasadom nagradzamy się chwilowym od nich odstępstwem. Jest też wykorzystywany w wielu dziedzinach życia – od pedagogiki, poprzez zarządzanie, aż po handel (gdy za półkami z warzywami lub zdrową żywnością ustawia się stoiska ze słodyczami i przekąskami, by klient mógł zrekompensować sobie dobrą decyzję zakupową podjętą przed chwilą).

Etyka praktyczna dostrzega tę zależność również w przypadku wykroczeń o większym ciężarze moralnym – osoby przekonane (często słusznie) o swoim ponadprzeciętnie dobrym życiu pozwalają sobie na czyn niegodziwy, usprawiedliwiając go zgromadzoną „nadwyżką moralną" i uciszając wyrzuty sumienia. Szczególnie narażonymi na tego rodzaju psychologiczne rekompensaty są ludzie uważani za moralne autorytety.

Jak wynika z badania, poważnych przestępstw finansowych dopuszczali się zazwyczaj księża po 50. roku życia, z co najmniej dwudziestoletnim stażem w pracy duszpasterskiej „Finansowymi drapieżcami" nie byli od początku (dokonywaliby wtedy przestępstw już w pierwszych latach pracy), co oznacza, że kandydaci wstępujący do seminarium zwykle nie kierują się pobudkami ekonomicznymi. Proces deprawacji dokonuje się już w środowisku kościelnym. Chciwość i hipokryzja narastają z wiekiem. ©℗

MARCIN MAZUR / MATERIAŁY PRASOWE

Inauguracja nowej siedziby polskiej parafii rzymsko-katolickiej św. Wojciecha w anglikańskim kościele św. Kutberta w Londynie, 24 kwietnia 2021 r.

Na wpół tułacze

MARCIN CHODUŃ Z LONDYNU

Polskiej wspólnoty katolickiej w Londynie nie dopuszczono po pandemii do użytkowanej wcześniej kaplicy. Pomoc zaoferowali anglikanie.

Nad Londynem kilka rzadkich chmur, w dole widać więc wyraźnie jeszcze senne o tej porze domostwa. Na lotnisku Stansted czeka umówiony kierowca. Wszystko zgodnie z planem – najpierw pojedziemy do sobotniej szkoły dla polskich dzieci w londyńskiej dzielnicy Hammersmith, w której lekcje religii prowadzi dziś ks. Bartosz Rajewski.

Ksiądz Bartosz jest proboszczem polskiej parafii pw. św. Wojciecha, która po zakończeniu obostrzeń pandemicznych w 2021 r. została wyproszona z dotychczasowego miejsca – po niemal 80 latach. Podobny los spotkał ostatnio inną polską wspólnotę w londyńskiej dzielnicy Highgate.

Utrata dotychczasowego adresu to niejedyna bolączka polskich katolików w Zjednoczonym Królestwie. Istnieją obawy, że w niedalekiej przyszłości z powodu braku księży i coraz mniejszej liczby wiernych trzeba będzie łączyć, a nawet zamykać niektóre polskie parafie.

Gościnne progi

W szkole w Hammersmith właśnie zaczęła się przerwa. Z księdzem Bartoszem wchodzimy na szkolne boisko – wokół gwar, gromady dzieci biegają tam i z powrotem, tuż obok kilkunastu chłopców gra w kosza. – Obecna sytuacja polskich katolików na Wyspach? – zastanawia się przez chwilę kapłan. – Czasy zrobiły się na pewno trudniejsze. Choćby nasza parafia. Na początku marca 2020 r. gospodarze bazyliki Brompton, ojcowie filipini, oficjalnie oznajmili nam, że z powodu pandemii nie możemy już korzystać z kaplicy bocznej, czyli Little Brompton. Po zniesieniu restrykcji liczyliśmy na rychły powrót do tego miejsca, nie uzyskaliśmy jednak zgody na jej dalsze użytkowanie. Staliśmy się więc bezdomni.

Katolicki kościół Brompton Oratory w londyńskiej dzielnicy South Kensington to monumentalna budowla (największa świątynia katolicka w Londynie po opactwie westminsterskim). Polacy gromadzili się w niej od 1942 r. Wiernych było niegdyś tak wielu, opowiada ks. Bartosz, że rozległy tłum zajmował cały plac przed kościołem, a nawet wylewał się na ulicę, blokując ruch samochodów – a trzeba pamiętać, że to jedna z ruchliwych londyńskich arterii (nieopodal stoi słynny dom towarowy Harrods).

W Kensington chętnie osiedlali się niegdyś polscy emigranci. Przybywali do Wielkiej Brytanii falami – jako pierwsi w znacznej jak na ówczesne czasy liczbie pojawili się uciekinierzy po powstaniu listopadowym.

Kolejne większe napływy przybyszów z ziem polskich nastąpiły po I wojnie światowej (ok. 50 tys.) oraz w czasie II wojny, gdy na Wyspach pojawiło się kilkadziesiąt tysięcy cywilów i żołnierzy. Ich znacząca liczba osiadła właśnie w Kensington.

– Jesteśmy spadkobiercami tego wszystkiego – mówi ks. Bartosz Rajewski. – Nasi dzisiejsi parafianie to głównie przedstawiciele fali emigracyjnej po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. To przede wszystkim młode rodziny, choć nie brakuje także przedstawicieli starszej emigracji.

Dlaczego ojcowie filipini nie zezwolili na dalsze użytkowanie Little Brompton przez polskich wiernych? Według ks. Rajewskiego zakonnicy już od dawna okazywali niechęć wobec Polaków w swoich progach. – Potrafili przerwać mszę lub nawet spowiedź, twierdząc, że za dużo spowiadamy – opowiada duchowny.

Ks. Bartosz Rajewski ponad rok szukał nowej przystani dla swoich parafian. Pytał w różnych katolickich parafiach – bez powodzenia. Pomyślał więc o anglikanach – spotkał się z księdzem dziekanem odpowiedzialnym za anglikańskie parafie w centrum Londynu. Ten uznał, że to bardzo dobry, ekumeniczny pomysł – i dosłownie następnego dnia ks. Bartosz miał już kilka propozycji. W lutym 2022 r. spotkał się z ks. Paulem Bagottem, proboszczem parafii przy kościele pw. św. Kutberta na Kensington and Chelsea. Duchowni szybko doszli do porozumienia.

– Gdy usłyszałem o problemach polskiej parafii – wspomina ks. Paul Bagott – uznałem, że moim obowiązkiem jest przyjść z pomocą. Gościnność jest przecież ważną częścią chrześcijańskiej postawy życiowej. Z radością więc przyjąłem braci i siostry w Chrystusie w swoje progi.

W Niedzielę Miłosierdzia 24 kwietnia 2022 r. – po otrzymaniu stosownych pozwoleń oraz sfinalizowaniu kwestii prawno-finansowych – odbyła się inauguracja obecności polskiej parafii w nowym miejscu.

Blisko siebie

Niedziela. W kościele św. Kutberta właśnie zaczyna się msza w języku polskim. Do świątyni wchodzą jeszcze ostatni spóźnieni wierni. Próbuję ich zliczyć: jest blisko 70 osób.

Po nabożeństwie stały punkt programu: kawa i pączek, wydawane na tyłach świątyni. To od lat stały element w życiu parafii św. Wojciecha, który ma pomóc w budowaniu tego, co najważniejsze w Kościele: relacji i więzi.

Co dla parafian oznacza możliwość uczestniczenia w polskiej mszy w kościele anglikańskim?

30-letnia Natalia przebywa w Wielkiej Brytanii od 18 lat. Dziś przyszła z mamą, Beatą, która mieszka na stałe w Toruniu. Zanim na dobre osiadła w Londynie, w czasie wakacji zawsze odwiedzała tu babcię – chodziły wówczas razem na polską mszę do Brompton Oratory. Najważniejsza jest dla niej wspólnota – wszyscy się znają. Fakt, że msza odbywa się w kościele anglikańskim, jest dla niej czymś wspaniałym – pokazuje, jak blisko siebie jesteśmy jako chrześcijanie.

Barbara mieszka od 40 lat w Wielkiej Brytanii. Możliwość uczestniczenia w polskiej mszy jest dla niej zawsze dużym przeżyciem – ma wtedy w Londynie namiastkę polskości. A fakt, że ta msza odbywa się w kościele anglikańskim, nie stanowi dla niej żadnego problemu. Bo niby dlaczego?

– To coś niesamowitego, że anglikanie przyjmują u siebie Polaków i wspólnie tu egzystują, dając właściwie wszystko, co mogą – mówi Marek Tomas, powiernik Polskiej Misji Katolickiej. – Kto wie, może to będzie początek zbliżenia obu Kościołów i szansa dla obu wspólnot? – zastanawia się.

Horyzont pełen wyzwań

Zaangażowanie w życie religijne Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii wcale nie wygląda różowo. Jak wynika z szacunków Polskiej Misji Katolickiej, przed brexitem i pandemią w praktykach religijnych uczestniczyło ok. 10 proc. Polaków mieszkających na Wyspach. Ten stan rzeczy uległ pogorszeniu.

– Nie mamy jeszcze pełnej statystyki praktyk religijnych w 2022 r., ale gdy chodzi o uczestnictwo w niedzielnej mszy, to w ramach całej Misji zmniejszyło się ono o 30 proc. w stosunku do okresu sprzed pandemii – mówi rektor Polskiej Misji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, ks. Stefan Wylężek.

– Jako polscy katolicy w Wielkiej Brytanii jesteśmy obecnie w zupełnie nowym miejscu – uważa Marek Tomas. – Wielu rodaków wróciło w ostatnim czasie do kraju. Wkrótce może trzeba będzie zamykać albo łączyć niektóre parafie.

Ks. Wylężek widzi sprawę nieco bardziej optymistycznie. – Owszem, problem łączenia parafii jest z pewnością przed nami – przyznaje. – Ale na razie dotyczyło to tylko jednej parafii: proboszcz chciał wrócić do Polski ze względu na troskę o chorą matkę, a biskup odmówił mi przysłania innego księdza. Trzeba jednak pamiętać, że w Anglii i Walii mamy także do czynienia z wewnętrzną migracją Polaków, związaną z poszukiwaniem lepszych warunków życia i pracy. Często jest więc tak, że liczba wiernych w jednych parafiach się zmniejsza, a w innych zwiększa.

Na pewno problemem jest także coraz większy brak księży. – W Polskiej Misji Katolickiej pracuje blisko stu – mówi jej rektor. – Jeśli odejmiemy kilku emerytów, to średnia wieku wynosi około 45 lat. Co roku potrzebujemy 4-5 nowych kapłanów.

A chętnych zwyczajnie brakuje. Powód? W wielu przypadkach warunki pracy i życia księdza w Polsce są po prostu lepsze. Ponadto polski ksiądz w Wielkiej Brytanii wszystkim zajmuje się sam – począwszy od obowiązków duszpasterskich, na sprawach administracyjnych skończywszy.

– Moja parafia obejmowała trzy miasta na południowy wschód od Londynu ↦

Duszpasterstwo Polaków w Wielkiej Brytanii

POLSKA MISJA KATOLICKA w Anglii i Walii jest właścicielem 38 kościołów i kaplic. W 92 polskich parafiach pracuje 98 księży. Obsługują oni w sumie 221 miejsc, gdzie sprawowana jest niedzielna Eucharystia. Jak informuje rektor Misji ks. Stefan Wylężek, dodatkowe miejsca są wynajmowane od diecezji katolickich i anglikańskich – w tych drugich za zgodą miejscowego biskupa diecezji katolickiej.

– wspomina ks. Wojciech Mozdyniewicz, który pracował w Wielkiej Brytanii w latach 2016-22 (obecnie jest proboszczem w Orawce). – Nie miałem swoich kościołów, korzystałem więc ze świątyń angielskich. Nie posiadałem też plebanii. Mieszkałem w wynajętym mieszkaniu na osiedlu mieszkaniowym. Co tydzień jeździłem do poszczególnych miast, gdzie sprawowałem msze, spowiadałem, prowadziłem katechezę. Przygotowywałem też do sakramentów i organizowałem spotkania modlitewne.

Ks. Rajewski dzisiejszej niedzieli pracuje od rana do wieczora – kilka mszy, do tego jeszcze spowiedź, no i przejazdy przez Londyn (jest także proboszczem angielskiej parafii przy kościele św. Patryka w dzielnicy West Hendon, gdzie oprócz nabożeństw w języku angielskim w każdą niedzielę o godzinie 11.00 odprawia także mszę po polsku). Zarobki? 800 funtów miesięcznie ze środków parafialnych (to stała pensja wszystkich kapłanów Polskiej Misji Katolickiej). – Moi koledzy w Polsce, w większości nadal wikariusze, zarabiają często znacznie więcej – mówi.

Dlaczego więc tutaj jest?

– Bo Bóg tak chce – odpowiada krótko. – Sam siebie tu nie wysłałem. Przez ostatnie dwa lata zastanawiałem się, czy mam wrócić do kraju, czy zostać. Uznałem jednak, że skoro jestem potrzebny parafianom, to mam być tutaj.

Inna religijność

Sobotni wieczór. W domu Wojtka i Zosi w londyńskiej dzielnicy West Hendon odbywa się spotkanie rady parafialnej parafii św. Wojciecha. Jest wesoło, swobodnie. Najpierw krótka modlitwa. Następnie ks. Bartosz odczytuje fragment z Dziejów Apostolskich o szemraniu hellenistów przeciw hebrajczykom. Ten tekst – tłumaczy proboszcz – pokazuje wyraźnie, że różnorodność jest wpisana w Kościół i że nie ma w tym nic złego. – Tak jest też w naszym przypadku. Jesteśmy my, katolicy z parafii pw. św. Wojciecha, i oni, anglikanie.

Na stronie internetowej parafii można przeczytać, że jest ona wspólnotą Kościoła i jednocześnie „dziedzińcem pogan". Ks. Rajewski: – Chodzi o to, że nasz kościół jest dla wszystkich otwarty: wierzących, wątpiących i poszukujących. Staramy się nikogo nie osądzać. Jeden z członków rady parafialnej to na przykład osoba LGBT; w radzie są też dwie osoby, które niedawno się rozwiodły, a jedna z nich żyje w nowym związku. Jestem czasem pytany: czy to problem? Ale jaki to miałby być problem? Ja jako proboszcz i my jako rada parafialna zrobiliśmy wszystko, żeby tej dwójce pomóc – ale przecież nie wszystko można odbudować. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, a resztę wie Pan Bóg, On zna serce człowieka, nie my. Bo co mamy im powiedzieć? Żeby sobie poszli gdzie indziej, ponieważ są po rozwodzie? Tym bardziej powinni tu przychodzić, przecież Kościół jest szpitalem polowym dla ludzi poturbowanych, a nie dla świętych.

ARCHIWUM PRYWATNE KS. BARTOSZA RAJEWSKIEGO

Ks. Bartosz Rajewski w londyńskim metrze, 19 kwietnia (Wielki Czwartek) 2019 r.

Pod koniec spotkania pojawia się tort – to z powodu zaległych urodzin ks. Bartosza. Wychodzimy do ogrodu: grill już gotowy. Na stole – a jakże – po polsku: kiełbasa, piwo.

Pytam zebranych przy stole, czy wiara i religijność są tutaj inne niż w Polsce.

Zgodne głosy: tak, tutaj jest inaczej. Chodzi się do kościoła z pragnienia serca, a nie z przymusu.

Zdarza się jednak, że na emigracji wiara nabiera rumieńców dopiero po pewnym czasie. Ania z Bochni po przyjeździe do Wielkiej Brytanii odwiedzała Brompton Oratory jedynie okazjonalnie. Dopiero – opowiada – gdy zaszła w ciążę i okazało się, że dziecko ma wadę serca, poszła do spowiedzi, porozmawiała z księdzem i zrozumiała, że wiara ma prawdziwy sens.

Wszyscy podkreślają: wśród parafian zawiązują się przyjaźnie. A trzeba pamiętać, że w parafii są i milionerzy, i biedacy, którym często nie starcza na podstawowe potrzeby. Wiesia z okolic Zamościa cztery lata temu po przeprowadzce zamieszkała obok Polaków. Przez dwa lata wymieniała z nimi tylko słowa powitania. Aż pewnego dnia sąsiadka złamała nogę. Wiesia poszła do mieszkania obok i mówi do męża sąsiadki: „Słuchaj, musimy ci jakoś pomóc, za tydzień Boże Narodzenie". I zorganizowała dla nich zbiórkę – dziewczyny z parafii upiekły ciasta, zrobiły sałatki. Święta mieli jak należy.

Bez lęku

Fakt, że sytuacja polskich katolików na Wyspach jest inna niż w Polsce, potwierdza ks. Wojciech Mozdyniewicz. – W Polsce, mamy więcej możliwości i wszystko jest „pod nosem" – tłumaczy. – Zwłaszcza gdy ktoś żyje w większym mieście. Msza, spowiedź, otwarte kościoły, obecność wielu księży, spotkania różnych grup i wspólnot, rekolekcje. W Wielkiej Brytanii często jest tak, że do kościoła trzeba dojechać, na spowiedź się umówić, nie da się po prostu wejść do kościoła na adorację. Tutaj trzeba więc pewnego wysiłku, aby zadbać o własną wiarę.

Ks. Rajewski: – Sztuką jest zgromadzić ludzi, gdy jest ich niewielu. Gdy muszą jechać półtorej godziny do naszego kościoła samochodem, mijając po drodze inne parafie.

Niepewna liczebność polskiej wspólnoty katolickiej dla ks. Bartosza Rajewskiego jednak nie stanowi problemu. – Nie ma sensu pytać o liczbę ludzi na mszy, tylko o liczbę zaangażowanych parafian – tłumaczy. – Ilu z nich jest w radzie parafialnej? Czy rada jest atrapą, w której są tylko klakierzy księdza? Jak jest mało ludzi, to można się lepiej formować nawzajem. Przecież małe, jakościowe wspólnoty to przyszłość Kościoła.

© MARCIN CHODUŃ

ZUZANNA

Radzik: *Pytanie na styku światów*

Czasem mam wrażenie, że nic tu się nie zmienia. W przejściu siedzą jak zawsze babki sprzedające liście winogron, suszone w domu rodzynki, własną oliwę w plastikowych butelkach po napojach. Piekarnia jest tam, gdzie była, ale już sprzedawane w bramie plastikowe badziewie akurat nieco przez lata ewoluuje. Dziś królują opakowania na telefony, ale też okazjonalnie lampki, latarenki, ledowe światełka. To na Ramadan, który zacznie się wieczorem. Powoli rozstawiane są stoiska, lampki już wiszą, ludzie robią większe niż zwykle zakupy, policja graniczna pilnująca porządku w tej części miasta właśnie parkuje szereg samochodów. Panuje wyczuwalne poruszenie, odświętna krzątanina i wiszące w powietrzu pytanie, czy ten miesiąc postu będzie spokojny w pełnym napięć mieście i rozpalonym konfliktami kraju.

Brama Damasceńska jest właściwie głównym deptakiem wschodniej Jerozolimy, ale też skrzyżowaniem światów. Tędy wchodzą i wychodzą na modlitwy w meczecie Al-Aksa palestyńscy muzułmanie, tędy na modlitwy spieszą żydowscy ortodoksi z Mea Sze'arim. Tu w Ramadanie jest targowisko, święto i impreza.

Nie zmienia się też to, że najtańszą kawę w mieście można kupić w budzie na placu przed bramą, teraz przytulonej do muru nowej stacji autobusów. Kawa u taksówkarzy, tak ją nazywam, czynna zawsze, gdy potrzeba. Siadam z pachnącym kardamonem kubkiem na stopniach prowadzących do bramy i po prostu patrzę. A może bardziej po prostu jestem. Patrzę na onieśmielonych atmosferą pielgrzymów, turystki wychodzące ze Starego Miasta w nowych kolczykach i szalach, zmęczone matki z tobołkiem zakupów, spieszących pod Ścianę Płaczu chasydów. Na strażników z magavu (izraelskiej policji granicznej), którzy stoją tu nad bramą i w przejściu, i którym nie zazdroszczę tej pracy, bo czasem widać, jak są jednak spłoszeni, gdy napiera tłum. W ogóle mało komu tu zazdroszczę, choć uwielbiam to miasto, a jednocześnie jego pęknięcia społeczne, konflikty, napięcia i niesprawiedliwości bolą i wkurzają. I nie jest w stanie przykryć tego niewątpliwe piękno zimowych zachodów słońca, bryza od pustyni kojąca wieczorami letni upał, złoty kolor murów w południowym słońcu, zapach rozprażonych, rozmarynowych żywopłotów. Nie przykryje tego świętość miejsc, bo w nieunikniony sposób zasila też ona narodowe i religijne konflikty i spory. Miasto aż pulsuje od podziału tworzonego w imię religii, w której pod domem przyjaciół słyszę niechętny komentarz za zbyt krótką sukienkę. Kiedy zaś idę w spodniach, kobieta, wskazując rozlaną na chodniku białą farbę, krzyczy na mnie: zobacz, co zrobili Twoi przyjaciele! Dziś jest czwartek, dzień gniewu i protestów przeciw reformom sądownictwa. Nad farbą kłótnia przechodniów. O izraelską politykę, a jakże.

Siedzę więc przed Bramą Damasceńską z kawą, patrzę. Zaklinam rzeczywistość, a może się modlę: niech ten Ramadan będzie spokojny, Jerozolimo. Mimo napięcia ostatnich miesięcy, polityki i potrójnych świąt.

Inną kawę piję na innym styku światów. Dawna stacja kolejowa została przebudowana w przestrzeń handlowo-restauracyjną, co na całym świecie powtarza się jako sposób na ratowanie niektórych zabytków i postindustrialnych budynków. Przed piętnastu laty, żeby ją obejrzeć, przechodziliśmy z kolegami w nocy przez płot, kiedy stała jeszcze niszczejąca i zabita dechami. Teraz pierwsza stacja kolejowa Jerozolimy, położona blisko zamożnych dzielnic, jak Niemiecka Kolonia czy Baka, ale też w zasięgu palestyńskich dzielnic takich jak Abu Tor, stała się publiczną przestrzenią dostępną również dla tych drugich. Siadam przy dawnych torach do Jaffy, na kawie z palestyńskim chrześcijaninem działającym w międzyreligijnym dialogu. Rozmawiamy o teologii wyzwolenia i zapomnianych palestyńskich chrześcijanach, którzy komplikują relacjeKościołów Zachodnich z Izraelczykami, ale też nie interesują pielgrzymów. „Przyjeżdżają oglądać kamienie, a nie spotkać i zrozumieć nas" – mówi, nawet bez żalu. Pytany o motywację do dialogu, odpowiada: „Zadajemy sobie jako chrześcijanie pytanie o to, jak kochać naszego sąsiada, jak kochać bliźniego. Musimy je sobie zadawać". John nieświadomie funduje mi błyskawiczne rekolekcje. On, który ma wszelkie powody, by poczuć się ofiarą opresji i miłość bliźniego zawiesić na kołku, zupełnie serio kładzie je między naszymi filiżankami kawy.

Jest środek wielkiego postu i nagle uświadamiam sobie, jak dawno nie zadałam sobie tego pytania poważnie. Jak kochać bliźniego, sąsiada, współobywatelkę? Tego, który będzie bronił po trupach honoru naszego papieża, tę, która uważa, że reforma sądownictwa uratuje nasz kraj. Tego, który, tę, która... lista jest długa.

John nie twierdził, że ma odpowiedź. Ale pytanie traktuje z całą powagą. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

SZOSA DONIECKA

Gdy żołnierze odbierają z busa kartony z pomocą, Olga fotografuje wszystko, co mają w rękach. Przed każdą z osób uczestniczących w tym łańcuchu wsparcia chce rozliczyć się z tego, co dotarło do wojska.

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK
Z CZASIW JARU
(OBWÓD DONIECKI, UKRAINA)

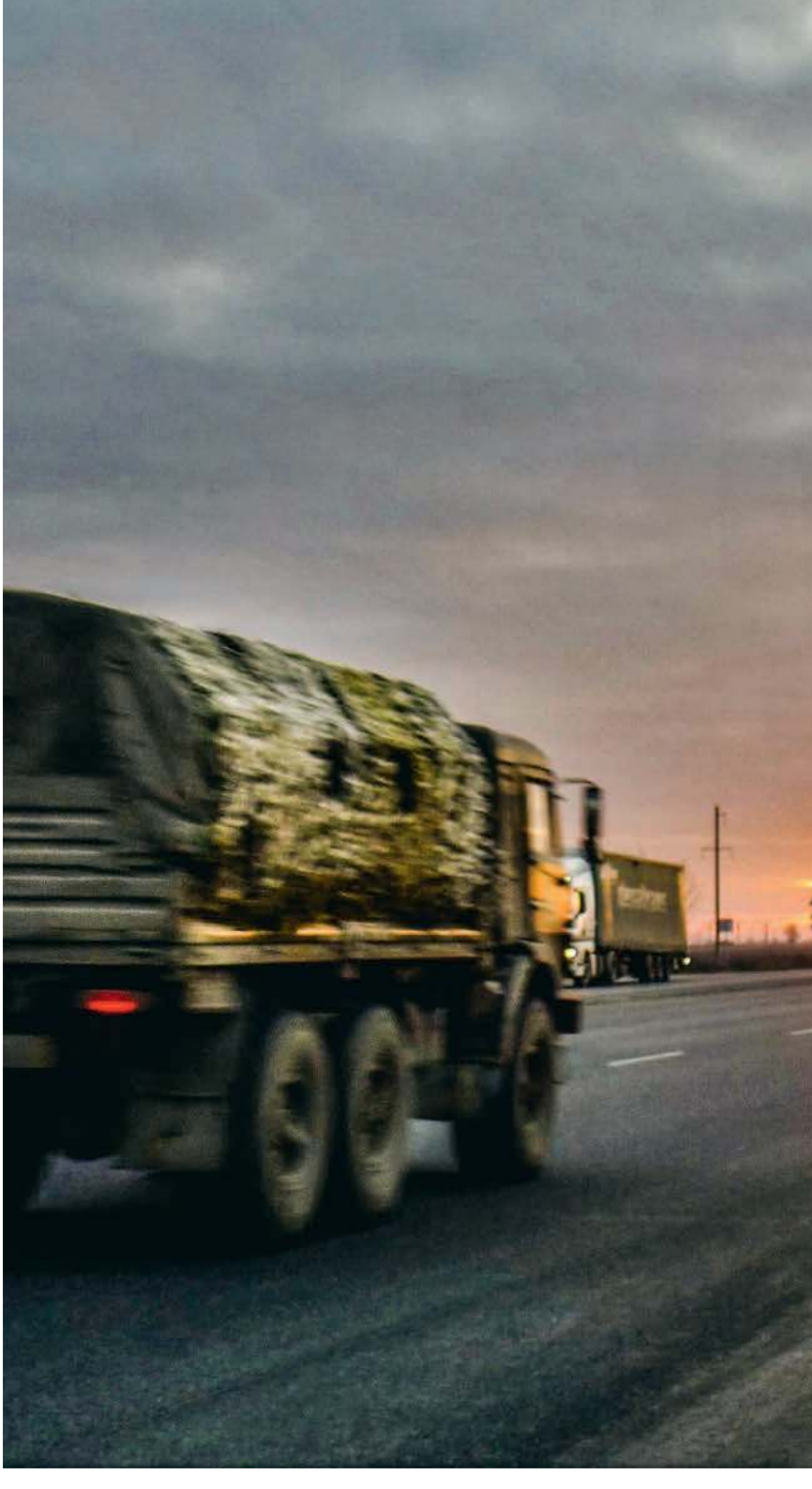

Kiedy Olga jedzie z pomocą dla wojska, jej ośmioletni Miszka nie uczestniczy w lekcjach online, bo mama zabiera smartfon potrzebny do łączenia. Kiedyś mieli tablet, ale się rozbił.

– Ludzie szemrają, mówią, że nie zapraszam ich do mojego domu, bo mogliby zobaczyć majątek, którego rzekomo dorobiłam się na przekrętach na pomocy – mówi Olga. – A mnie jest po prostu wstyd za obdarte ściany i bałagan.

Na werandzie ich domu – na pograniczu obwodów donieckiego i dniepropetrowskiego, w pobliżu szosy prowadzącej do Donbasu – wiszą kuloodporne kamizelki: Olgi, jej męża Saszy i ich najstarszego syna Koli. Także ojciec Olgi jest zaangażowany, co daje trzy pokolenia wolontariuszy.

Rodzina przygarnia każde stworzenie, które nie ma się gdzie podziać. Z siedmiu kotów, które wylegują się na piecu i pod stołem, jednego przywieźli z Bachmutu. Zwie się Busia i pod okiem ma niezaleczoną ranę po fosforze, składniku pocisków. Goniący za ko-

Poranek na drodze do Donbasu, z prawej bus z napisem „Bezpłatna ewakuacja". 3 marca 2023 r.

tami psiak Czapik pochodzi z Nikopola na froncie południowym. A pilnującą domu Jessy – największą z całej bandy i najbardziej strachliwą – ewakuowali z Wołnowachy (teraz pod okupacją rosyjską).

– Tak żyją wolontariusze – mruczy Olga, zrzucając z kolan kota i szykując się na wywiadówkę online.

„Dobry wieczór, szanowne baćki", odzywa się telefon, a Oldze czoło marszczy się już po paru kolejnych słowach. – Szkoła jest online, ludzie nie mają pracy, a my tu rozmawiamy o zbiórce na remont budynku, na koncert i podarki dla nauczycieli – denerwuje się. Pokazuje konwersację, którą prowadzi jednocześnie z niedawno ranionym żołnierzem: – To tam, u chłopaków, potrzeba finansowania. Szkoła postoi jeszcze sto lat.

JEST ŻONĄ WETERANA, więc problemy „u chłopaków", jak o nich mówi, są jej znane.

Podczas wywiadówki Sasza kuśtyka przez pokój z papierosem w zębach, znika za drzwiami werandy. Kula i bolesne ↦

Od lewej: Ołeksandr pomaga 90-letniej Raisie wsiąść do busa ewakuacyjnego. Czasiw Jar, 3 marca 2023 r. Olga z Nataszą przed magazynem pomocy humanitarnej. Obwód dniepropetrowski, 26 lutego 2023 r.

↦ wzdrygnięcia, od których cały się napina, towarzyszą mu, odkąd latem 2022 r. został ranny po wybuchu miny. To bardziej widoczna cena paroletniej służby. Mniej widoczna jest wada serca Miszki. Do jej powstania mógł przyczynić się stres towarzyszący Oldze w czasie ciąży, którą spędziła jeżdżąc do Donbasu, gdy Sasza siedział w rosyjskiej niewoli.

Podczas zaciemnienia widać liczne gwiazdy. Śpimy pokotem – rodzina i wszystkie przygarnięte przez nich istoty, wiercąc się jak gromada trzmieli – zwłaszcza ze względu na Czapika, który zza czarnych kłaków nad oczami próbuje wypatrzyć koci ogon i chwycić w zęby. – Czaaapik, zaraza, bladź! – słychać z ciemności zmęczony głos.

Następny dzień zaczniemy od objazdu magazynów z pomocą humanitarną w pobliżu miasta Dniepr, godzinę drogi od wsi przy szosie wiodącej do Donbasu, gdzie mają dom.

Przed domem stoi kilka wraków. Niektóre oznaczone krzyżami – to dla odróżnienia ukraińskich pojazdów wojskowych od pojazdów rosyjskich. Nad kołem jednego zieje dziura od precyzyjnego strzału. Niesprawny bus, który zwykle używają podczas wyjazdów z pomocą, otacza wianuszek mechaników amatorów, kolegów Koli.

PROBLEM BRAKU AUTA Olga postanawia rozwiązać prośbą do Wołodii. – Dobry z niego człowiek, nigdy nie odmawia pomocy – mówi. – Mieszka teraz w naszej wiosce, to „pereseleniec" (przesiedleniec) z Lisiczańska.

Tak mówi się na uchodźców wewnętrznych, zwłaszcza na tych ze wschodu – z lekką pobłażliwością, co jest od razu zauważalne. Olga pochodzi z obwodu czerniowieckiego w zachodniej Ukrainie i szybko nawiązuje porozumienie z każdym innym zapadieńcem, na jakiego trafi w tej części kraju. Znaczenie takiej klasyfikacji, silnie kształtowanej w ciągu ostatnich lat, wciąż nie słabnie.

Zanim opuścimy wieś, Wowa zatrzyma auto – forda transita na ługańskich blachach – przy wiejskim cmentarzu. Niedawno pochował tu 19-letniego syna, którego serce się zatrzymało. Zapala dwa papierosy, jednego kładzie między wiązankami sztucznych kwiatów, nieruchomieje.

NASTĘPNEGO DNIA wyjazd też się opóźni – Wołodia popędzi do domu synowej. Syn osierocił kilkumiesięczne dziecko, z którym kobieta chciałaby wrócić do Lisiczańska, teraz pod okupacją. Takim jak oni, którzy zdecydują się wrócić, Putin obiecał podobno dużo pieniędzy. To nie węgiel, tylko ludzie są najcenniejszym surowcem Donbasu.

Na ich podwórzu co i rusz zjawia się ktoś z okolicznych mieszkańców. Przynoszą wiaderka warzywnych surówek, świńską półtuszę. Zawiadująca tym całym zamieszaniem Natasza nie uznaje w swojej kuchni półproduktów. Chce pokazać przybyszowi z Polski, jak ludzie z ich wioski pomagają wojsku.

W ładowanych do busa paczkach z jedzeniem ludzie poukrywali święte obrazki, amulety plecione ze sznurka. Paczki oklejone są autorskimi karteczkami. Są też kartony z pomocą z zagranicy. Ale większość to produkcja rodzima: dziergane w domu skarpety, siatki maskujące. Dla żołnierzy w okopach są domowe pielmieni i naleśniki, bo przecież od wojskowej paszy i ciągłych konserw można oszaleć.

Pod ścianą magazynu stoi rząd „burżujek", prostych piecyków ze spawanych płyt. Przez żołnierzy są bardzo cenione. Sobie znanym sposobem Natasza zawiązała umowę z pobliskim zakładem karnym: w zamian za dostarczane domowe jedzenie osadzeni robią piecyki dla wojska.

Zapakowany po dach bus Wowy przysiadł na tylnych kołach jak zmęczone zwierzę juczne. Czeka go zaraz droga na wschód, specjały w słoikach nie ścierpią zwłoki. Na „perodową" (przodek; tak nazywają tu front) trzeba ruszać wcześnie rano, mówi Olga.

Jak chyba każdy jadący tą drogą w stronę Donbasu, zatrzymujemy się w „Cafe", miejscu istniejącym dzięki wolontariuszom, którzy chcieli stworzyć przestrzeń do odpoczynku dla żołnierzy wracających z okopów albo do nich jadących. Po generale Załużnym i prezydencie Zełenskim, gotująca w tej bezpłatnej knajpce kucharka z popielatymi kosmykami jest być może najbardziej rozpoznawalną osobą wśród ukraińskich żołnierzy walczących w obwodzie donieckim. Któż nie zatrzymał się na jej barszcz przy tej szosie!

JEST JUŻ CIEMNO, gdy docieramy do „szarej zony", połaci zniszczonych i opusz-

Od lewej: remont samochodu na podwórku Olgi; psujące się stare auta to ciągły problem i żołnierzy, i wolontariuszy. 24 lutego 2023 r. Misza z kamizelką kuloodporną swojego taty przed domem. 4 marca 2023 r.

czonych wiosek. Wyzwolono je jesienią 2022 r., wstęp do nich wciąż jest zamknięty. Można wylecieć na minie.

Wowa zaczyna jęczeć, gdy przychodzi nam zatrzymać busa w takiej zniszczonej wiosce – nie da się jechać w ciemności po niebezpiecznym terenie. Czekamy, aż chłopcy wyjadą nam naprzeciw. Humor mu się poprawia, gdy rusza wzdłuż drogi z latarką i zwleka do auta zwoje zerwanych drutów, walających się po okolicy.

– Jak mi wstyd, wstyd strasznie – Olga mamrocze swoją mantrę, śledząc, gdzie Wołodię poniosły jego długie nogi w walonkach. – Boże, to przecież kradzież! Będą problemy na blokpoście (posterunkach drogowych, tym częstszych, im bliżej frontu).

Z rozmyślań wyrywa Olgę przyjazd żołnierzy. Gdy oni wynoszą z samochodu kartony z pomocą, ona fotografuje wszystko, co mają w rękach. Przez każdą osobę w łańcuchu dostaw pomocy będzie rozliczana z tego, co dotarło do wojska. Nie chce narażać się na podejrzenia o handel na lewo pomocą humanitarną (że ma to miejsce, widać na bazarach).

Gdy o szóstej rano docieramy z powrotem do naszej wsi przy szosie donieckiej, pod domem stoi kolejny złom z krzyżem, podrzucony z nadzieją, że ktoś się nad nim zlituje i sfinansuje naprawę.

Olga załamuje ręce, a Wołodia się śmieje: – Oho, będzie publikacja o korupcji wolontariuszy. Że Olga się bogaci i ma już kolejne auto na podjeździe!

EWAKUACJA CYWILÓW z miejscowości w obwodzie donieckim: tym mamy się zająć kolejnym świtem, razem ze Slawikiem i Ołeksandrem, dwoma wolontariuszami z obwodu donieckiego.

Siedzący za kierownicą Slawik, starszy mężczyzna z nobliwym wąsem, sporo widział. Latem opuścił rodzinny Sołedar. Udało mu się ułożyć życie na tyle, że teraz może pomagać. Nie wszystkim jego znajomym „pereseleńcom" się powiodło, niektórzy żyją na ulicy, choć w bezpieczniejszym miejscu.

Wolontariusze często spierają się na temat cywilów w Donbasie. „Żdunami" nazywa się tych, którzy zostają, bo czekają na „wyzwolenie" przez Rosję. A jak zwać tych, którzy się stąd nie ruszą, bo nikt nigdzie na nich nie czeka?

– Włączyłeś BlaBlaCara? – pyta Slawik.

– Jeszcze wczoraj – odpowiada Ołeksandr, jego zmiennik. Informacja o bezpłatnej ewakuacji roznosi się po okolicy pocztą pantoflową i dzięki ulotkom. Czasem jest to też numer telefonu pisany sprejem na ścianach budynków.

Pierwsze z miejsc, do których docieramy, to Czasiw Jar, kilka kilometrów od Bachmutu. Zapamiętuję pytanie usłyszane na ulicy: „Jest chleb?". Garstka mieszkańców, którzy zdecydowali się zostać w tym ostrzeliwanym miasteczku, schodzi się do punktu, gdzie dociera „chlebowóz". Jak sąsiedzi spotykający się rano przed piekarnią. Większość pieszo, ktoś na rowerze. Mniej więcej co pół minuty rozlega się z oddali głuchy huk. Czy kolejny pocisk uderzy w piekarnię? Takich pytań najwyraźniej tu sobie nie zadają. Ten, kogo zżerały tego typu wątpliwości, wyjechał już dawno.

DO WOLONTARIUSZY wciąż jednak docierają prośby – nawet jeśli nie masowe – o ewakuację: z Czasiw Jaru, Konstantynówki, z innych miejscowości obwodu donieckiego.

Ołeksandr usadza 90-letnią Raisę przy oknie. Kobieta, choć ma już słaby słuch, wzdryga się po każdym odgłosie artylerii. Do opuszczenia domu nie zmusiła jej II wojna światowa. Przetaczała się tędy, gdy była dzieckiem. Dopiero teraz. Drzwi się zasuwają.

Raisa płacze za psem, którym mają zaopiekować się sąsiedzi. – On też za mną płakał, próbował się przytulić – mówi przez łzy. Jej sąsiedzi nie chcą nawet słyszeć o ewakuacji. Najwyraźniej nie tylko Slawik wie, jak łatwo stać się w ten sposób bezdomnym.

Tego dnia w każdym z odwiedzanych miejsc słyszymy doniecką mantrę: dokąd mam uciec, komu jestem potrzebny?

■■■

Jedna tylko Busia nie zadaje sobie smutnych pytań. Wieczorem w domu Olgi i Saszy przysypiamy z kotką przy kuchennym stole. Jej udało się szczęśliwie opuścić Bachmut. Rana od fosforu też się z czasem zagoi.

– Śpij, śpij, odniosę cię potem do łóżka – słyszę od Miszki uspokajające słowa wypowiedziane basem. – No, tata mi pomoże.

© ANTONINA PALARCZYK

Autorka (ur. 2001) jest studentką psychologii na SWPS w Katowicach.

Donald znów na ringu

MARTA ZDZIEBORSKA

Ameryka jest w sytuacji nie do pozazdroszczenia: na półtora roku przed wyścigiem o Biały Dom polityczne emocje podgrzewa głównie Donald Trump.

East Palestine w stanie Ohio. W czasie, gdy prezydent Biden jest w Polsce, Trump odwiedza to 5-tysięczne miasto, w którym wykoleił się pociąg z chemikaliami. Po przeprowadzeniu przez służby „kontrolowanego wybuchu" w powietrzu przez długie dni unoszą się kłęby czarnego dymu.

Donald Trump przybywa do East Palestine niemal trzy tygodnie po wypadku. Rozdaje butelki z wodą opatrzone swoim nazwiskiem i czerwone bejsbolówki „Make America Great Again" (Uczyńmy Amerykę znów wielką). Jako kandydat walczący znów o Biały Dom, kreuje się na wybawiciela konserwatywnej biednej prowincji, która już dwa razy udzieliła mu kredytu zaufania – w wyborach roku 2016 i 2020. „Nie zapomnimy o was. Jesteśmy z wami i modlimy się za was. Będą walczył o sprawiedliwość, na jaką zasługujecie" – obiecuje Trump, krytykując Bidena, że zamiast odwiedzić rodaków w biedzie, wolał jechać na Ukrainę.

Były prezydent nie odpuszcza obecnemu lokatorowi Białego Domu nawet w obliczu własnych problemów prawnych. Gdy w minionym tygodniu mnożyły się spekulacje dotyczące postawienia Trumpowi zarzutów przez nowojorski sąd, ten obrzucał Bidena błotem. Na swojej platformie społecznościowej Truth Social sugerował, że przysłał on do Nowego Jorku swojego człowieka, który ma czuwać nad „polowaniem na czarownice".

Tak Trump nazywa pracę śledczych badających sprawę płatności dla aktorki porno Stormy Daniels. Chodzi o wydarzenia na finiszu kampanii prezydenckiej w 2016 r.: gdy kobieta zaczęła rozgłaszać swój romans z Trumpem (miał mieć miejsce dekadę wcześniej), jego prawnik Michael Cohen przekazał jej 130 tys. dolarów za milczenie.

Przyszły prezydent zwrócił mu potem tę kwotę, podając w dokumentach finansowych, że to opłata za usługi prawne. Według prokuratury można to zakwalifikować jako fałszerstwo dokumentów, co zgodnie z nowojorskim prawem jest wykroczeniem. Trump może też odpowiedzieć za złamanie prawa wyborczego: tu prokuratura musiałaby najpierw dowieść, że zatajając istotę tej płatności, chciał, by wyborcy nie dowiedzieli się o romansie, a to już wiąże się z zarzutem popełnienia przestępstwa.

Ostatnia nadzieja

Bez względu na to, jak zakończy się nowojorskie śledztwo, jedno jest pewne: Donald Trump ze wszystkiego zrobi polityczny spektakl.

Po tym, gdy sam ogłosił na platformie Truth Social, że spodziewa się zarzutów, zaczął bombardować zwolenników apelami o wpłaty na kampanię. W mailu zatytułowanym „Jesteście ostatnią nadzieją tego kraju" prosił, by „w pokojowy sposób" okazali mu wsparcie. Zapowiedział też, że prawdziwa sprawiedliwość nadejdzie w dniu wyborów, gdy „odbije" Biały Dom. „Jeśli jesteście w trudnej sytuacji finansowej, nic nie przesyłajcie. Ale jeśli macie się dobrze, co zawdzięczacie wspaniałym rządom za mojej kadencji, wpłaćcie darowiznę" – apelował w innej wiadomości opublikowanej na Truth Social.

Trump zapewne próbuje wykorzystać swoje pięć minut, bo po tym, jak w listopadzie 2022 r. ogłosił, iż chce startować do Białego Domu, jego fundusze kampanijne wyglądają mizernie. Jak wynika z szacunków serwisu Bloomberg, w ciągu półtora miesiąca od tamtej deklaracji zebrał zaledwie 9,5 mln dolarów. To duży kontrast w porównaniu do czasów, gdy strumień darowizn płynął nawet, gdy przegrał walkę o reelekcję i kłamał na temat „skradzionych" wyborów. Między listopadem 2020 r. a 6 stycznia 2021 r., gdy

doszło do pamiętnego szturmu jego zwolenników na Kapitol, zebrał 250 mln dolarów.

Bez zaproszenia

Spekulacje wokół nowojorskiego śledztwa to także szansa dla Trumpa, by znów skupić wokół siebie prominentnych Republikanów. Ci w ostatnich tygodniach nie palili się, by okazać mu wsparcie. Szerokim echem odbiła się marcowa Konferencja Konserwatywnej Akcji Politycznej w Maryland, gdzie były prezydent przemawiał do nieco pustawej sali.

Prócz niezawodnych zwolenników, skandujących „Trump, Trump, Trump!", zabrakło tam znanych konserwatystów: Republikanina numer jeden w Senacie Mitcha McConnella, szefowej Komitetu Krajowego Partii Republikańskiej Ronny McDaniel, a także potencjalnych jego rywali w walce o Biały Dom: gubernatora Florydy Rona DeSantisa, gubernatora Wirginii Glenna Youngkina i byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a.

MICHAEL SWENSEN / GETTY IMAGES

Donald Trump na posterunku straży pożarnej w East Palestine. Ohio, 22 lutego 2023 r.

Większość z nich wybrała spotkanie dla republikańskich darczyńców na Florydzie, zorganizowane przez antypodatkową grupę Club for Growth. Na to wydarzenie w Palm Beach nie zaproszono Trumpa, choć jego rezydencja Mar-a-Lago leży niecałe 5 km dalej. Zamiast niego w centrum uwagi znalazł się gubernator Florydy Ron DeSantis, postrzegany jako przyszły kandydat w prawyborczym wyścigu o nominację Partii Republikańskiej.

Trump z mózgiem

Ron DeSantis, który oficjalnie nie ogłosił jeszcze startu, kreował się tam na lidera walki z lewackimi „fanaberiami" i promującymi je korporacjami. Znany jest z twardej ręki: gdy mający siedzibę na Florydzie koncern Disneya skrytykował ustawę zakazującą mówienia uczniom o orientacji seksualnej i tożsamości płciowej, DeSantis odebrał mu przywileje podatkowe. Nazywany „Trumpem z mózgiem", gubernator niewiele obiecuje, za to forsuje reformy wpisujące się w prawicową wizję świata. Znany jest z majstrowania przy programie szkolnym, walki z pandemicznymi restrykcjami i wszelkimi dyrektywami rządu federalnego.

Swoje polityczne credo DeSantis wyłożył w opublikowanej w lutym autobiografii „Odwaga bycia wolnym". Przekonuje w niej, że jego rządy na Florydzie są modelową receptą na odbudowę Ameryki jako świątyni tradycyjnych wartości i nieskrępowanego kapitalizmu. Krytykuje przy tym Trumpa, który jeszcze jako biznesmen wspierał prawo do aborcji i dotował kampanie liberalnych kandydatów, jak Hillary Clinton.

Z okazji promocji książki polityk ruszył w tournée po Stanach przypominające kampanię wyborczą. Podczas spotkań z mieszkańcami od wschodniego do zachodniego wybrzeża atakował liberałów stojących na straży poprawności politycznej. Podczas wykładu w kalifornijskiej Bibliotece Ronalda Reagana w Simi Valley – regionie uznawanym za bastion republikanizmu – atakował gubernatora Kalifornii Gavina Newsoma, który postrzegany jest jako jeden z możliwych kandydatów do nominacji Partii Demokratycznej.

„Wiem, że macie tu dużo problemów, ale widzę, że wasz gubernator jest bardziej zatroskany tym, co robimy na Florydzie" – mówił DeSantis, nawiązując do zeszłorocznej reklamy opłaconej przez Newsoma. W Święto Niepodległości 4 lipca wypuścił on – w stanach rządzonych przez Republikanów – spot alarmujący, że dochodzi tam do ataków na wolność. Na tle zdjęcia DeSantisa Newsom argumentował, że „republikańscy gubernatorzy utrudniają dostęp do głosowania, ograniczają wolność wypowiedzi w szkołach i kryminalizują aborcję".

„Był martwym psem"

DeSantis jest również celem ataków Trumpa, który w 2018 r. udzielił mu poparcia w wyścigu o fotel gubernatora Florydy. Teraz były prezydent wyzywa dawnego sojusznika od „średniaków" i twierdzi, że ten ze łzami błagał go o poparcie w tamtej kampanii. „Był martwym psem, był martwym politykiem. Gdyby nie ja, pewnie pracowałby dla firmy prawniczej lub zajmował się czymś innym" – mówił w marcu dziennikarzom.

Trump wymyślił już dla DeSantisa przezwisko „Ron DeSanctimonious" („Ron Świętoszkowaty") i szuka na niego haków. Ostatnio na platformie Truth Social rozsiewał plotki, jakoby DeSantis romansował z nieletnimi uczennicami w czasach, gdy był nauczycielem w szkole średniej. Powiązany z kampanią byłego prezydenta komitet akcji politycznej Make America Great Again Inc. też nie próżnuje: w połowie marca złożył skargę przeciw DeSantisowi do florydzkiej komisji etyki, zarzucając mu prowadzenie „nielegalnej kampanii prezydenckiej" za pieniądze podatników.

Obrzucany tak błotem, gubernator Florydy przeszedł do ofensywy dopiero w obliczu problemów prawnych Trumpa. W rozmowie z konserwatywnym brytyjskim dziennikarzem Piersem Morganem krytykował rządy byłego prezydenta i „codzienne dramaty", jakie ten serwuje dziś Ameryce. W wywiadzie wyemitowanym przez platformę streamingową Fox Nation kpił też z wymyślanych przez Trumpa przezwisk: „Można nazywać mnie, jak się chce, pod warunkiem, ↦

↦ że jednocześnie mówi się o mnie jako o zwycięzcy" – wypalił butnie, deklarując, że jeśli ogłosi start w wyścigu o Biały Dom, jest w stanie pokonać Bidena.

Prezydent w cieniu

Gubernator Florydy powiedział to tak, jakby Biden oficjalnie ubiegał się o reelekcję. Ale tak nie jest. Choć 80-letni prezydent dawał sygnały, że myśli o kolejnej kampanii, do tej pory nie postawił kropki nad i, pozwalając na spekulacje.

Nowym przyczynkiem do plotek stała się wypowiedź pierwszej damy Jill Biden, która podczas wizyty w Afryce udzieliła wywiadu agencji AP. Zapytana o plany polityczne męża odparła, że ten „nie skończył jeszcze tego, co zaczął", i pozostało już tylko ustalenie terminu ogłoszenia jego kampanii. Joe Biden, słynący z dystansu do siebie, skwitował potem, że to jego żona wie lepiej, czy będzie ubiegał się o reelekcję. Jak wynika z nieoficjalnych doniesień, może on ogłosić kandydaturę w kwietniu – jak niegdyś Barack Obama, który wiosną 2011 r. wystartował w wyścigu o drugą kadencję.

Joe Biden unika na razie deklaracji, choć teoretycznie robi wszystko, co pomoże mu przekonać do siebie elektorat. Jako obrońca demokratycznych wartości pojechał do Kijowa, spotkał się z prezydentem Zełenskim, a po powrocie zaczął odwiedzać kluczowe dla wyścigu prezydenckiego stany – jak Wisconsin, Floryda i Pensylwania.

Na początku marca przyjechał do Filadelfii, by przedstawić projekt budżetu na nowy rok fiskalny, choć równie dobrze mógł to zrobić w Białym Domu. Przemawiając w północno-wschodniej części miasta przekonywał, że dzięki planowi podniesienia podatków dla miliarderów i korporacji „da szansę ludziom pracującym". „Jestem prezydentem dzięki wam" – mówił Biden, puszczając oko do wyborców w jednym z nielicznych rejonów tego miasta, gdzie ponad dwa lata temu przegrał z Trumpem.

Szykując się do potencjalnej kampanii, Biden odwiedził też Florydę, gdzie krytykował DeSantisa za brak poparcia dla reformy programu opieki zdrowotnej Medicaid. W przeciwieństwie do Trumpa, Demokrata nie chce przy tym podsycać wojen plemiennych w coraz bardziej spolaryzowanej Ameryce. Zamiast tego skupia się na promocji dokonań za swoich rządów, jak obniżenie cen insuliny, wspieranie ubezpieczeń zdrowotnych dla najbiedniejszych i tworzenie nowych miejsc pracy w przemyśle.

„Musimy skończyć z wizerunkiem partii obojętnej na ludzi, którzy czują się pominięci i mają naprawdę trudne życie" – tak strategię Bidena podsumował strateg polityczny Mike Lux na łamach „The Atlantic".

> Tylko 37 procent wyborców partii Joego Bidena chce, by walczył on o reelekcję. Prezydent ma w sondażach **rekordowo niskie notowania.**

Szturm na Iowa

Eksperci przewidują, że wyborcza walka w 2024 r. może być tak samo wyrównana jak w 2016 r., gdy o zgarnięciu przez Trumpa kluczowych głosów elektorskich – w stanach Wisconsin, Pensylwania i Michigan – zadecydowało niespełna 80 tys. wyborców. Na etapie prawyborczej walki o partyjną nominację zaciekły bój wśród Republikanów szykuje się m.in. w dryfujących na prawo stanach Ohio, Floryda i Iowa.

W tym ostatnim, gdzie w lutym 2024 r. konserwatyści zainaugurują swoje prawybory, już teraz robi się tłoczno. Mieszkańcy ponad 100-tysięcznego Davenport nie zdążyli ochłonąć po wizycie DeSantisa, a już dwa dni później po piętach deptał mu Trump. Właśnie tam przypuścił on na rywala pierwszy frontalny atak, odgrzebując jego dawne poparcie dla ustawy ograniczającej produkcję etanolu. To rzecz istotna dla rolniczego stanu Iowa, bo niemal 60 proc. tutejszych upraw kukurydzy trafia właśnie do wytwórni etanolu. „Nie sądzę, żebyś tutaj sobie poradził" – wypalił Trump, podkręcając atmosferę rozkręcających się dopiero prawyborów.

Oprócz niego jedyną prominentną republikańską kandydatką, która oficjalnie ogłosiła start w kampanii prawyborczej, jest była ambasadorka przy ONZ Nikki Haley. Reszta potencjalnych rywali zjawiła się w Iowa, testując swoje szanse. Ten trzymilionowy stan odwiedził już m.in. były wiceprezydent Pence, senator z Karoliny Południowej Tim Scott oraz były sekretarz stanu Mike Pompeo.

Do Iowa wybrała się też obecna wiceprezydentka Kamala Harris, co odczytywane jest jako sygnał, że Partia Demokratyczna nie rezygnuje tu z walki, choć już odpuściła sobie inaugurację prawyborów właśnie w tym stanie. Za sugestią Bidena, Demokraci zerwą bowiem z tradycją i zaczną prawyborczy wyścig w Karolinie Południowej – tam, gdzie zwycięstwo tego polityka ułatwiło mu walkę o partyjną nominację w 2020 r.

Brak alternatyw

Trzy lata później Demokraci mają z Bidenem problem: tylko 37 proc. wyborców jego partii chce, by walczył o reelekcję. Pochłonięty walką z inflacją, a ostatnio turbulencjami w sektorze bankowym, prezydent ma w sondażach rekordowo niskie notowania.

Według najświeższego badania na zlecenie Associated Press jego rządy popiera zaledwie 38 proc. respondentów. W mediach krążą materiały z kluczowych stanów, jak Pensylwania, gdzie wyborcy krytykują jego rządy i wyrażają obawy związane z jego sędziwym wiekiem (w chwili zaprzysiężenia na drugą kadencję miałby 82 lata). Sceptyczni wobec Bidena są też mieszkańcy Iowa: według sondażu przeprowadzonego dla dziennika „Des Moines Register" jego rządy popiera tylko 30 proc. respondentów.

Choć te statystyki nie napawają optymizmem, inni politycy Partii Demokratycznej na razie nie wychodzą przed szereg. Jedyną prominentną kandydatką, która ogłosiła start w kampanii, jest 70-letnia Marianne Williamson – autorka książek o duchowości, mająca za sobą nieudany start przed wyborami w 2020 r.

To niepokojąca wiadomość dla Demokratów, od lat poszukujących charyzmatycznego lidera, który stawi czoło republikańskiemu populizmowi. Jeśli wierzyć sondażowi „Economist"/YouGov z połowy marca, więcej Amerykanów sprzeciwia się walce Bidena o reelekcję niż kolejnej kampanii Trumpa (56 proc. wobec 54 proc). Oto są nastroje w kraju, który uznawany jest za najważniejszą demokrację świata. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press"

Tekst ukończono 24 marca

Łowcy nazistów

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Aktywiści skrajnej lewicy, na czele z niepozorną studentką, mieli dokonywać brutalnych samosądów na neonazistach. W Niemczech dobiega końca najgłośniejszy proces ostatnich lat.

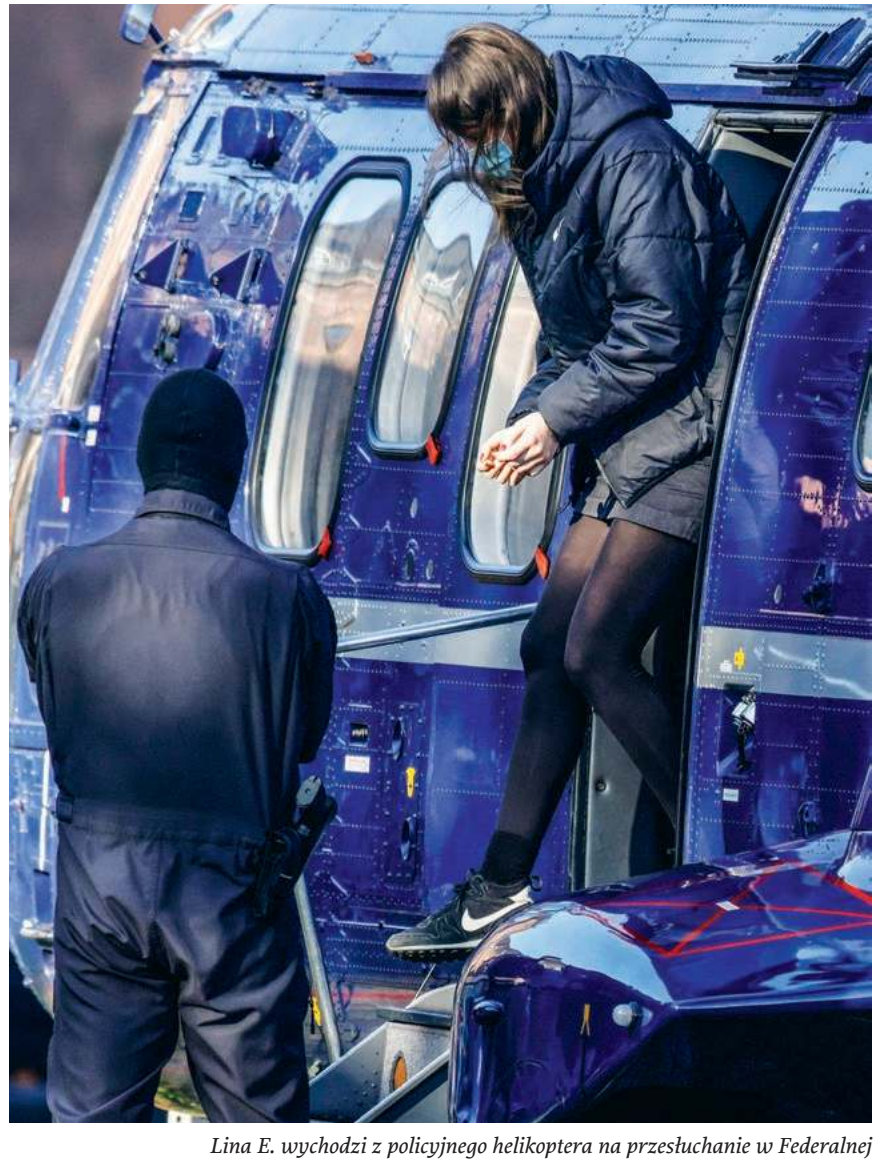

RONALD WITTEK / PAP / EPA

Lina E. wychodzi z policyjnego helikoptera na przesłuchanie w Federalnej Prokuraturze Generalnej. Karlsruhe, Niemcy, 6 listopada 2020 r.

Na fotografiach wykonywanych na sali sądowej Lina E. zasłania twarz segregatorem. Najsłynniejszej dziś domniemanej niemieckiej terrorystce można lepiej przyjrzeć się na zdjęciach, które wykonano, gdy wychodzi z policyjnego helikoptera w Karlsruhe, gdzie ma siedzibę federalna prokuratura generalna. Jest 6 listopada 2020 r., dzień po jej zatrzymaniu w Lipsku. Wokół stoją policjanci z karabinami. Ona ma na sobie ciemnogranatową kurtkę, minispódniczkę w tym samym kolorze, czarne rajstopy i tenisówki. I długie kasztanowe włosy oraz pomalowane na czerwono paznokcie. Twarz częściowo zakrywa maseczka.

Zwykle gdy organy ścigania robią *show* z przewożeniem oskarżonych, widzimy osobników mniej lub bardziej odpowiadających wizerunkowi mordercy czy terrorysty. Ona wygląda na zwykłą studentkę. I taką jest: oskarżona o dowodzenie zorganizowaną grupą, która dokonywała ataków na neonazistów, studiowała pedagogikę na uniwersytecie w Halle. Uczyła się, jak pracować z dziećmi, a po zajęciach trenowała uderzenia młotkiem w newralgiczne części ciała, by trafić jak najdotkliwiej.

Oskarżona o przywódczą rolę w „gangu młotów", ostatnie dwa i pół roku spędziła w areszcie. Dotąd odbyło się 86 rozpraw. Ona i jej wspólnicy są porównywani do lewicowych terrorystów z Frakcji Czerwonej Armii (RAF), którzy w latach 70. i 80. XX w. zabili w zachodnich Niemczech 34 osoby – choć Lina E. nie ma na sumieniu śmiertelnych ofiar.

Im bliżej wyroku, tym więcej wiemy o tym, jak bezwzględną walkę toczą między sobą dwa zamknięte światy: niemieccy zwolennicy skrajnej lewicy i skrajnej prawicy.

Powalić i pobić

Lina E. nie była samotną liderką. Według śledczych równie ważną rolę miał odgrywać jej partner Johann G., który – ścigany listem gończym – skutecznie się ukrywa. Na razie na ławie oskarżonych obok 27-letniej dziś studentki zasiadają: 27-letni student matematyki Lennart A., 37-letni pielęgniarz Jannis R. i 27-letni Jonathan M. Wobec kilku innych osób trwa dochodzenie. Grupa miała składać się z ok. 10 osób, kolejne procesy to kwestia czasu.

Większość jej członków mieszkała w Lipsku. Ta wschodnioniemiecka metropolia ma dla sprawy kluczowe znaczenie. Tu niemiecka Antifa ma najwięcej aktywnych zwolenników. Dzielnica Connewitz jest w nieformalnym władaniu skrajnych lewicowców: tu mają swoje knajpy i sklepy, organizują swoje demonstracje.

Bojówka Liny E. miała w sposób zorganizowany planować i dokonywać napadów na neonazistów. Śledczy zidentyfikowali przynajmniej pięć takich incydentów.

2 października 2018 r. kilka osób zaatakowało w Lipsku Enrica Böhma, byłego członka neonazistowskiej Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NPD). Po wyjściu ze swego mieszkania został powalony na ziemię i mocno pobity. Na koniec zamaskowani napastnicy rozpylili gaz pieprzowy w kierunku jego twarzy.

↦

30 października 2018 r. doszło do podobnego ataku. W Wurzen, miasteczku 30 km od Lipska, kilku zamaskowanych napastników zaatakowało lokalnego działacza skrajnej prawicy Cedrica Scholza, gdy wracał z treningu piłkarskiego. Został mocno pobity przy użyciu pałek teleskopowych. Zeznał, że sprawcy wymierzali silne ciosy w kolana, uda i kostki. Na odchodne usłyszał: „Pieprzona nazistowska świnia".

Kolejną ofiarą był robotnik kanalizacyjny, ciężko pobity 8 stycznia 2019 r. w Lipsku. Jedynym motywem ataku miała być czapka marki Greifvogel Wear, która jest powiązana z prawicowymi ekstremistami.

Chybiony cios w serce

Po tych atakach na wiele miesięcy zapada cisza. Grupa chce dobrze zaplanować kolejny „projekt", jak nazywa swoje akcje. Zamierza uderzyć w serce prawicowej ekstremy: w Eisenach. W tym mieście w Turyngii neonaziści czują się pewnie, w 2019 r. NPD dostaje tam 10,2 proc. w wyborach komunalnych. Część miasta ekstremiści samozwańczo mianują „nazistowską dzielnicą". Takie napisy widnieją na budynkach, ulice patrolują ich aktywiści. W centrum dzielnicy działa knajpa Bull's Eye, główne miejsce spotkań lokalnych neonazistów.

19 października 2019 r. późnym wieczorem kilkanaście osób szturmuje ten lokal. Napastnicy mają pałki teleskopowe. Niszczą wystrój, ranią obsługę i pięciu gości. Nie udaje im się osiągnąć głównego celu, jakim było pobicie Leona Ringla. Prowadzi ten lokal i jest liderem grupy Combat 18, która zrzesza agresywnych neonazistów z regionu. Lina E. i jej ludzie chcą więc wkrótce znów zaatakować w Eisenach.

Od tego momentu dochodzi do szeregu sytuacji, które skończą się ujęciem studentki przez policję.

Najpierw 13 grudnia 2019 r. zostaje przyłapana w sklepie budowlanym na próbie kradzieży dwóch młotków. Ochrona wzywa policję, jej nazwisko trafia do akt. Policjanci nie podejrzewają, że młotki miały posłużyć do maltretowania neonazistów.

Dzień później lewicowe komando rusza do Eisenach i zaczaja się na Ringla koło jego domu. Ten z trzema kolegami zjawia się późną nocą. Sprawcy atakują, Ringl na ich widok wyjmuje nóż. Napastnicy skupiają się więc na pozostałych trzech – usiłują uciec autem, które nie chce odpalić. Napastnicy dewastują pojazd i biją tę trójkę. W końcu auto rusza.

Wkrótce po tym ataku policja zatrzymuje dwa pojazdy, które z nadmierną prędkością mkną z Eisenach do Lipska. W tym, którym jedzie Lina E., na tylnym siedzeniu policjanci znajdują peruki, pałki teleskopowe i tablice rejestracyjne. Podejrzani są jeszcze na wolności, ale policja łączy fakty i rusza z dokładną obserwacją.

Grupa przeprowadza jeszcze jeden atak. W lutym 2020 r. na dworcu w Wurzen ok. 20 osób atakuje pociąg, którym z Drezna wracają uczestnicy manifestacji skrajnej prawicy. W kolejnych miesiącach Lina E. jest blisko przeprowadzenia kolejnego napadu, ale policja śledzi grupę i nie dochodzi do niego.

W końcu Lina E. zostaje zatrzymana. Gdy 5 listopada 2020 r. policjanci wyważają jej drzwi, uczestniczy w zdalnych zajęciach z przedmiotu refleksyjna pedagogika społeczna. Funkcjonariusze znajdują torby z perukami, których miała używać w trakcie akcji.

Głód sukcesu

Powyższa rekonstrukcja zdarzeń bazuje na tym, co ujawniła dotąd prokuratura. Mocnych dowodów nie brakuje. Po napaści w Eisenach sprawcy zostali zatrzymani przez policję niemal bezpośrednio po zajściu. W domach Liny E. i innych oskarżonych znaleziono odzież służącą do przebierania, peruki, zdjęcia z miejsc, gdzie dokonano napaści i liczne karty SIM, które były aktywowane w czasie, który odpowiada atakom. Oskarżeni zostali też wielokrotnie zarejestrowani przez monitoring. Dochodzą do tego ślady DNA na miejscach przestępstw i podsłuchane przez policję nagrania rozmów.

Obrona ma jednak wątpliwości co do części materiału dowodowego. Przede wszystkim stara się podważyć główny zarzut, jakoby oskarżeni tworzyli zorganizowaną grupę przestępczą. Aby ten zarzut udowodnić, trzeba wykazać czas i miejsce zawiązania takiej grupy i mieć dowody na istnienie trwałych struktur.

O to w sprawie Liny E. jest trudno. Dlatego wraz z kolejnymi rozprawami w opinii publicznej narastał sceptycyzm. Coraz częściej podnoszono, że prokuratura, chcąc odtrąbić sukces w walce z lewicowym ekstremizmem, na siłę łączy różne przestępstwa i dorabia do nich terrorystyczną otoczkę.

Wcześniej presja wobec organów ścigania narastała od lat, bo liczba przestępstw, których sprawcami mieli być zwolennicy skrajnej lewicy, rosła gwałtownie, a wykrywalność była znikoma.

Zeznania zdrajcy

Punktem zwrotnym w procesie stały się zeznania świadka koronnego.

Johannes D. był członkiem Antify z Berlina. Zanim związał się z grupą Liny E., miał wyrok w zawieszeniu za udział w rozróbach podczas skrajnie lewicowych demonstracji. Teraz przed sądem przyznał się do udziału w drugim ataku na Ringla. W wylewnych zeznaniach dał argumenty oskarżeniu: zeznał, iż Lina E. i jej partner od 2015 r. planowali i przeprowadzali ataki na ludzi ze skrajnej prawicy, a ich uczestnicy spotykali się regularnie na treningach. Uczyli się, jak dotkliwie bić, nie zabijając. Omawiali aspekty taktyczne. „Nic nie zostawiono przypadkowi" – przekonywał Johannes D., który w sądzie był witany przez innych oskarżonych cynicznymi grymasami.

Ponadto Johannes D. wraz z partnerem Liny E. tworzyli grupę graffiarską Nakam. Nazwę zapożyczyli od Żydów, którzy przetrwali Holokaust i planowali zemstę: chcieli zatruć wodę pitną w miastach i za miliony żydowskich ofiar zabić miliony Niemców; ostatecznie tego nie zrobili. Takie inspiracje mogą wskazywać, że grupa wokół Liny E. należała do nurtu zwanego *Antideutsch* (anty-Niemcy). To skrajna frakcja w i tak już skrajnej niemieckiej lewicy, która przez pamięć o zbrodniach III Rzeszy odmawia niemieckiemu państwu prawa do istnienia. Dla niej wrogiem są nie tylko neonaziści, lecz także cały aparat państwowy, a zwłaszcza policja.

Przedszkolanek w Warszawie

Prokuraturze zeznania Johannesa D. spadły jak z nieba, nawet jeśli świadek koronny budzi kontrowersje. W 2021 r. został na stronie internetowej Antify oskarżony o gwałt na byłej partnerce i inne akty przemocy seksualnej. Tekst był odezwą do lewicowej sceny, by nałożyła na Johannesa D. infamię. Wywołał lawinę

JAN WOITAS / DPA/ AFP / EAST NEWS

Protest w Lipsku w obronie Liny E.; młot na transparencie nawiązuje do narzędzi, które stosowała jej bojówka. 18 września 2021 r.

reakcji: grożono mu i zabroniono wjazdu do wielu miast, zapowiadając pobicie.

W tym czasie zdążył już wyjechać z Niemiec. Pracował jako opiekun w polsko-niemieckim przedszkolu w Warszawie. Stawiane mu oskarżenia wkrótce dotarły do dyrekcji tej placówki. Dodatkowo został namierzony przez warszawskich nacjonalistów, m.in. został rozpoznany na Marszu Niepodległości 11 listopada 2021 r., który chciał obserwować. Kamery uwieczniły, jak salwuje się ucieczką.

W sądzie zeznał, że czuł, iż przeszłość nie da mu spokoju – i to mimo że dochodzenie w sprawie rzekomego gwałtu umorzono. Dlatego nie myślał długo, gdy pod warszawskim przedszkolem zagadnęli go niemieccy tajniacy, oferując współpracę: zeznania w sprawie Liny E. za obietnicę złagodzenia wyroku i pomoc w rozpoczęciu nowego życia.

Plan został zrealizowany, przynajmniej na pierwszych etapach: pod koniec lutego sąd skazał Johannesa D. za współudział w ataku w Eisenach na półtora roku więzienia w zawieszeniu. Co z jego nowym życiem, tego nie wiemy.

Młot na nazistów

To, co łączy prawicowe i lewicowe ekstrema, to niechęć, a nawet nienawiść do policji. Dlatego w szeregach skrajnej lewicy Johannes D. został obwołany „zdrajcą", który waży się współpracować z policją. To jeden z największych grzechów w tym światku. W Lipsku pojawiły się graffiti, na których za zdradę środowiska grozi mu się śmiercią.

Jego zeznania nie zmieniły percepcji samej Liny E., która dla lewicowych aktywistów stała się już wcześniej ikoną. „Free Lina", „Uwolnić Linę": to hasło w postaci graffiti i naklejek spotkać można na terenie całych Niemiec. W Lipsku kilkukrotnie wielotysięczny tłum domagał się jej uwolnienia.

Przy czym zdecydowana większość jej sympatyków zdaje się nie mieć wątpliwości, że zarzuty są prawdziwe. W sieciach społecznościowych nie brak zdjęć zamaskowanych grup, które pozują z młotkami. Na demonstracjach młot stał się symbolem walki z neonazizmem. Jako cegiełkę na opłacenie adwokatów można kupić koszulkę ze skrzyżowanymi młotami.

Najprostsza synteza argumentów broniących Liny E. brzmi: skoro naszym zdaniem państwo zawodzi, przemoc staje się uzasadnionym środkiem walki z ekstremizmem prawicowym. Według różnych szacunków z rąk prawicowych terrorystów od zjednoczenia Niemiec zginęło od 109 (wyliczenia rządowe) do 219 osób (wyliczenia lewicowych organizacji).

Aby spróbować zrozumieć ten tok rozumowania, warto przyjrzeć się ofiarom grupy Liny D. Enrico Böhm to nie tylko były działacz NPD; na przestrzeni kilkunastu lat ponad 20 razy napadał fizycznie na innych ludzi, w tym na lewicowych aktywistów. Jest zaangażowany w wydawnictwo Der Schelm, które przedrukowuje najbardziej obrzydliwe antysemickie książki z lat 30. XX w. Firma obchodzi prawne zakazy przez dodanie informacji na okładce, że chodzi o tekst źródłowy na potrzeby naukowe. Wydawnictwo drukuje też autorów negujących Holokaust i apologetów III Rzeszy i zbrodniczej polityki rasowej Hitlera.

Z kolei ekstremistom z Eisenach, którzy działają w strukturach NPD i grupy Knockout 51, przypisuje się liczne ataki na lewicowych aktywistów i imigrantów. Na zdjęciach dostępnych w sieci widać członków grupy, jak z uśmiechem hajlują w kierunku obiektywu.

Nienawiść za nienawiść

Proces Liny E. miał skończyć się przed Wielkanocą. Został przedłużony, gdyż po zeznaniach świadka koronnego śledczy rozpatrują wariant, w którym grupa mogła w sposób zorganizowany działać dłużej, niż pierwotnie zakładano. Kolejne rozprawy dają coraz głębszy wgląd w najbardziej ekstremalne i nielegalne formy lewicowego aktywizmu w Niemczech. Wątpliwe jednak, by jakikolwiek wyrok mógł ukrócić spiralę (wzajemnej) nienawiści.

W czasie gdy Lina E. od dawna przebywała w areszcie, organizowano kolejne ataki na prawicowych ekstremistów. I znów ciosy młotkiem wymierzano w golenie i kolana, używano też gazu pieprzowego. Bojówkarze z Lipska zostali w lutym złapani w Budapeszcie, gdzie dokonywali podobnych napadów na uczestników faszystowskiego Marszu Honoru. Z ustaleń policji węgierskiej i niemieckiej wynika, że dwóch tam zatrzymanych to prawdopodobnie osoby współpracujące wcześniej z Liną E.

Na co liczą lewicowi napastnicy? Czy ma to być walka na zastraszenie? Jeśli tak, to efekty są wątpliwe. Cedric Scholz, którego antyfaszyści zaatakowali w 2019 r., w jednym z wywiadów skomentował osobiste konsekwencje tego zdarzenia: „To mnie naznaczyło w tym sensie, że jestem głęboko przekonany, iż pozostanę nacjonalistą na całe życie (...). Bez względu na wszystko będziemy żyć i umierać dla Niemiec".

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

NAC

Aleksandra Piłsudska, zdjęcie niedatowane

KOMENDANTKA OLA

W gorsecie przemyca dynamit, w falbanach sukni rewolwery. Walcząca o niepodległość konspiratorka zostanie zapamiętana jednak głównie jako powściągliwa pani marszałkowa. 60 lat temu zmarła Aleksandra Piłsudska.

EWELINA BURDA

NA ŚWIAT PRZYCHODZI 12 GRUDnia 1882 r. w Suwałkach w zaborze rosyjskim, w zubożałej rodzinie ziemiańskiej. Jest drugą córką Piotra Pawła Szczerbińskiego, pracownika magistratu, i Julii Jadwigi z Zahorskich. Dom rodzinny – drewniany, parterowy, z ogrodem – mieści się przy ulicy Krzywej. Ola ma trzy siostry i brata (matka Julia urodzi dwanaścioro, ale wiek dziecięcy przeżyje tylko piątka).

Wczesne dzieciństwo jest szczęśliwe, upływa leniwie wśród łagodnych wzniesień i jezior, przez które wraz z rówieśnikami przeprawiają się łódkami. Po latach napisze z nostalgią: „Na pagórku wznosił się stary klasztor kamedułów, słynny z cudownej muzyki i dzwonów. Te dźwięki, rozchodzące się przez wodę w czasie nieszporów są jednym z najmilszych wspomnień mojego dzieciństwa".

Troski przychodzą u progu dojrzewania. Gdy ma 12 lat, umiera matka, dwa lata później ojciec. „Pozostali w mojej pamięci jako zamglone, odległe postacie". Opieką i wychowaniem dziewczyny zajmie się surowa babka Karolina Zahorska; przeciwwagą dla niej będzie ciepła ciocia Maria, siostra matki.

„Babka była kobietą o dużej sile charakteru, a inteligencją, oczytaniem, głębią umysłu i szeregiem innych zalet przewyższała bez wątpienia większość swoich rówieśniczek" – napisze Aleksandra, która widzi w niej kobiecy wzór.

W rodzinnym domu unosi się duch powstania styczniowego. Ola słyszy rozmowy dorosłych. Babka Karolina, która włączała się w działania niepodległościowe, nosi po powstaniu żałobę. Nastoletnia Ola angażuje się, jak potrafi: uczy dzieci ze wsi i rodzin robotniczych czytania i pisania po polsku, przez władze carskie zakazanego.

Panna Szczerbińska

Na fotografii zrobionej po ukończeniu gimnazjum Aleksandra jest w ciemnej sukience pod szyję, włosy zebrane znad czoła są

NAC

Aleksandra Piłsudska na poświęceniu szkoły powszechnej im. Józefa Piłsudskiego w Bezdanach, 1937 r.

miękko upięte. Twarz owalna, subtelna, oczy głęboko osadzone, pod wydatnym nosem wąskie usta. Patrzy na wprost, spojrzenie ma delikatne, ale kryje się w nim zaciętość i duma.

W 1901 r. ambitna 19-letnia panna Szczerbińska przyjeżdża do Warszawy. Zaczyna naukę na cenionych żeńskich kursach handlowych u Józefy Siemiradzkiej. Trwa to dwa lata. Uczęszcza też na tajne wykłady uniwersytetu latającego; oficjalnego dyplomu nie otrzyma jednak nigdy (po latach podejmie jeszcze próby). Mówiąc o tym później, będzie podkreślać, że ma wykształcenie wyższe – co dla niej jako zdeklarowanej feministki jest wartością.

Żeby utrzymać się samodzielnie, szuka pracy. Pierwszą znajduje w kantorze fabryki wyrobów skórzanych Horna na Woli. Obserwuje: przemęczonych robotników, zagrażające życiu warunki pracy, wyzysk. Wraz z wiekiem i nowymi doświadczeniami wielkiego miasta kształtują się jej poglądy. W 1904 r. wstępuje do Polskiej Partii Socjalistycznej. Zgadza się z jej profilem: i walka o niepodległość, i zmiany społeczne. Ceni też, że w PPS-ie nie jest pomijana „sprawa kobieca".

Udziela korepetycji z języków, chemii i matematyki dla dziewcząt z zamożniejszych domów. „Często śmiałam się w duchu z roli, w jakiej się znalazłam. Cóż by one powiedziały na to, gdyby ktoś je poinformował, że ich nauczycielka, tyle uwagi poświęcająca tłumaczeniom z francuskiego i wzorom matematycznym, wygłasza rewolucyjne przemówienia na tajnych zebraniach w dzielnicach robotniczych, przewozi i magazynuje broń i amunicję, ukrywać się musi przed okiem policji" – napisze we wspomnieniach.

Dynamit pod gorsetem

„Ola", bo taki pseudonim konspiracyjny otrzyma, włącza się w działalność Organizacji Bojowej PPS. Początkowo zajmuje sią agitacją, współpracuje z kurierami i kurierkami – bo jest tu wiele innych kobiet. Zdobywa zaufanie przełożonych: jest rzetelna, odważna i sprytna. Wyspecjalizuje się w przewożeniu ładunków wybuchowych i broni, a od 1905 r. nadzoruje centralne składy broni w Warszawie.

Ówczesna moda pomaga konspiratorkom. „Ola" wspomina: „Kobieta w długiej sukni mogła swobodnie nieść dwa lub trzy mauzery przywiązane do ciała, wzdłuż nóg. Rewolwery i amunicję zaszywano w szerokie pasy, które kładło się pod ubranie. Dynamit znakomicie nadawał się do gorsetu. (...) Z czasem doszłyśmy do takiej wprawy, że mając na sobie do czterdziestu funtów amunicji i bibuły, podróżowałyśmy swobodnie, nie wzbudzając podejrzenia. Myśl, że ma się na sobie materiał wybuchowy, łączyła się ze świadomością niebezpieczeństwa eksplozji. Jakieś silniejsze potarcie szpilką czy fiszbinem z gorsetu i zabawa skończona".

W składzie broni, między koszami z amunicją i karabinami, w majowe popołudnie 1906 r. Aleksandra poznaje Józefa Piłsudskiego: „Odczułam na sobie wpływ jego osobowości, jakąś siłę niezwykłą, nieokreślony magnetyzm, którym promieniował przez całe życie, naginając do siebie ludzi nawet wbrew ich woli".

Ich relacja staje się coraz bardziej zażyła. Podzielają wzajemnie poglądy, są dla siebie wsparciem. I skomplikowana: Piłsudski od 1899 r. jest żonaty z Marią Juszkiewiczową, działaczką socjalistyczną, która do śmierci nie godzi się na rozwód.

Latem 1907 r. w Kijowie „Ola" słyszy deklarację miłości: „Powiedział mi, że mnie kocha. Pamiętam, jak to wyznanie mnie zdziwiło. Do tej chwili uważałam go jedynie za idealnego towarzysza, a tu nagle zjawiło się coś nieoczekiwanego".

Bezdany i Legiony

Z konspiracyjnych działań Szczerbińskiej najsłynniejsza stanie się akcja w Bezdanach, miasteczku koło Wilna.

Grupa bojowa PPS planuje napad na rosyjski pociąg, który przewozi pieniądze z Królestwa Polskiego do Petersburga. Zaangażowanych jest kilkanaście osób, w tym Piłsudski i Szczerbińska. Ona sprawdza teren i mapy, weryfikuje informacje. Przywozi dynamit, który w kluczowym momencie pomoże opanować pociąg.

„Uważaliśmy siebie wówczas za żołnierzy, w stanie wojny z Rosją i wojnę tę trzeba było prowadzić takimi środkami, jakie były do rozporządzenia dla przebudowy społecznej i oswobodzenia się od Rosji" – napisze we wspomnieniach.

26 września 1908 r. z sukcesem napadają na pociąg i zdobywają pieniądze na ↦

↦ działalność bojową. Dalsza misja „Oli" polega na ich przechowaniu: ukrywa je po prywatnych domach.

Gdy wybucha I wojna światowa, ma 32 lata. Wstępuje do Legionów Polskich, gdzie obejmie funkcję komendantki kurierek I Brygady.

Od Piłsudskiego dostaje listy miłosne, jak ten z grudnia 1914 r.: „Całuję ciebie Oluś tysiące razy, przeklinam też tysiące razy, że nie mogę być w czasie świąt z tobą. (...) Buzi, jeszcze raz buzi, Olutko droga".

Angażuje się też w działania Polskiej Organizacji Wojskowej w zaborze pruskim. W listopadzie 1915 r. zostaje aresztowana za niedozwoloną agitację i osadzona w więzieniu na Pawiaku: „Pewnego wieczoru, gdy leżałam na łóżku, żołnierz wszedł do celi i zanim się opamiętałam, nachylił się nade mną. Zdążyłam zerwać się na nogi i zagroziłam, że jeżeli nie wyjdzie natychmiast, zacznę krzyczeć. Na szczęście znałam język niemiecki. Ta groźba poskutkowała. Wyszedł".

Na Pawiaku się nie kończy, trafia też do obozu internowania w Szczypiornie: „Zimno panowało straszliwe. Za łóżka służyć nam miały dwa worki ze słomą, a za przykrycie koce. W środku ziemianki stał wprawdzie żelazny piecyk, ale wiatr hulał swobodnie". W lutym 1916 r. wraz z innymi więźniarkami zostaje przeniesiona do obozu Lauban na Dolnym Śląsku (dziś Lubań). Tam jest lepiej: nie ma wilgoci, mieszka w obszernym drewnianym baraku. I czeka na listy od Piłsudskiego.

Za odwagę, którą wykazała się jako działaczka PPS podczas akcji pod Bezdanami, a potem jako członkini oddziału wywiadowczo-kurierskiego I Brygady Legionów, Aleksandra otrzyma odznaczenia, m.in. Krzyż Walecznych. I szczególnie dla niej cenny Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari – „za męstwo i hart ducha wykazane w pracy niepodległościowej".

Matka samotna

Niemcom zależy na pozyskaniu Polaków, zwalniają część internowanych. Szczerbińska wraca do Warszawy. Jest wiosna 1917 r. i ona znów działa w POW: wywiad, transport materiałów wybuchowych. Zatrzymuje się w mieszkaniu przy ul. Mokotowskiej, gdzie jest redakcja pisma „Rząd i Wojsko", uważanego za bliskie Piłsudskiemu. Nastroje się zmieniają: po uwięzieniu Piłsudskiego w Magdeburgu Szczerbińska jest śledzona, musi zaprzestać działalności publicznej.

Kolejny rok będzie wyjątkowy i wyjątkowo trudny: 7 lutego 1918 r. urodzi pierwszą córkę Wandę. Żyje jej się ciężko: finansowo może liczyć tylko na siebie (pracuje w biurze fabryki zajmującej się suszeniem jarzyn), je ubogo, w mieszkaniu nie ma opału. „W jedenaście dni po porodzie poszłam do biura. Na szczęście w budynkach fabrycznych było kilka pustych pokojów. Jeden z nich wynajęłam, tak że w czasie pracy mogłam kilkakrotnie zaglądać do dziecka, samotnie leżącego w łóżeczku".

Kontakty z więzionym Piłsudskim są utrudnione. Telegram o narodzinach córki otrzyma on z kilkutygodniowym opóźnieniem. Wandę zobaczy po raz pierwszy dziewięć miesięcy później – 10 listopada, po powrocie z Magdeburga.

Pani Piłsudska

Gdy Polska odzyskuje niepodległość, Aleksandra ma 36 lat. Piłsudski jako naczelnik państwa wprowadza się do Belwederu. Razem zamieszkać nie mogą, status ich związku jest nieformalny. Aleksandra z córką wynajmuje dwa pokoje. W lutym 1920 r. rodzi się druga córka, Jadwiga.

Ślub, wyczekany przez kilkanaście lat, jest cichy i skromny. Uroczystości odbywają się 25 października 1921 r. w Belwederze, świadkami są pułkownicy Eugeniusz Piestrzyński i Bolesław Wieniawa-Długoszowski, a małżeństwu błogosławi ksiądz prałat Marian Tokarzewski, kapelan naczelnika państwa.

Aleksandra, już Piłsudska, zostawia za sobą działalność polityczną, nieprzystającą żonie „wielkiego męża stanu", jak będzie często mówić o Józefie. „Nie należałam do żadnej partii politycznej. Nie chciałam stwarzać sytuacji niejasnych. Nieraz moje wystąpienia były komentowane jako poglądy męża" – napisze.

Czy w domu będzie mieć wpływ na decyzje męża? To dla historyków tajemnica. Pewne jest, co potwierdzą korespondencje, że Józef zawsze cenił i szanował jej zdanie.

Odnajduje się w roli pierwszej damy. Lista społecznikowskich aktywności jest długa: angażuje się w pomoc dzieciom, bezdomnym, inwalidom. Organizuje zbiórki pieniędzy i żywności, dokumentuje działalność niepodległościową kobiet, działa w organizacjach weteranów, nie zapomina o weterankach. Wobec otoczenia zdystansowana, o kręgu najbliższych przyjaciół wspomina oszczędnie. Ceni umiar i stosowność, ale od czasu do czasu lubi suknie i splendory na charytatywnych balach.

Czasy szczęśliwe...

Jako żona i gospodyni domowa czuje się równie dobrze, czynności z życia rodzinnego sprawiają jej radość. „Dzieci wychowywałam sama bez bon. Mąż tylko je psuł i rozpuszczał". Z wiekiem coraz ważniejsza stanie się dla niej wiara. Napisze we wspomnieniach: „W latach późniejszych, pełnych konfliktów i niepokoju, tęskniłam nieraz do tej prostej i mocnej wiary z czasów dzieciństwa".

Szczęśliwym miejscem Aleksandry i całej rodziny jest Sulejówek. Początkiem roku 1921 kupują tam działkę: rośnie na niej las, jest ogród warzywny, sad i nieduża pasieka. Jest też drewniany domek. Na stałe rodzina przeniesie się tu wiosną 1923 r. – zamieszkają w nowo wybudowanym dworku „Milusin" według projektu Kazimierza Skórewicza. Dom jest darem dla Piłsudskiego od jego żołnierzy.

Józef przez kilka lat nie sprawuje funkcji publicznych, czas poświęca rodzinie. „Były to lata bardzo szczęśliwe, więc i dziś drogi jest mi niezmiernie ten dom bielony, pokryty czerwoną dachówką, w głębi sosnowego lasku, z ogrodem pełnym kwiatów i brzęku pszczół" – będzie wspominać Aleksandra.

Kocha ogród, sadzi kwiaty i kwitnące krzewy: róże pnące, akacje i jaśminy. „W tyle za domem zasadziliśmy szerokolistne lipki, które przyjęły się doskonale. Choć posadziłam je za blisko balkonu, mąż nie zgodził się, aby je przesadzić dalej od domu. Co dzień z rana po wyjściu do ogrodu oglądał je z zadowoleniem stwierdzając, jak wspaniale się rozrastają. Twierdził, że powoduje to radioaktywność jego oczu".

Prócz obowiązków domowych Aleksandra jest w tych latach także osobistą sekretarką męża: zapisuje jego przemyślenia, prowadzi korespondencję, dba o dokumenty.

...czasy przewrotne

Przewrót majowy w 1926 r. przynosi trudny czas dla całej rodziny.

NAC

Aleksandra Piłsudska na otwarciu strzelnicy Związku Strzeleckiego w Warszawie, 1928 r.

Następują ponowne przenosiny do Belwederu. Powszechne stają się anonimy z groźbami zamachu na marszałka. Pojawiają się także i takie, w których groźby kierowane są do niej i do córek. Rodzina jest pod stałą ochroną wojskową, ale też Aleksandra jest przygotowana: w pobliżu trzyma zawsze nabity browning.

Tłumnie przyjeżdżają dziennikarze, nalegają na wywiady i rozmowy. Aleksandra z rzadka się wypowiada.

Kolejne lata, oprócz spraw państwowych, przynoszą kłopoty w małżeństwie. Aleksandra mierzy się z burzliwym romansem męża z młodą, ambitną i uchodzącą za piękność lekarką Eugenią Lewicką, która będzie mu towarzyszyć podczas zdrowotnego wyjazdu na Maderę zimą na przełomie roku 1930 i 1931. Po jej interwencjach znajomość zostanie zakończona (a Lewicka najprawdopodobniej odbierze sobie życie).

Miłość przetrwała to wszystko

Ostatnią wspólną Wielkanoc spędzają w Belwederze, a nie, jak planowali, w ukochanym Sulejówku. „Mąż był za słaby na wyjazd z Warszawy. Święta przesiedział w fotelu na werandzie, czytając, kładąc pasjanse i karmiąc gołębie. Z dnia na dzień nikł w oczach" – zda relację z ostatnich wspólnych dni z chorym na raka Piłsudskim.

12 maja 1935 r. Józef umiera.

„Po latach przekonałam się, że przyjaźń jest najlepszym fundamentem miłości. Przez długi czas nie zaznaliśmy nic z tego, co się uważa za podstawę szczęśliwego małżeństwa, nie mieliśmy ani domu, ani spokoju, ani bezpieczeństwa. Zamiast tego – ciągłą pracę, częstą biedę, niebezpieczeństwo i niepewność jutra. Miłość nasza przetrwała to wszystko, i co równie ważne, przeżyła później lata spokoju i zwycięstwa" – napisze we wspomnieniach.

Wraz z córkami wyprowadzają się z Belwederu do domu przy ul. Klonowej. Aleksandra całą sobą angażuje się w budowanie legendy marszałka, jest strażniczką jego spuścizny. Kontynuuje też działalność społeczną.

Gdy wybucha II wojna światowa, Aleksandra zbliża się do sześćdziesiątki. Pierwsze jej dni spędza w Warszawie, angażuje się w organizowanie pomocy. Gdy wojska niemieckie podchodzą coraz bliżej stolicy, decyduje się na wyjazd: 6 września razem z córkami ruszają na wschód.

Plany weryfikują wielokrotnie. Ostatecznie przez Wilno, Rygę i Sztokholm docierają do Londynu. Napisze wówczas: „Dolatując do Anglii, po raz pierwszy od opuszczenia Warszawy miałam czas pomyśleć o przyszłości i uświadomić sobie, że jestem na wygnaniu, bez domu, bez kraju, a droga w przyszłości jest ciemna i niepewna".

W Londynie jest rozpoznawalna nie tylko w kręgach polskiej emigracji, ale i w środowisku międzynarodowym. Dba o pamięć o mężu oraz o pamiątki, które wywieziono z kraju.

Na emigracji spędzi ostatnie 24 lata życia, ojczyzny nie zobaczy już nigdy.

Umiera 31 marca 1963 r. w londyńskim szpitalu w Mabledon Park. Pochowana zostanie na cmentarzu North Sheen. W 1992 r. jej prochy zostają sprowadzone do Polski i złożone na Powązkach. 60 lat po jej śmierci Sejm RP ustanowi Aleksandrę Piłsudską patronką roku 2023.

Epilog

– Babciu, pozwól mi włożyć ten pierścionek – prosi siedmioletnia Ola.

Na palcu babki Karoliny, z którą siedzą w rodzinnym salonie, widzi okazały pierścień. Tabliczkę z czarnej emalii zdobi krzyżyk z drobnych białych pereł. Wewnątrz wyryta data: 1863. Znak żałoby po poległych w powstaniu styczniowym.

– Możesz nosić go tylko wówczas, gdy będziesz patriotką, Olu.

– A co to znaczy być patriotką, babciu? – dziewczynka pyta o słowo, które słyszy od małego.

– Ten jest patriotą, kto kocha Polskę nade wszystko na świecie i kto dla jej wolności poświęci wszystko, co posiada, nawet swe życie, gdy będzie trzeba.

– Ja chcę walczyć o Polskę, babciu – mówi dziarsko Ola, choć zależy jej teraz na tym, aby choć na chwilę założyć owiany tajemnicą pierścień.

– Wierzę, że chcesz. Olu, moje dziecko, przyrzecz mi, że będziesz walczyć!

– Przyrzekam, babciu – powie podniosłym głosem Ola.

Babcia Karolina przytula Olę niecodziennym dla siebie odruchem. Na krótką chwilę wsuwa pierścień na drobny palec wnuczki.

Po latach Aleksandra dokładnie opisze tę scenę. I doda: „Wyszłam z pokoju dumna, że babcia powierzyła mi taki sekret; czułam, że tej chwili nigdy nie zapomnę. Oczywiście, nie rozumiałam wtedy jego wagi i dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że było to właściwie błogosławieństwo babki na drogę mego życia".

©℗ EWELINA BURDA

Korzystałam z książki „Aleksandra Piłsudska (1882-1963)" Marty Sikorskiej, „Wspomnień" Aleksandry Piłsudskiej (skąd pochodzi większość cytatów) i materiałów udostępnionych przez Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

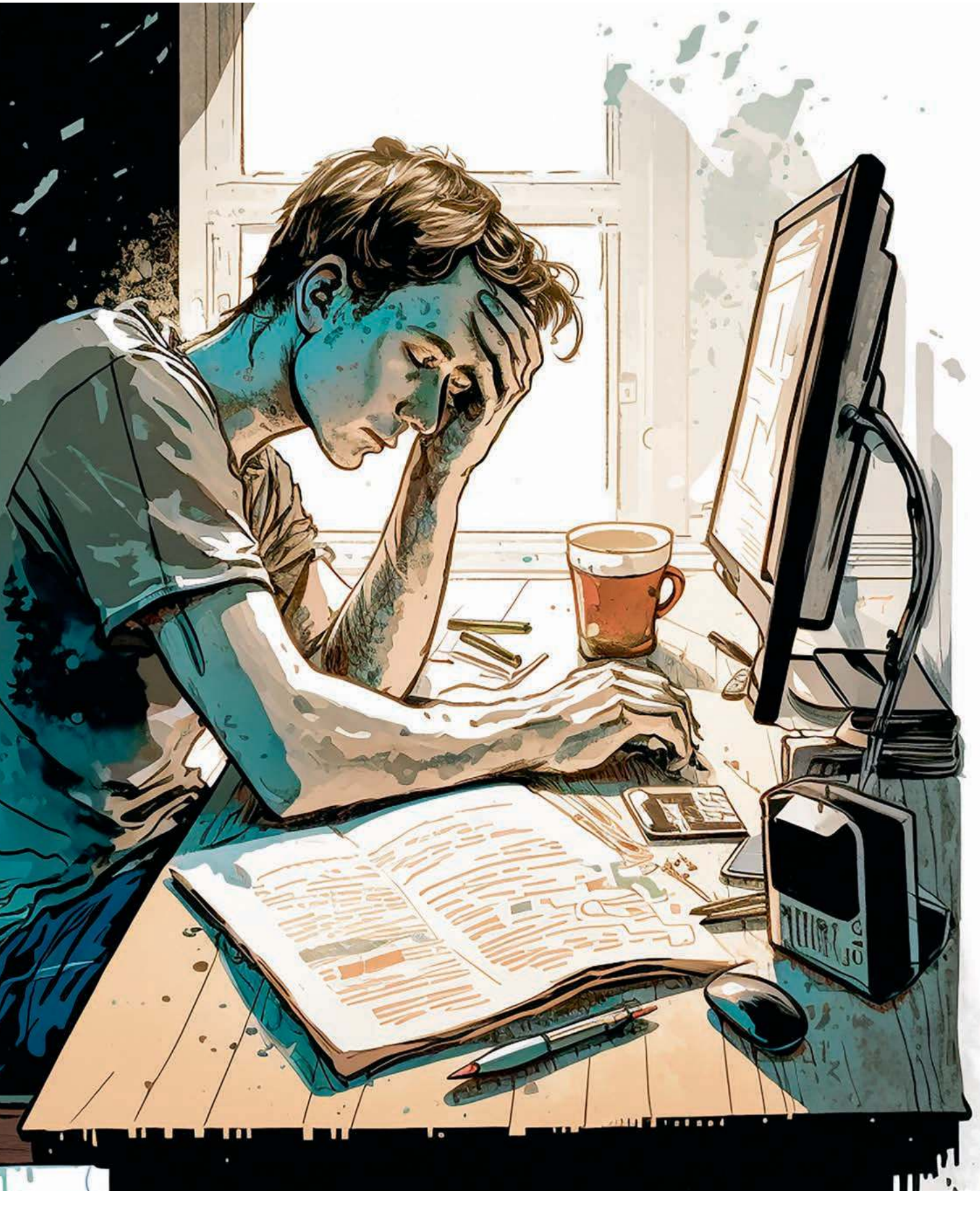

NAUKA

MÓW DO MNIE JESZCZE

Wciąż nie przygasły dyskusje nad możliwościami i ograniczeniami generatora tekstu GPT-3.5 firmy OpenAI, a już powstała jego nowa wersja. Co zmienia?

JAREK GRYZ

W raporcie technicznym udostępnionym 14 marca – w dniu ogłoszenia nowej wersji systemu – OpenAI potwierdził, że program GPT-4 zbudowany został na podstawie tej samej architektury co GPT-3. Tym razem jednak jego twórcy odmawiają ujawnienia jakichkolwiek szczegółów technicznych, skazani więc jesteśmy wyłącznie na porównywanie funkcjonalności obu z nich. Jak się można było spodziewać, GPT-4 jest lepszy, a w niektórych przypadkach zdecydowanie lepszy od poprzednika.

W teście myślenia potocznego GPT-4 odpowiada poprawnie na 95,3 proc. pytań (wzrost z 85,5 proc. w przypadku GPT-3.5), w matematyce na poziomie szkoły podstawowej na 92 proc. (wzrost z 57,1 proc.), w rozumieniu tekstu i arytmetyce poziom poprawnych odpowiedzi wzrósł z 64,1 do 80,9 proc., a w zadaniach programowania w środowisku Python – do 67 z 48,1 proc. Imponujące są też wyniki GPT-4 w standardowych egzaminach, jakie zdają amerykańscy uczniowie i studenci. Na Graduate Record Examinations, obowiązującym na prawie wszystkie studia drugiego stopnia, GPT poprawił się z 25 do 80 proc. w części matematycznej, z 63 do 99 proc. w części językowej (to lepiej niż swego czasu uzyskał niżej podpisany), a na egzaminie prawniczym, tzw. Uniform Bar Exam, z 10 do 90 proc.

Opisaliśmy sztucznej inteligencji Midjourney autora tekstu. Oto, jak go sobie wyobraziła

ŁUKASZ LAMŻA / MIDJOURNEY

Na placu Pigalle

Podstawowe zasady działania obu systemów – GPT-3 i GPT-4 – są takie same.

Wyobraźmy sobie, że mamy za zadanie dokończyć następujące zdanie „Najlepsze kasztany są...". Metoda, jaką się mamy posłużyć, to dodawanie słowa po słowie najbardziej prawdopodobnej kontynuacji podanej frazy. I tak np. kolejnymi krokami w tej procedurze mogą być następujące rozwinięcia: *...dojrzałe*; *...dojrzałe i soczyste*; *...dojrzałe i soczyste, ale jednocześnie nie są zbyt suche.*

Dodawane słowa nie są oczywiście przypadkowe, bo słowa występujące w każdym sensownym zdaniu czy dłuższym tekście są ze sobą ściśle skorelowane. Nie możemy więc po frazie „Najlepsze kasztany są" napisać: „aligator" ani wprowadzać chaotycznego szyku zdania „Najlepsze kasztany są nie ale suche dojrzałe jednocześnie soczyste zbyt i". Umiejętność poprawnego dokończenia zadanej frazy jest wynikiem naszej kompetencji językowej, a tę nabywamy przez słuchanie i czytanie zdań naszego języka. Tak jak GPT.

Procedura dodawania słowa po słowie do zadanego tekstu jest już od lat stosowana w automatycznych systemach generujących tekst. Pisanie tekstu przez maszynę to nic innego jak odpowiadanie raz za razem na pytanie „jakie jest najbardziej prawdpopodobne słowo po tekście widzianym dotychczas?". Wartości tych prawdopodobieństw odczytywane są z kolei z modelu języka, jaki stworzył samodzielnie GPT na etapie uczenia się (do czego jeszcze wrócimy). Gdyby więc po frazie „Najlepsze kasztany są..." najbardziej prawdopodobne były słowa „dojrzałe" (2,5 proc.), „świeże" (2 proc.), „dobrze" (1,9 proc.), to wybrałby z tej listy słowo „dojrzałe". Choć to nie do końca tak działa. Gdyby bowiem algorytm wybierał za każdym razem słowo najbardziej prawdopodobne, generowałby identyczny tekst w odpowiedzi na tę samą frazę. Tymczasem w reakcji na sugestię „Najlepsze kasztany są..." GPT wytwarza za każdym razem inne zdanie:

...zdrowe i soczyste, z bogatym smakiem i teksturą.

...dobrze ułożone w szeregach na straganie jesienią, mają gładką skórkę i błyszczące brązowe barwy, a po upieczeniu pękają lekko i mają miękki, ale jednocześnie chrupiący miąższ.

...świeże i jędrne, o równomiernym brązowym kolorze i pozbawione plam czy uszkodzeń.

Okazuje się, że GPT wybiera losowo słowa z nieco mniejszym niż to najwyższe prawdopodobieństwem, co ma dodatkową zaletę, że wytworzony tekst jest bardziej interesujący – bo oryginalny. Oczywiście lista – za każdym razem inna – z której GPT wybiera słowa, jest dość krótka. W tym przypadku nie znalazły się na niej najwyraźniej słowa prowadzące do zbudowania zdania „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle", które ↦

↦ osobom z mojego pokolenia wydają się najbardziej stosowne. Ale GPT kieruje się wyłącznie powszechnością występowania pewnych zwrotów w całym korpusie języka, a nie popularnością filmowego agenta.

Spojrzenie wstecz

Dociekliwy czytelnik zapyta zapewne, dlaczego dodajemy pojedyncze słowa do generowanego tekstu zamiast sekwencji tychże słów. Sekwencje o wysokim prawdopodobieństwie wystąpienia w języku byłyby na pewno bardziej sensowne niż frazy składane z pojedynczych słów. Otóż problem w tym, że nierealne jest szacowanie prawdopodobieństwa występowania w korpusie językowym wszystkich takich sekwencji. Według Rady Języka Polskiego posługujemy się na co dzień około dziesięcioma tysiącami wyrazów. Możliwych sekwencji dwuwyrazowych jest więc sto milionów. A sekwencji dwudziestowyrazowych jest mniej więcej tyle co cząsteczek we wszechświecie. Niemożliwe jest więc wygenerowanie wszystkich takich sekwencji, a tym bardziej szacowanie ich prawdopodobieństwa, bo tylko bardzo niewielka część z nich była kiedykolwiek zapisana.

Co więcej, w rzeczywistości GPT i podobne mu algorytmy nie rozkładają tekstu na słowa, lecz na tzw. tokeny – czasem są to słowa, ale innym razem tylko fragmenty słów, a nawet pojedyncze litery. GPT-3 miał słownik składający się ze 175 tysięcy tokenów o przeciętnej długości około czterech znaków. Dzięki tej sztuczce algorytm potrafi np. analizować neologizmy – posłusznie opisuje mi „mechanoklikoturbotron", zgadując, że jest to pewnie jakaś zaawansowana maszyna, choć słowa takiego próżno szukać w całym internecie. Algorytm „tokenizujący" wykorzystywany przez GPT (jeden z wielu drobnych ukrytych w nim cudów inżynierii), którym można pobawić się w internecie, sprytnie reaguje też choćby na nazwiska: w zdaniu „*My name is John Tygodnikowski*" wydziela jako osobny token końcówkę „owski", która dostarcza mu cennych informacji, w jakim regionie „uniwersum tekstu" się znalazł.

Opisana powyżej metoda ma niestety poważne ograniczenia. Żeby zbudować pojedyncze zdanie, wystarczy patrzeć wstecz na kilka jego ostatnich słów. Ale

DOMENA PUBLICZNA

Co to jest? Zapytany o to GPT-4 poprawnie odpowiada, że to kabel do monitora podpięty do smartfona.

nie da się w ten sposób zbudować długiego tekstu. Np. niemożliwa jest zmiana wątku w generowanym tekście, bo wtedy nowe zdanie jest zupełnie niezwiązane semantycznie ze zdaniem poprzednim. Co więcej, nawet w krótkich tekstach odwołujemy się często do myśli wyrażonej kilka zdań, a nawet kilka akapitów wcześniej. Korelacja semantyczna między słowami takiego tekstu jest wówczas bardzo odległa i nie daje się uchwycić przez analizę słów występujących blisko siebie.

Tradycyjne modele języka nie radziły sobie z tym problemem, bo brały pod uwagę tylko jedno do trzech ostatnich słów w generowanym tekście. Nawet zwiększenie ostatnio tego limitu do 7-8 słów wydawało się kresem możliwości obliczeniowych współczesnych komputerów. Aż do czasu GPT-3, bo ten potrafił zanalizować aż 2048 tokenów wstecz (ok. 1500 słów). I to głównie jest źródłem zdumiewającej jakości tekstu generowanego przez ten system.

Sieci neuronowe, na których opiera się GPT, znane są od kilkudziesięciu lat, a użyta tu ich szczególna odmiana zwana „transformer" zaprojektowana została u konkurencji, w Google, przed sześciu laty. Jej kluczowym elementem jest tzw. mechanizm uwagi: twórcy transformera opisali jego strukturę w artykule naukowym o tytule „Attention Is All You Need" – „Potrzeba ci tylko uwagi". Mechanizm ten to komputerowa wariacja na temat zjawiska psychologicznego o tej samej nazwie. Pomyślmy o czytelniku „Trylogii" Sienkiewicza, który próbuje przewidzieć, jak skończy się zdanie: „Zza rogu wyszedł...". Nie każde spośród tysięcy poprzedzających słów jest tak samo istotne. Opis przyrody nie bardzo pomaga w ustaleniu, czy bardziej prawdopodobnym dokończeniem będzie słowo „Kmicic" czy „Wiedźmin", za to spore znaczenie będzie miał fakt, że pojawiły się wcześniej słowa „Zagłoba" albo „Oleńka". GPT, analizując tekst, samodzielnie decyduje, które spośród poprzedzających tokenów najmocniej determinują wybór następnego. Transformer to więc złożona, wielowarstwowa sieć neuronowa o niebanalnej „anatomii", jeśli jednak chcemy ją zrozumieć, musimy przyjrzeć się sieciom neuronowym jako takim. Te zaś są idealizacją funkcjonowania ludzkiego mózgu.

Trzysta miliardów słów

Weźmy prosty przykład i zastanówmy się, jak odróżniamy psa od kota. Nikt z nas nie robi tego na podstawie książkowej definicji, ale dzięki setkom albo tysiącom obserwacji obu zwierząt. Tak samo rzecz się ma z sieciami neuronowymi. Po przeanalizowaniu tysięcy zdjęć podpisanych odpowiednio „pies" lub „kot" sieć neuronowa wyłuskuje cechy bardziej charakterystyczne dla jednego niż dla drugiego i wedle tego dostosowuje wagi odpowiadających im sygnałów. Po zakończeniu procesu uczenia się wszystkie te wagi są ustalone i mówi się, że stworzony został model do rozstrzygania, czy na nowo pokazanym zdjęciu jest pies czy kot.

GPT zbudował model do rozpoznawania nie obiektów na zdjęciach, tylko ludzkiego języka. Zadaniem tego modelu, tak jak w powyższym przykładzie, jest poprawna predykcja. W tym przypadku chodzi o przewidzenie, jak kontynuować tekst w taki sposób, w jaki zrobiłby to człowiek.

Z perspektywy badaczy sieci neuronowych model tej wielkości jest gigantyczny, być może największy, jaki kiedykolwiek zbudowano. Ale z punktu widzenia ilości informacji, jakie koduje, jest on niebywale wydajny. OpenAI ściągnął bowiem z internetu niemal wszystkie teksty, jakie tam kiedykolwiek umieszczono: książki, artykuły, blogi, reklamy itp. – w sumie około biliona słów. Po odsianiu materiału o niskiej jakości pozostało jeszcze 300 miliardów słów, których

użyto do uczenia GPT-3. Ten zbiór wymagałby 2-3 milionów książek do jego zapisania i jest sto razy większy niż wszystkie zasoby Wikipedii. Sam proces uczenia jest więc niezwykle żmudny. Dla każdego analizowanego słowa wymaga on bowiem przejrzenia 2048 poprzedzających go tokenów, w celu ustalenia kontekstu, w jakim to słowo się pojawiło. A „zapamiętywanie" kontekstu wymaga z kolei dostosowania każdorazowo wszystkich parametrów modelu, których jest... 175 miliardów. Nic zatem dziwnego, że cykl treningowy wymagał kilku miesięcy obliczeń wykonywanych na klastrze złożonym z tysięcy najpotężniejszych obecnie procesorów graficznych. GPT-4 tymczasem posiada „okno uwagi" o długości 8192 lub 32 768 tokenów, zależnie od wersji. Ta druga wersja patrzy więc na każdy token przez pryzmat ok. 24 tysięcy poprzedzających go słów.

Co jest na zdjęciu?

Jak już wspomniałem, w przypadku GPT-4 OpenAI nie zdradza szczegółów dotyczących przygotowania danych ani metody uczenia czy nawet wielkości modelu zastosowanych w nowym systemie. Pozostaje nam samodzielne odkrywanie różnic w działaniu oraz poddawanie tego programu rozmaitym testom – takim jak te przytoczone na początku.

A możliwości testów jest teraz więcej. Jedną ze znanych nowości w GPT-4 jest moduł wizji komputerowej, który umożliwia mu interpretację ilustracji. Nie jest to przy tym opisany wcześniej prosty system rozpoznawania przedmiotów (np. odróżniania kotów od psów), ale dużo bardziej wyrafinowany instrument do ich analizy. Kiedy jeden z użytkowników zapytał, co niezwykłego widać na obrazku pokazanym na sąsiedniej stronie, GPT-4 odpowiedział, że to kabel przeznaczony do monitora wetknięty do smartfona. Inne przykłady pokazują, że GPT-4 rozpoznaje memy, ironię i nienaturalność pokazywanych mu ilustracji.

Choć w porównaniu z niewiarygodnymi możliwościami językowymi GPT-4 umiejętność interpretacji ilustracji nie wydaje się niczym szczególnym, to samo zintegrowanie obu w jednym systemie jest osiągnięciem przełomowym. Wielu ekspertów sztucznej inteligencji zwracało uwagę na barierę, jaką w rozwoju tej dziedziny była trudność z budową spójnego systemu, który poprawnie interpretowałby dane różnego typu. Jeśli ostatecznym celem sztucznej inteligencji ma być stworzenie maszyny podobnej do człowieka, to musi ona być w stanie odbierać ze środowiska i spójnie interpretować wszelkie dostępne bodźce. Wydaje się, że GPT-4 zrobił krok w tym właśnie kierunku.

Łatwość, z jaką dzięki GPT możemy generować teksty o przyzwoitej jakości, spowoduje już wkrótce, że większość z nich będzie autorstwa maszyny, a nie człowieka, i będą one nieodróżnialne od tych pisanych przez ludzi. Tak jak ten.

© JAREK GRYZ

Osoba podająca się za autora powyższego artykułu jest profesorem informatyki i filozofii na York University w Toronto.

REKLAMA

CENTRALNE MUZEUM JEŃCÓW WOJENNYCH

Poznajemy, pamiętamy, przestrzegamy

Godziny otwarcia:

OPOLE
pon. – pt. 8.00 – 17.00

ŁAMBINOWICE
wt. –pt. 9.00 – 18.00
sob. – nd. 10.00 – 18.00

www.cmjw.pl

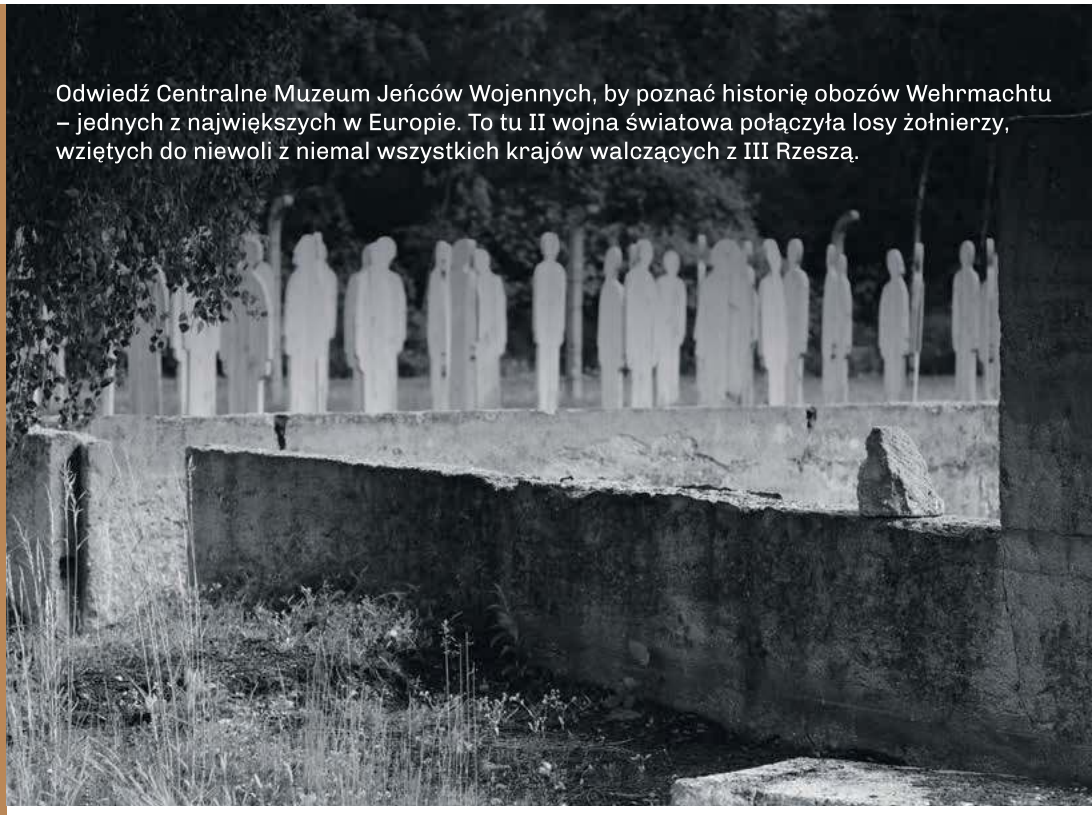

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

SAMORZĄD Województwa Opolskiego

ZNAK DZIEDZICTWA EUROPEJSKIEGO

Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest instytucją kultury Samorządu Województwa Opolskiego, współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 30/23 toczy się postępowanie z wniosku Jana Zięby, Kazimierza Zięby, Zofii Zięby, Danuty Kosior, Łucji Przydział, Stanisławy Zbyrad z udziałem Skarbu Państwa – Starosty Powiatu Tarnobrzeskiego i Gminy Nowa Dęba o uregulowanie własności nieruchomości oznaczonej, jako działka ewidencyjna numer 2087/1, stanowiąca łąki trwałe o powierzchni 0,2300 ha, w obrębie 0002 Chmielów, Gmina Nowa Dęba, powstała z cz. pgr. 820/22 objętej Lwh 1100 gminy katastralnej Chmielów – obecnie zamknięte z urzędu, w którym to lwh, na karcie B, za dawnego właściciela wpisana jest w roku 1925, Anna z Kozdębów Bogaczowa z Cyganów.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi uwłaszczenie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 800/22 toczy się postępowanie z wniosku Krystyny Piwowar o stwierdzenie nabycia przez małżonków Krystynę Piwowar i Andrzeja Piwowara przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Targowisku (gm. Kłaj), oznaczonej jako działka nr 1188, która powstała z p. gr. 1369/57 objętej LWH 925.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Katarzyny ze Świętków Piwowarowej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Łomży I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygn. akt I Ns 4/23 z wniosku Adama Szczecha i Anny Szczech z udziałem Doroty Dolores Szczęsnej i Andrzeja Bogusława Szczecha o zasiedzenie prawa własności nieruchomości poł. w Wykowie, gmina Kolno, składającej się z działki gruntu oznaczonej numerem geodezyjnym 230 o pow. 1,08 ha oraz nieruchomości poł. w Okurowie, gmina Kolno, składającej się z działek gruntu oznaczonych numerami geodezyjnymi: 18/2, 18/6 i 69/1 o łącznej pow. 3,5219 ha, dla których nie ma urządzonej księgi wieczystej, a które obecnie są w posiadaniu Adama Szczecha i Anny Szczech.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się do Sądu i wykazali swoje prawa, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 243/22 postępowanie z wniosku Justyny Katarzyny Zgierskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Cecylii Karczewskiej, córce Bolesława i Antonii, zmarłej dnia 22 lutego 2022 roku w Kwidzynie, ostatnio zamieszkałej w Marzęcicach.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Nowym Mieście Lubawskim i wykazali prawo do spadku pod rygorem pominięcia ich praw w toczącym się postępowaniu.

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. akt I Ns 934/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Renacie Dufek, z domu Anderka, urodzonej 25.02.1936 roku, zmarłej 08.04.2022 roku w Gliwicach, ostatnio stale zamieszkałej w Gliwicach. W skład spadku wchodzi lokal mieszkalny położony w Gliwicach, dla którego Sąd Rejonowy w Gliwicach prowadzi księgę wieczystą.

Sąd wzywa spadkobierców Renaty Dufek, aby zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili nabycie spadku w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach pod sygn. akt I Ns 948/22 toczy się postępowanie z wniosku Rzymskokatolickiej Parafii pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego z siedzibą w Gliwicach o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Wilczek z domu Wilczek ostatnio stale zamieszkałej w Gliwicach, zmarłej w dniu 21 września 2022 r. W majątku spadkowym znajdują się środki pieniężne na rachunku bankowym.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym wypadku mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie, w II Wydziale Cywilnym pod sygn. II Ns 85/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Irminie Szachogłuchowicz, zmarłej 5 czerwca 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przed śmiercią zamieszkałej w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 15/17 m. 2.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Międzyrzeczu Wydział I Cywilny w sprawie zarejestrowanej pod sygnaturą I Ns 397/22 prowadzi postępowanie z wniosku PROTEGAT 1 Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego z siedzibą w Krakowie o stwierdzenie nabycia spadku po Annie Dehmel, zmarłej w dniu 15 kwietnia 2022 roku w Świebodzinie (c. Henryka i Jadwigi), mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Goraju.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia, zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ELIZA

Kącka:
Inne akty polskie

DOMOFON, ODBIERASZ, TAM DYKTAFONOwo: „dzień dobry, chciałam panią zaprosić na taką szczególną uroczystość". myślisz, by odwiesić, ale słuchasz. „w okresie Świąt otaczają nas zajączki". „tak, tabunami". „reklamy epatują świeżym wypiekiem. sklepy sprzedają towar". „zazwyczaj". ta na zadowoleniu: „cieszę się, że świadomie uczestniczy pani w refleksji! chciałam pani zaproponować odejście od tego i skupienie na rocznicy pewnej szczególnej śmierci". „?". „jaką jest rocznica śmierci Jezusa Chrystusa". „?!". „świat dziś ucieka przed śmiercią, ceni sukces. a przecież nawet Chrystus, zanim odniósł sukces, musiał umrzeć. zapraszamy panią na rocznicę tego wydarzenia w naszej wspólnocie. ulotkę zostawię w skrzynce".

Sklep sieciowy stokrotka. ja przy półkach z przyprawami, obok młody w komórkę: „mama, jestem na zakupach, dużych". pauza. „dobra, daj listę". pauza. „nie będę wiózł schabu, obok kupisz schab". pauza. „mazurek? znów dziadek będzie dociskał przez miesiąc". pauza. „mogę takie specjalne drożdżowe kupić, z Włoch". pauza. „wcale mnie nie odmieniło, Boże jedyny, to tylko ciasto". pauza. „jak nie dojadę, poświęcę jajka dla ciebie, serio". pauza. „wiem, że babcia jest umierająca, już mi nie tłumacz, zjem kiełbasę". pauza. „na spowiedź z ojcem? on też umiera?!". pauza. „dobra, bądźmy szczerzy: i tak mi babcia nic nie zapisze, tylko Kamie zapisze, bo jej zrobi prawnuczka". dłuższa pauza. „mama, skończmy tę komedię, zawsze tego chciałem: jestem wegan". rozłączył się.

Uliczka wiodąca do parku. równam z kobietą pchającą trójkołowy wózek. przy niej na smyczy kundelek średniej kubatury. kornie idzie przy kółku. w wózku pies widywany do niedawna na okolicznych chodnikach: wiekowy, powolny, o karykaturalnie wykrzywionych, zreumatyzowanych łapach. widać nie mógł już w półprzysiadzie i przystał na trzy kółka. telefon, rozmawiam. po paru minutach równam z nimi ponownie. kobieta uśmiecha się i rzuca nad wózkiem: „aport!". kij w łąkę, a za kijem spuszczony ze smyczy młody. wraca spokojnie i kładzie patyk w wózku. właścicielka kuca przy starym: „i jak, Królu, jeszcze raz, czy dość już pobiegałeś?". całuje psa w łeb.

Olimpiada polonistyczna, etap okręgowy, pilnowanie. wychodzi się do toalety, waruje na korytarzu, słyszy rodziców: „ja mojemu powiedziałem, że ci wszyscy ludzie, co cię pilnują, wygrali taki konkurs i dlatego tu przychodzą, byś miał mobilizację". „zwariowałeś?". „ale co?". „ja mojemu powiedziałam, że ma wygrać, żeby nie skończyć jak oni". i wskazała na mnie.

tramwaj, dwóch w wieku studenckim. na cały głos, więc pilnie rejestruję: „byłem w Berlinie, u ciotki. z matką". „co tam robiłeś z matką?!". „tylko spałem". „?!". „na kanapie. potem ona szła się modlić. kościoły, muzea. ja imprezowałem". pauza. „pozwoliła ci?". „no wracałem napruty, a tu pomidorowa, rozumiesz. siedzą jak na nabożeństwie. musiałem zjeść". „nie mogłeś iść spać?". „niezbyt, oni na mnie czekali z tą wazą". „i co?". „nic, musieli zobaczyć, że dalej chcę pomidorowej. ale raz była tragedia, bo przyprowadziłem kumpla. matka chyba pomyślała, że mnie Berlin przerobił". „?". „no wiesz". „ale ty jesteś hetero!". „dla matki to kwestia wpływu. sama ludzi przerabia w innym sensie". „i?". „zrobiła histerię, że ona się poświęca na muzea, a ja Boga porzucam". pauza. „mogłem ci pożyczyć na hotel". „musiałem z nią wrócić i pójść na obiad w niedzielę". „a to cię nie wyklęła?". „nie, zjadłem pomidorową".

folder Inne podtrzymuje na duchu. „Szanowna Pani, piszę do Pani z okazji Światowego Dnia Poezji. Zauważyłem iż wypowiadała się Pani na piśmie, o Wisławie Szymborskiej oraz Cyprianie Kamilu Norwidzie. To ostatnie nazwisko przykłuło mą uwagę. Co do pani Szymborskiej to nie znam wierszy jej poświęconych Polsce. Nie chciałbym skreślać osoby oddanej poezji mimo, niesławnych, tekstów z przeszłości. Nie znalazłem patriotycznych przytoczeń z Szymborskiej w tekście Pani. Norwid natomiast miał rozeznanie ojczyzny, czym przekonuje tekst »Moja piosnka II«. Dochodzi w nim do ucałowania chleba oraz innych aktów polskich, które cenię szczególnie w poezji. Zwracam uwagę na nieobecność tego wiersza w Pani omówieniu Norwida. Czy nie czytała go Pani, co było by znakiem czasów? A jeśli go Pani zna zachęcam do wyrażenia tego na piśmie. Światowy Dzień Poezji jest świętem Polski jako Ojczyzny Poetów w skali świata. Nikt nas w tym nie wyścignie co polecam, Pani sumieniu".

Wieczór ciemny, na słabym kontraście. przecinasz skwer Chorwacki i równasz z gościem nawijającym do siebie na głos. idziesz z nim łeb w łeb ku mokotowskiemu Morskiemu Oku. wyłapujesz frazy: „nie da się, no nie da się tak", „po co mam brać", „co mi się tak przyglądasz". im bliżej parku, tym bardziej współodczuwasz, zwłaszcza że gość gestykuluje, jakby się opędzał od widm parkowych. zbliżacie się w końcu do punktu newralgicznego: przejścia dla pieszych. pora taka, że pustki, ale jednak martwisz się o niego. stajecie bok w bok. uśmiechasz się na tyle sugestywnie, że zaczyna cię zauważać. zawiesza się. przytyka na moment. i rzuca: „słuchaj, wiesz, przerwę na chwilę, bo tu jakaś babka ma chyba problem". ©

ŚMIEJ SIĘ ŚMIAŁO

MICHAŁ RUSINEK, PISARZ:

Przyjaźnię się z tymi, którzy potrafią pięknie opowiadać, nawet o traumatycznych sprawach. Wzrusza mnie umiejętność rozbrajania patosu żartem. Wtedy zdarza mi się mieć łzy w oczach.

ZDJĘCIA JACEK TARAN

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Skąd się wzięła pośmiertna loteryjka?

MICHAŁ RUSINEK: To od początku: zimą roku 2011 Szymborska trafiła do szpitala, musiała natychmiast przejść operację ratującą życie, a – jak się okazało – przedłużającą je tylko nieznacznie. Operację przeżyła, lecz było wiadomo, także dla niej, że to już kronika zapowiedzianej śmierci i że musi uporządkować swoje sprawy. Do szpitala zaprosiła notariuszkę, która sporządzała poprzednią wersję testamentu. Pani Wisława coś w nim chciała zmienić oraz dodać punkt o loteryjce, w której losowana będzie jej biżuteria, o wartości, powiedzmy sobie szczerze, głównie sentymentalnej. Notariuszka rozłożyła ręce, bo w języku prawa nie ma jak tego zapisać... Dlatego z Szymborską umówiliśmy się, że loteryjka znajdzie się poza testamentem – złożyłem jej ustne zobowiązanie, że doprowadzę do jej realizacji.

Możemy poznać skład losujących?

Szymborska sporządziła listę nazwisk: Bogusława Pacholska – kuzynka Adama Włodka, Teresa Walas – literaturoznawczyni, Małgosia Stępińska – żona Janusza Stępińskiego, profesora AGH, przyjaciela Włodka, który się nim opiekował do śmierci, Elżbieta Pindel – żona Jana Pindla, oboje zajmowali się Nawoją, siostrą Szymborskiej, Maja Zagajewska – psycholożka, żona Adama, Krystyna Krynicka – wydawczyni, żona Ryszarda, Maria Filipowicz – żona Aleksandra, syna Kornela, Hanna Lutosławska – aktorka, zmarła kilka miesięcy temu w wieku 95 lat, i moja żona, Barbara Rusinek. Ostatnia loteryjka odbyła się 5 stycznia 2013 r. To dla nas wszystkich było bardzo mocne przeżycie, mimo że zorganizowaliśmy tę loteryjkę na neutralnym gruncie, w biurze Fundacji, a nie w mieszkaniu Szymborskiej. Mimo rozbrajających wzruszenie momentów, kiedy to na przykład jedna z pań wylosowała pierścionek, który sama podarowała pani Wisławie.

To były przyjaźnie Szymborskiej?

Rzadko używała tego słowa. Ono było zarezerwowane dla jej starych znajomości, odwiecznych, jak mówiła. Wagę przywiązywała do przyjaźni z czasów, kiedy jeszcze nie należała do sławnych osób. I najbardziej ceniła tych czytelników i czytelniczki, którzy po spotkaniach autorskich prosili ją o dedykację w starych, zaczytanych wydaniach jej książek. Poświęcała im zawsze nieco więcej czasu i obdarzała nieco szerszym uśmiechem.

Kto dla Szymborskiej był szczególnie ważny?

Z pewnością Urszula Kozioł, którą Szymborska uważała za swoją przyjaciółkę i ceniła jako poetkę. Kiedy kupiła po Noblu nieco większe mieszkanie, to pokój gościnny nazwała „pokojem Urszulki", bo to głównie na nią czekał, gdy przyjeżdżała z Wrocławia. A właściwie wyłącznie na nią, bo nie wiem, z kim innym pani Wisława wytrzymałaby w jednym mieszkaniu. Nie była przyzwyczajona do mieszkania z kimkolwiek. Do odwiecznych przyjaciółek należała też pani Barbara Czałczyńska, pisarka i tłumaczka. Mieszkała tuż obok mnie i co roku Szymborska prosiła, bym jej zaniósł butelkę wina na imieniny.

A Wanda Klominkowa, założycielka pierwszego w Krakowie ośrodka adopcyjno-opiekuńczego?

Oczywiście! To była dość nieoczywista przyjaźń, bo pani Wanda była osobą nieomal całkowicie pozbawioną poczucia humoru, które to poczucie było dla pani Wisławy warunkiem jakiejkolwiek relacji, zwłaszcza przyjacielskiej. Szymborska ukuła nawet teorię, że wszystkie Wandy tak mają... Wiedziała, że Wandzi nie może wysyłać kolaży, albo co najwyżej takie, które nie operują zbyt abstrakcyjnym poczuciem humoru, żeby do niej nie dzwoniła i nie pytała, o co chodzi. ↦

↦ **Chyba jeszcze ważne były koleżanki Szymborskiej z gimnazjum.**

Organizowały „sabat czarownic". Z roku na rok spotykały się zresztą w coraz szczuplejszym gronie. Obowiązywała tam żelazna zasada: nie wolno było opowiadać o swoich chorobach. Jeśli którejś się coś na ten temat wypsnęło, płaciła karę. W czasie ostatniego takiego sabatu z udziałem Szymborskiej jedna z nich zaczęła narzekać na swojego męża, a inna ją uciszyła: „Przestań, przestań, przecież to jest już nasz ostatni mąż!".

Inne przyjaźnie?

Uważała, że pisarz czy poeta nie powinien rozmawiać tylko z poetami i pisarzami, zamykać się w środowiskowym getcie. Potrzebowała kontaktów z ludźmi, którzy dostarczali jej informacji pozapoetyckich: z dziedziny matematyki, astronomii, genetyki, biologii, archeologii. Dlatego w kręgu jej przyjaciół był na przykład profesor Wiesław Czyż, erudyta, wybitny fizyk, uroczy człowiek. Prosiła go, żeby jej opowiadał, co słychać w dziedzinie fizyki, a także kazała mu streszczać sobie jakieś książki, które mu zadawała do czytania. Zauważyłem, że unikała ludzi uprawiających small talki. Uważała, że to tak zwane puste kalorie – co zresztą chyba było określeniem ukutym przez Filipowicza.

A Stanisław Barańczak? Prowadzili korespondencję od roku 1972 aż do jej śmierci.

To nieomal miłosne listy. Do Barańczaka i jego żony Ani miała stosunek wyjątkowo czuły, chyba wobec nikogo innego nie zauważyłem takiej serdeczności, ciepła, bliskości. Ceniła i poezję, i tłumaczenia Barańczaka oraz jego zabawy literackie. Ważny tu był też fakt geograficzny, że pochodził on z Poznania, nieopodal którego się urodziła. I przejmowało ją to, że ciężko choruje. Choć nigdy wprost się jej nie żalił, to bardzo się martwiła, jeśli długo nie odpisywał. Wiemy, że chciała mu poświęcić wiersz, ale nie zdążyła.

Szymborska zmarła w roku 2012, Barańczak dwa lata później.

Powiedziała kiedyś przejmujące zdanie, właśnie w kontekście długotrwałej choroby Barańczaka, że nie jest za życiem za wszelką cenę. Ostatni wierszyk, który napisała już w szpitalu, zaraz po wspomnianej operacji, na którą między innymi ja ją namówiłem, był przeznaczony dla mnie i dotyczył eutanazji: „Holendrzy to mądra nacja / bo wiedzą, co trzeba zrobić / kiedy znika naturalna oddychacja!". Żarcik, bo żarcik, ale jednak bardzo gorzki.

MICHAŁ RUSINEK
(ur. 1972) jest literaturoznawcą, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesem Fundacji Wisławy Szymborskiej. Autor prac naukowych, pisarz i tłumacz. Napisał 40 książek, w tym 20 dla dzieci. Przetłumaczył ponad 90 książek. Członek Rady Języka Polskiego PAN oraz Polskiego PEN Clubu.

Czyli trudne tematy w rozmowach zamieniała w żart?

Do czasu. Lubiła i ceniła czarny humor. Próbowałem ją zarazić miłością do makabrycznego purnonsensu Edwarda Goreya, genialnego, moim zdaniem, amerykańskiego ilustratora i pisarza, którego dwie książki przetłumaczyłem. Co roku ukazują się kalendarze z jego rysunkami i makabreskami, ale nie są dostępne w Polsce. Zamawiałem je w amerykańskich księgarniach dla siebie i dla niej. Zamówiłem też w 2011 r., zanim zachorowała. Kalendarz dotarł, kiedy wróciła do domu ze szpitala, już ciężko chora. Myślałem, że sprawię nim jej przyjemność. Obejrzała go, ale oddała mi mówiąc tylko: „Już nie".

To już nie był czas na śmiech?

Śmierć prawdziwa, nieliteracka, własna, była zbyt blisko. Szymborska w jakimś sensie przyzwyczajona była do tego, że wokół niej wielu ludzi umierało. Dosyć często spotykała się ze znajomymi na pogrzebach. Nienawidziła, kiedy mężczyźni próbowali całować ją w rękę. Kiedy pewien znajomy rzucił się, by to zrobić, powiedziała: „Całuj, póki ciepła!".

Wieści o czyimś odejściu przyjmowała z roku na rok z coraz większym spokojem. Za wyjątkiem nagłej śmierci tłumacza Pietra Marchesaniego, którego nazywała Parmezani. Kiedy przekazałem jej tę informację, była w szpitalu, świeżo po operacji, i odnosiłem wrażenie, że coraz mniej ją interesuje życie, chciała już odejść. Ale gdy się dowiedziała o Marchesanim, aż podskoczyła na łóżku, była oburzona. Śmierć człowieka 20 lat od niej młodszego uznała za głęboko niesprawiedliwą.

Pamiętam też, że bardzo przeżyła śmierć siostry, niedługo po Noblu... Kiedy pani Nawoja leżała już w szpitalu, co kilka dni dzwonili do pani Wisławy lekarze, by ją odwiedziła. Na miejscu okazywało się, że chcieli sobie z nią zrobić zdjęcie, najchętniej na tle ściany, na której wisiał już portret papieża, żeby mieć dwoje sławnych Polaków na jednym obrazku. A o siostrze niczego nowego nie mieli do zakomunikowania. Nie znajdowała słów, żeby to skomentować.

O bliskich zmarłych opowiadała?

Rzadko. Ale pisała o nich wiersze. Sądzę, że najsilniej przeżyła śmierć ojca. To nawet naznaczyło różne jej młodzieńcze decyzje, w tym polityczne. Wincenty Szymborski miał poglądy mocno konserwatywne, nawet nacjonalistyczne, ale równolegle zachowywał wobec świata dystans i posługiwał się ironią. Nie można wykluczyć, że powojenne decyzje Szymborskiej i patos, jaki panuje w jej socrealistycznych wierszach, to było coś, co przyjęła niejako na złość ojcu, który ją zostawił. Z nim była na pewno bliżej niż z matką. To ojciec ją ukształtował: kupował od niej po 20 groszy dziecięce wierszyki, był oczytany, recytował z pamięci „Pana Tadeusza"... Zmarł na trzeci zawał, kiedy ona miała 13 lat.

Widziałeś ją płaczącą?

Nie pozwoliłaby na to. Takich rzeczy, jej zdaniem, publicznie się nie pokazuje.

Myślisz, że płakała?

Tego nie wiem. Ale widziałem jej ogromnie przejmujące zdjęcie z pogrzebu

Kornela Filipowicza. Ma na twarzy czyste cierpienie. I żadnej łzy.

Była też niezwykle odporna na ból fizyczny, ponoć nigdy nie zażywała leków przeciwbólowych, nawet na ból głowy. Kiedy nagle zachorowała, jak się potem okazało: śmiertelnie, to lekarce z pogotowia powiedziała, że trochę ją „pobolewa", choć dla każdego z nas byłby to ból nie do wytrzymania. Zresztą Szymborska była też bardzo odporna psychicznie i sama mówiła, że ma krokodylą skórę.

Miała?

Z pewnością umiała „ułożyć rysy twarzy, by smutku nikt nie zauważył". Ale jeśli ta umiejętność nie wystarczała, to na kilka dni izolowała się od ludzi.

Pomogła Ci, gdy umarł Twój ojciec?

W takich sytuacjach raczej nikt nikomu nie może pomóc. To są doświadczenia, które przeżywa się w samotności. Przynajmniej ja tak mam. Wzruszyło mnie jednak to, że Szymborska przerwała wakacje, by przyjechać na pogrzeb mojego ojca. Nie wyobrażam sobie jej w roli pocieszycielki, kogoś, kto mówi te upiornie frazy, że „będzie dobrze" i że się „spotkamy po tamtej stronie".

A jej stosunek do dzieci?

Uważała, że należy poczekać, aż dorosną. Wtedy będzie można z nimi porozmawiać. Ucieszyła się, kiedy urodziło mi się dziecko. Przyszła nawet z wizytacją. Przyjrzała się niemowlęciu i zaraz nad łóżeczkiem zapaliła papierosa. Dla niej dziecko było raczej postacią literacką. Lubiła cytować Różewicza o pierwszym kroku dziecka: „znów się udała ta sztuczka / naszej starej ludzkości".

Kiedyś odwiedziliśmy Szymborską w Lubomierzu z małą Natalką, którą kładliśmy na kocyku, ona raczkowała w nieprzewidywalnych kierunkach i nie można było jej spuścić z oka. Pani Wisława patrzyła na tę choreografię ze zdumieniem i dopytywała się, czy cały czas trzeba na takie dziecko patrzeć. Kiedy odpowiedzieliśmy, że niestety tak, powiedziała, że to niesamowite, bo przecież tak się nie da normalnie żyć.

Da, choć z trudem.

Sam jako dziecko byłem takim starym-maleńkim, jakbym się urodził od razu dorosły. Wychowywałem się pośród dorosłych, z rówieśnikami miałem kontakt dość słaby. Ale, o dziwo, nie dostawałem od nich lania, raczej traktowali mnie jak mentora: radzili się w sprawach sercowych, o których, rzecz jasna, nie miałem pojęcia. Ale się wymądrzałem. Co mi zresztą zostało.

I to z Twojej „wrodzonej" starości wzięło się pisanie dla dzieci?

Dwadzieścia lat temu przetłumaczyłem wybór wierszy Milne'a. Okazało się, że zaistniał jakiś problem prawny i nie można ich wydać. Stwierdziłem: trudno, wydrukuję je sobie w jednym egzemplarzu. Wkleiłem do tekstu oryginalne ilustracje Sheparda i oprawiłem taki pojedynczy egzemplarz. Dzieci go lubiły, bo był tylko jeden na świecie. Potem prawa się odblokowały, ale miał się ukazać nie wybór, tylko całość. Musiałem więc pilnie przetłumaczyć resztę. Była to dość mordercza praca. Tłumaczyłem wiersz dziennie, w zasadzie: w nocy. Drukowałem i zostawiałem na stole w kuchni. Rano moja żona czytała je Natalce. Jeśli, popijając kakao, mówiła ona „He, he", to znaczyło, że przekład jest dobry. Jeśli pytała: „Cooo?" – siadałem do niego jeszcze raz.

Nadal na dzieciach testujesz wiersze?

Kiedy mam spotkania autorskie, to zawsze pada pytanie, nad czym obecnie pracuję, więc mam okazję czytać nowe rzeczy i obserwować reakcje dzieci. Spotkania autorskie są teraz inne niż za moich czasów. Szczerze mówiąc, będąc dzieckiem uważałem, że pisarz to jest ktoś, kto od dawna nie żyje, a na spotkaniach z tak zwanym ciekawym człowiekiem można się co najwyżej wynudzić. W każdym razie my raczej siedzieliśmy cicho. Dzisiaj dzieci są o wiele śmielsze, zadają mnóstwo pytań, a potem żądają nie tylko autografów, ale częściej *selfies*. Kiedyś miałem spotkanie z przedszkolakami w okolicach Elbląga, opowiadałem im o legendach krakowskich. Potem podszedł do mnie chłopiec, spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział: „Pan jest zbok". Troszkę mnie zmroziło, więc poprosiłem, by zechciał rozwinąć tę frazę. A on: „No, zbok wawelski". Kiedy powtórzyłem to mojej żonie, która jest laryngolożką, postawiła diagnozę: przerost migdałków. ↦

Michała Rusinka dzieła wybrane

▪ Edward Gorey **Pamiętna wizyta i inne utwory**, przeł. Michał Rusinek, Znak 2012

Dla dzieci i dorosłych opowiastki amerykańskiego mistrza czarnego humoru, radosnego nihilisty, mistrza purnonsensu, wielbiciela makabreski, obnażającego bezsens życia, a jednocześnie puszczającego do nas oko, że dla zachowania zdrowia psychicznego dobrze jest nie traktować siebie i świata zbyt poważnie.

▪ **Wierszyki domowe**, Znak 2012

Rusinek przygląda się sprzętom domowym, których używamy na co dzień. Bawi się słowami tam, gdzie tylko jest to możliwe, a w jego przypadku okazuje się, że wszędzie. Ogromnym atutem tej książki dla dzieci są pełne ukrytych znaczeń ilustracje Joanny Rusinek.

▪ **Pypcie na języku**, Agora 2017

Autor punktuje kurioza potocznej polszczyzny, które na początku są niewidoczne, potem dziwią, w końca wywołują uśmiech. To jednocześnie hymn na cześć błędów – autor wychodzi z założenia, że nie słyszymy się wówczas, gdy zdania wypowiadamy poprawnie.

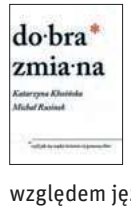

▪ **Dobra zmiana. Czyli jak się rządzi światem za pomocą słów**, Znak 2019

Alfabetycznie ułożony i zanalizowany pod względem językowym zestaw pojęć i haseł, jakimi codziennie raczą nas politycy reprezentujący obecną władzę. Wniosek z lektury: nowomowa jak z czasów PRL-u ma się pierwszorzędnie, zarówno w klasie rządzącej, jak i jej mediach. Książka napisana wspólnie z Katarzyną Kłosińską.

↦ **A Ty jako ojciec młodych dorosłych?**

Nie sprawdzam się najlepiej w tej roli. Po pierwsze, nie umiem i nie lubię ustalać granic, traktuję dzieci od razu tak, jakby były dorosłe, w sposób partnerski. Być może dlatego, że sam nie miałem właściwie kontaktu z rówieśnikami. A dzieci granic potrzebują, jak się okazuje. Po drugie, mam tendencję do nadmiernego posługiwania się ironią i autoironią, a ironia nie pozwala zbudować relacji, nie pozwala na rozmowę wprost, o ważnych rzeczach. Jest ucieczką od takiej rozmowy. Teraz już wiem, że ironią posługiwałem się wobec swoich dzieci za wcześnie, przez co nie nauczyliśmy się ze sobą tak naprawdę rozmawiać.

A skoro teraz wyznałem coś dla mnie bolesnego, to mój aparat psychiczny każe mi rozbroić patos wyznania anegdotą. Szymborska opowiadała o małżeństwie Jerzego i Maryny Zagórskich. On był poetą, ona – tłumaczką. Mieli służącą, która pewnego dnia obwieściła, że się zwalnia. Zapytali: „Pani Róziu, dlaczego? Czy za mało pani płacimy?". „Nie". „Źle panią traktujemy?". „Nie". „No to dlaczego?". „Ja już nie mogę dłużej wytrzymać w tak ironicznym domu". Ta anegdota śmieszyła mnie, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że ta pani Rózia w pewnym sensie miała rację. Ironia przydaje się w literaturze. W życiu – może zaszkodzić.

Skąd u Ciebie ta ironia?

Zapewne wyniosłem ją z własnego domu rodzinnego. Ceniłem ją sobie i nie zauważałem, że utrudnia, ba, uniemożliwia szczerą rozmowę. Zastępuje ją.

Nadal najlepiej dogaduję się z ironistami, z ludźmi, którzy mają poczucie humoru, którzy nawet jeśli opowiadają o czymś dla siebie bolesnym, to opakowują słowa w autoironię. Gdyby je odpakowali – pewnie bym ich unikał. Podziwiam psychoterapeutów. Ja bym tego nie zniósł. Wiesz, ja nawet ironicznie poprosiłem o rękę mojej żony. Przyszli teściowie, tradycjonaliści, oczekiwali, że się oświadczę. Dla mnie to brzmiało tak patetycznie, że napisałem wierszyk o sobie, który się oświadcza, i nim się oświadczyłem. W ramach ironizacji rzeczywistości.

I niechęci do mówienia wprost?

Istnieją dwa rodzaje poczucia humoru. Pierwsze – pragmatyczne: używamy go, by uwieść innych, zdobyć pozycję duszy towarzystwa i w nim brylować. Drugie – jest sposobem na zasłonięcie prawdziwego siebie i swoich lęków, służy do tego, by stworzyć dystans, i pozwala nam schować się za jego pancerzykiem. Ten pierwszy rodzaj charakteryzuje ekstrawertyków, drugi – introwertyków.

Wychowywałem się pośród dorosłych, z rówieśnikami miałem słaby kontakt. Ale nie dostawałem od nich lania, bo traktowali mnie jak mentora: radzili się w sprawach sercowych, o których nie miałem pojęcia. Ale się wymądrzałem. Co mi zostało.

A Twój?

Z tej służącej do zjednywania sobie ludzi. Zwykle czuję się dość niepewnie w sytuacjach publicznych. Ale powściągam w sobie pokusę popisywania się poczuciem humoru. Z różnym skutkiem. Natomiast Wisława Szymborska, która za swoim poczuciem się chowała, nauczyła mnie cenienia anegdot wyżej niż dowcipów. Nawet mogę powiedzieć, że przestały mnie – dzięki niej, albo przez nią – śmieszyć dowcipy. Co więcej, zacząłem wokół siebie dostrzegać sytuacje, które można przerobić na anegdoty.

Przykład?

Taka sytuacja: podpisuję książki na targach. Podchodzi kobieta z egzemplarzem „Pypciów na języku" i mówi, że gdy czytała tę książkę, to tak się śmiała, że jej śmiech przeszkadzał mężowi spać. Ja na to, by pozdrowiła męża. Na co ona poważnieje i mówi: „Rozwiedliśmy się". No i anegdota gotowa. Powiedziałem jej jeszcze: „Przepraszam".

A w tym wszystkim prawdziwa sztuka rozmowy?

Nie umiem prowadzić prawdziwych rozmów. Doskonale rozumiem Janusza Minkiewicza, który gdy spotykał kogoś na ulicy, to uprzejmie pytał: „Co u pana słychać?". Jeśli padała odpowiedź, że wszystko w porządku, to się odkłaniał i szedł dalej. Jeśli natomiast ktoś się zaczynał zwierzać i narzekać na swoje życie, odpowiadał: „A co mnie to właściwie obchodzi?". Ja go doskonale rozumiem i wiem, że to źle świadczy o mojej empatii.

No nie najlepiej.

Staram się oczywiście pomagać innym, choć wiem, że takie pomaganie często służy poprawianiu naszego samopoczucia. Pytasz, czy ja mam przyjaciół? Chyba bardziej ludzi, z którymi łączy mnie wspólne doświadczenie, przeszłość, lata znania się, przyjemność czerpana ze spędzonego ze sobą czasu, wspólnego wyzłośliwiania się i ironizowania. Wiem, że to estetyzm i szukanie literatury w życiu, ale mogę powiedzieć, że przyjaźnię się z tymi, którzy potrafią pięknie opowiadać, nawet o traumatycznych sprawach. Wzrusza mnie umiejętność rozbrajania patosu żartem. Wtedy zdarza mi się mieć łzy w oczach.

Tylko wtedy?

Płaczę w kinie. Nie tylko – jak wszyscy – na „Lassie, wróć!". Wiem, że to niemęskie, ale mój tata też płakał na filmach. Gorzej mi idzie wzruszanie się prawdziwymi historiami. Nie potrafię ich słuchać, niecierpliwię się. Natomiast sama uroda frazy, umiejętność snucia narracji, gawęda, historia ze stopniowaną dramaturgią – to jest to, czym od dzieciństwa się zachwycam.

Moi rodzice mieli przyjaciółkę, Marię Russ, znakomitą redaktorkę, która o czymkolwiek opowiadała, robiła to bardzo literacko. Byłem pod jej wielkim urokiem. Musiałem mieć wtedy jakieś 10 lat, pojechałem na obóz sportowy, z którego pisałem kartki pocztowe. Wiedziałem, że kartkę do Mani muszę napisać najpiękniej, jak tylko potrafię. A ponieważ kolonia odbywała się na terenie PGR-u, wymyśliłem zdanie iście socrealistyczne: „kombajny płyną w falującym zbożu". Mania natychmiast pobiegła z nią do moich rodziców. Potem latami ze mnie szydzili. Stałem się bohaterem, by nie rzec: ofiarą rodzinnej anegdoty.

Krótko mówiąc: lgnę do ludzi, którzy się nie zwierzają, ale opowiadają ciekawie. I też absolutnie nie mam potrzeby zwierzania się komukolwiek.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / MATERIAŁY PRASOWE TEATR ŚLĄSKI

Germinal, reż. Krzysztof Garbaczewski, Teatr Śląski

Piąta strona świata

DARIUSZ KOSIŃSKI

Dziś Katowice bez żadnej ironii mogą się nazywać Miastem Ogrodów i Miastem Muzyki, a gdyby chciały, to i Miastem Teatru.

Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego był miejscem moich pierwszych, może naiwnych, ale dlatego właśnie silnych doświadczeń teatralnych. Przyjeżdżając tu czterdzieści lat temu, jechałem przez inną Polskę do zupełnie innych niż dziś Katowic. Z miasta ciężkiego przemysłu, ciężkiego powietrza i ciężkiego bluesa niewiele zostało poza legendą i fałszywymi stereotypami.

Katowice bez zadęcia zbudowały gęstą sieć przedsięwzięć i inicjatyw kulturalnych, które nie tylko zmieniły wizerunek miasta, ale najzwyczajniej uczyniły życie w nim ciekawszym, przyjemniejszym, bogatszym. Teatr Śląski lokuje się w samym centrum tej sieci.

Byczy eklektyzm

Trudno nie przyznać (dowodem także ubiegłoroczna Nagroda im. Zygmunta Hübnera), że wielka w tym zasługa Roberta Talarczyka, kierującego katowicką sceną już od 10 lat i powtarzającego, że jest pierwszym Ślązakiem na stanowisku jej dyrektora. Od początku swych katowickich rządów (wcześniej od 2005 r. kierował Teatrem Polskim w Bielsku-Białej) Talarczyk uczynił ze śląskiej tożsamości znak rozpoznawczy Teatru Wyspiańskiego. Oczywiście Ślązaków portretowano na scenach już wcześniej, ale dopiero za tej dyrekcji złożony problem śląskości potraktowano z taką uwagą i powagą, nie popadając w łatwe sentymentalizmy i apoteozy, a za to odsłaniając ciemne strony śląskiej przeszłości, nawyków i charakteru.

Talarczyk te fundamentalne dla siebie tematy podejmował już wcześniej, choćby współreżyserując z Mirosławem Neinertem w Teatrze Korez cieszący się niemal kultowym statusem spektakl „Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny" według Janoscha (2004). Zaraz po objęciu dyrekcji w Katowicach (2013) wystawił „Piątą stronę świata" według prozy Kazimierza Kutza, równie popularną i „tożsamościowotwórczą". Później jednak zaczął się coraz mocniej dobierać Ślązakom do skóry, przygotowując kolejne inscenizacje tekstów najbardziej znanego dziś piszącego Ślązaka, Szczepana Twardocha: „Dracha" (2018) i „Pokorę" (2021).

Dopełnieniem tej Twardochowo-Talarczykowej trylogii jest „Byk", monodram wyreżyserowany i grany przez Talarczyka zwykle poza kierowanym przez niego teatrem (spektakl, będący koprodukcją kilku instytucji, miał premierę w warszawskim Studio i tam najczęściej jest pokazywany). Bohater tego przewrotnego one-Ślązak show, Robert Mamok, przejawia pewne powinowactwo ze swoim wykonawcą (np. przedstawia się jako pierwszy Ślązak kierujący ważną instytucją kultury w Katowicach). Ale fabuła zbudowana jest – moim zdaniem świadomie – na grubych schematach i przesadzonym do nieprawdopodobieństwa stereotypie „medialnego skandalu". Tworzą one fikcyjną konstrukcję, którą twórcy przedstawienia mogą bezkarnie wykorzystać do wypowiadania swoich ↦

↦ opinii na temat Polski, kawiarnianej opozycji, teatru, a przede wszystkim Śląska.

Śląskość jest w tym przedstawieniu mocno ambiwalentna: wynoszona na piedestał jako mityczny raj nienaruszalnej trwałości raz przyjętych wzorów i wartości, a zarazem demaskowana jako źródło przemocy, cierpienia, kompleksów i traum. Talarczyk i Twardoch nie oszczędzają Ślązaków i Śląska, ale nie ma też wątpliwości, że chłoszcząc ich, sobie wymierzają najboleśniejsze razy. I nawet jeśli jest w tym też rodzaj sadomasochistycznej rozkoszy (patrzcie, jaki jestem do głębi szczery i jak potrafię sam siebie poddać wiwisekcji), to chciałoby się, żeby także inne centra kulturowe mocnych tożsamości lokalnych podjęły taką próbę. Bo tylko dzięki temu mogą przestać być skansenem stereotypów.

Katowice, podobnie jak inne śląskie miasta, nie żyją jednak tylko lokalną tożsamością. Są dynamicznym ośrodkiem kulturalnym, akademickim i biznesowym, mierzącym się z całą plątaniną zagadnień. Głosząc znane już dobrze hasła teatru opowieści i dystansując się (tak jak to prowokacyjnie czyni w „Byku") od teatru egocentrycznej celebracji i przerośniętego intelektualizmu, dyrektor katowickiej sceny nie popada zarazem w żaden „tradycjonalizm". W katowickim teatrze tworzy wzorcową scenę nurtu, który można by opisać jako „nowocześnie eklektyczny teatr oswojonej rewolucji".

Proces to dobrze znany: sztuka „środka" stopniowo wchłania większość wymierzonych przeciwko niej eksperymentów, czyniąc z nich narzędzie odnawiania swojego warsztatu i sposobów oddziaływania, swoistego face-liftingu, rodzaj antidotum na grożące zawsze skostnienie konwencji. Dzięki temu może tworzyć spektakle, które są atrakcyjnie odmienne od stereotypowych wyobrażeń o iluzyjnych grach na pudełkowej scenie, a jednocześnie nie zrywają bluźnierczo i prowokacyjnie podstawowej umowy z widzami.

Dobrym katowickim przykładem tej strategii może być „Terror" Ferdinanda von Schiracha (2017) wystawiony w sali Sejmu Śląskiego jako rekonstrukcja procesu, w którym wyrok wydają widzowie. Niegdyś taka zmiana przestrzeni i uczynienie z publiczności aktorów przedstawienia byłyby uznane za „eksperyment" – dziś są jednymi z wielu możliwych rozwiązań, które znakomicie nadają się do wykorzystania tak w przedstawieniu, jak i w teatralnym marketingu.

Ponad frontami

Skuteczność opisanej powyżej strategii dobrze pokazały dwie pierwsze premiery obecnego sezonu. Otworzyła go inscenizacja kontynuująca problematykę lokalną – dramat kryminalny Przemysława Piekarskiego „Węgla nie ma", wyreżyserowany przez związanego z Teatrem Zagłębia w Sosnowcu Jacka Jabrzyka. Niemal prowokacyjny wobec zadawnionych konfliktów teatralny sojusz śląsko-zagłębiowski (w jego ramach Talarczyk wyreżyserował w Sosnowcu „Nikaj" Zbigniewa Rokity) mierzy się właśnie z owymi konfliktami, poddając je ironiczno-fantazyjnym rozpracowaniom z wykorzystaniem konwencji popularnych gatunków kultury masowej, od seriali sensacyjnych, przez kino grozy po memy. Twórcy znaleźli atrakcyjny i przewrotny sposób na konfrontowanie widzów ze stereotypami, którymi żyją od lat.

Nurt zdecydowanie ponadlokalny reprezentuje największe jak dotąd wydarzenie obecnego sezonu – adaptacja głośnej powieści Jonathana Littella „Łaskawe", wyreżyserowana przez Maję Kleczewską. Dyrektor i reżyserka zapowiadali wprawdzie rok wcześniej wystawienie „Wesela" Stanisława Wyspiańskiego, ale zmienili plany, najwyraźniej obawiając się sequela afery krakowskich „Dziadów", a i wskazując na potrzebę zareagowania na gwałtowną eskalację wojny w Ukrainie.

Kleczewska poprzez zainscenizowaną spowiedź Maximiliana Auego (starego gra Robert Michalski, młodego – Mateusz Znaniecki, obaj znakomici) przygląda się oprawcom oraz strategiom, trikom i wymówkom, jakie stosują, by zdjąć z siebie winę tak oczywistą, jak strzał w głowę dobijanych rannych. Budując wyraźną analogię między nazistowskimi i obecnymi zbrodniami na Ukraińcach (pomaga w tym intensywna obecność ukraińskich aktorek, zwłaszcza rewelacyjnej Niny Zakharovej), Kleczewska wysadza nas ze sfery komfortu.

Po początkowych scenach demaskujących udział Auego w zbrodni ludobójstwa rozpoczyna się proces przewrotnego oswajania z tym młodym, sympatycznym człowiekiem, który przecież

miał bardzo poplątane i zatrute dzieciństwo. Poznając go coraz lepiej, zaczynamy widzieć w nim nieszczęsnego bohatera, którego może nawet jesteśmy w stanie usprawiedliwić, przerzucając winę za jego zbrodnie na Wielkie Metafizyczne Zło, które nie wiadomo skąd się wzięło i jakiemu osądowi miałoby podlegać. Kleczewska ten mechanizm uruchamia i jednocześnie demaskuje, niejako wyprzedzając obecny czas i każąc nam pytać o to, jak odnosić się będziemy do zbrodniarzy, gdy obecna wojna stanie się już historią.

Pod powierzchnię

O ile dwie pierwsze katowickie premiery sezonu 2022/23 były oznakami tego, co stanowi siłę polskiego teatru i przyciąga do niego widzów, o tyle dwie najnowsze zdają się sygnalizować jego niepokojąco narastające słabości.

Najpierw (formalnie 1 marca, choć pokazy przedpremierowe miały miejsce wcześniej) na Scenie Kameralnej zaprezentowano „Zanurzenie" Michaela Rubenfelda w reżyserii Marcina Wierzchowskiego. Wyjściowy koncept przypomina trochę scenariusze Krzysztofa Piesiewicza do filmów Kieślowskiego. Oto w katowickim domu do bólu nowomieszczańskiej familii Kamockich pojawia się tajemniczy mężczyzna mówiący

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / MATERIAŁ PRASOWY TEATR ŚLĄSKI

Węgla nie ma, Teatr Śląski, reż. Jacek Jabrzyk

źle po polsku (w tej roli autor tekstu). Pozornie dotknięty amnezją, twierdzi, że jest Dawidem – dziesięcioletnim synem przyjaciółki rodziny, który utonął kilkanaście lat temu. Jego pojawienie się uruchamia proces powrotu do przeszłości, owocując kulminacyjną sceną, w której kolejne osoby twierdzą, że to one zabiły Dawida.

Niestety Rubenfeld nie jest Piesiewiczem, a Wierzchowski – Kieślowskim. Konceptualne konstrukcje duetu Krzysztofów trzymała żelazna logika i mistrzostwo obrazowo-afektywne. Natomiast „Zanurzenie" pełne jest dziur fabularnych, a precyzji brakuje też w działaniach aktorskich. Sekwencja kolejnych, coraz bardziej „wstrząsających" wyznań ociera się o groteskę i staje własną karykaturą.

Twórcy chcą opowiedzieć coś fundamentalnie ważnego, odsłonić jakieś ciemne źródła współczesności, ale zamiast tego wykrzykują afektowane banały i robią rzekomo tajemnicze, a w sumie dość groteskowe miny. Zamiast bolesnej demaskacji otrzymujemy wysiloną i nieudaną próbę powtórki dawnych wiwisekcji, ocierającą się chwilami o parodię takich antyrodzinnych ataków sprzed dwudziestu lat.

Precyzji i logiki działań brakuje też w inscenizacji „Germinalu" Emila Zoli przygotowanej przez Krzysztofa Garbaczewskiego. Tyle że w odniesieniu do Garbaczewskiego zarzut ich braku jest już w punkcie wyjścia trochę kulą w płot, bo reżyser od dawna konsekwentnie unika wszystkich „mocnych" cech wiązanych z teatrem atrakcyjnym i spektakularnym. Przygotowana dla Teatru Śląskiego adaptacja słynnej kiedyś powieści Emila Zoli nie przynosi zmiany łatwo rozpoznawanego stylu reżyserii, scenografii (Aleksandra Wasilkowska) i aktorstwa, konsekwentnie rezygnujących z wywoływania silnych afektów, generalnie ściszonych i schłodzonych (choć są sekwencje i role zaskakująco ekspresyjne), czasem jakby popadających w stan aporii lub nieładu.

Jeśli coś w katowickiej realizacji reżysera może zaskakiwać, to po pierwsze wybór naturalistycznej powieści o nieudanym strajku górniczym. Być może ten górniczy wątek, łatwo kojarzący się z Katowicami, był powodem, dla którego Garbaczewski zrealizował swój „Germinal" właśnie w Teatrze Śląskim. Ale raczej nie z tego względu sięgnął po powieść Zoli. Z programowych deklaracji wynika, że najbardziej interesował go temat rewolucji – w tym zwłaszcza pytanie o jej możliwość.

Wystawiając opowieść o walce francuskich górników z kapitalistycznymi wyzyskiwaczami wyjmuje ją z realiów historycznych, dokonując zmian w tekście i wprowadzając do przedstawienia sceny i wątki odnoszące się do współczesności (np. mówiony po ukraińsku monolog Katarzyny – Niny Zakharovej). W efekcie rewolucja, o której się tu głównie mówi, staje się rewolucją pozaczasową, a pytanie o jej możliwość i szanse odnosi się zarówno do przeszłości, jak i do współczesności.

Co zaskakujące, fabuła i problematyka powieści Zoli zostaje w przedstawieniu opowiedziana w sposób dość szczegółowy, by nie rzec – rozwlekły. Garbaczewski, który zasłynął z zaskakujących rozwiązań dramaturgicznych i dynamicznych montaży, tym razem stworzył adaptację linearną i rozlewającą się szerokim nurtem słów. Ze sceny pada ich bardzo dużo, często nie do końca zrozumiałych nie dlatego, by aktorzy mówili niewyraźnie, ale dlatego, że adaptator nie zajmuje się budowaniem klarownych powiązań między postaciami i scenami. Znając powieść Zoli coś tam sobie można dopowiedzieć, ale nie znając – bardzo szybko gubi się kontakt z przedstawieniem, które zresztą nie wydaje się o ten kontakt zabiegać.

Chwilami można wręcz odnieść wrażenie, że ciężko i wytrwale pracujący aktorki i aktorzy (kolejna okazja, by przekonać się, jak świetny Teatr Śląski ma zespół) z założenia działają w sposób wsobny i nawet jeśli zwracają się fizycznie do widzów, nie dążą do nawiązania jakiegoś porozumienia. Na moim przedstawieniu efekt tego był taki, że już w przerwie przy szatniach zrobił się korek, a *exodus* trwał też w drugiej części, gdy nadzieja, że coś się zmieni, gasła z każdą minutą.

Nie wiem, co się stało z Krzysztofem Garbaczewskim, ale po pandemii jego przedstawienia wydają się jednostajne i manierycznie niezainteresowane sobą. Są jak kolorowe wprawdzie, ale wypalone pogorzeliska dawnej pasji. Czyżby był to osobisty przejaw coraz wyraźniejszego ogólnego kryzysu teatralnego, nie tyle (choć oczywiście także) finansowego, ile kryzysu wiary w sens tego, co i jak się robi? Jego ujawnienie przy okazji ostatnich katowickich premier także dowodzi skuteczności eklektycznego programu Roberta Talarczyka. Ukazując stan spraw teatralnych w kraju, Teatr Śląski ujawnia także jego słabości. © DARIUSZ KOSIŃSKI

TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

Anka Ptaszkowska i Eustachy Kossakowski. Paryż, 1971 r.

Opowieści osobiste

PIOTR KOSIEWSKI

Była i jest konsekwentnie radykalna, nieunikająca ostrych sądów, z czym kontrastuje równie konsekwentne zaangażowanie w twórczość bliskich jej artystek i artystów.

„Nie jestem artystką i jest to ostatnia rzecz, której bym sobie, dla siebie, życzyła" – podkreśla Anka Ptaszkowska. Bardzo blisko związana z artystkami, artystami i przemianami w sztuce od lat 50. ubiegłego stulecia do teraz. I to jej na wystawie „Anka Ptaszkowska. Przypadkiem" w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej oddano głos – jest autorką jej scenariusza.

Miejsca

W czasach stalinowskich usunięto ją z Uniwersytetu Warszawskiego. Ukończyła zatem historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie skupiła się wówczas grupa osób, które odegrały fundamentalną rolę w kolejnych dekadach polskiej sztuki. Byli wśród nich artyści, jak Włodzimierz Borowski, którzy w 1957 r. założyli lubelską Grupę Zamek. Do jej twórców należał też legendarny krytyk i teoretyk sztuki Jerzy Ludwiński – w wydawanym przez członków grupy piśmie „Struktury" Anka Ptaszkowska opublikowała swój pierwszy artykuł „Klasyka czy awangarda?" poświęcony Henrykowi Stażewskiemu.

W tym samym czasie na KUL-u studiowali Wiesław Borowski i Mariusz Tchorek, ale też Urszula Czartoryska, bez których trudno wyobrazić sobie polską krytykę i historię sztuki nowoczesnej. Wszystkich łączyła osoba Jacka Woźniakowskiego z „Tygodnika Powszechnego", który po przejęciu pisma przez komunistyczne władze zaczął wykładać na KUL-u. „Otworzył nam szeroki horyzont" – wspominał Wiesław Borowski. Wspierał powstanie Zamku, a Ance Ptaszkowskiej umożliwił napisanie pracy magisterskiej poświęconej Tadeuszowi Kantorowi.

Po ukończeniu studiów wróciła do Warszawy. Zaangażowała się w działalność prowadzonej przez Mariana Bogusza Galerii Krzywe Koło, która stała się jednym z najważniejszych miejsc dla sztuki w popaździernikowej Polsce. Poznała też bohatera swojego debiutanckiego artykułu. Bywała w mieszkaniu Henryka Stażewskiego, Marii Ewy Łunkiewicz-Rogoyskiej (Mewy) i jej męża, które stało się miejscem spotkań twórców związanych z awangardową tradycją, współtworzoną przez Stażewskiego.

„To oni zapewniali ciągłość, wcielali tradycję, przekazywali ducha awangardy czyniąc ją żywym doświadczeniem – wspominała po latach Ptaszkowska. – Otwarci na wszystko i wszystkich, oboje szli ku ludziom (...), a Mewa była żywą anteną wydobywającą na jaw tkwiący w nich twórczy potencjał".

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej jest opowieścią o miejscach kluczowych dla polskiej sztuki, jak owo zachowane do dziś mieszkanie w bloku przy al. Solidarności. Po śmierci Ewy Łunkiewicz-Rogoyskiej mieszkał tu Edward Krasiński, a obecnie w starannie zachowanych pomieszczeniach mieści się Instytut Awangardy.

Innym takim miejscem jest dom w Zalesiu, zbudowany przez matkę Ptaszkowskiej podczas okupacji niemieckiej. W 1962 r. zamieszkała w nim Ptaszkowska z Krasińskim, wówczas jej mężem. „Dom posiadał własny puls, własną mate-

Performans Goshki Macugi według happeningu Tadeusza Kantora z 1967 r. Warszawa, 2011 r.

DANIEL CHROBAK / MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Krzysztof Niemczyk „Portrety w makijażu", początek lat 60., fragment ekspozycji w MSN, 2023 r.

rialność i własny charakter" – pisze w niewielkiej książce wydanej przy okazji wystawy. Był też, jak podkreślała jej matka, „domem dla wszystkich". W latach wojny schronienie znajdowali w nim uchodźcy, Żydzi, żołnierze podziemia. Po wprowadzeniu się młodych małżonków stał się miejscem artystów. Lista osób odwiedzających Zalesie w tym czasie jest imponująca.

Jednak kluczowe miejsce w opowieści zajmuje Galeria Foksal, założona przez krytyków i artystów w 1966 r. Wśród nich byli Borowski, Krasiński, Stażewski czy Tchorek, później dołączył Tadeusz Kantor, który odcisnął na jej funkcjonowaniu szczególne piętno. Galeria od początku miała być przestrzenią eksperymentu. To do niej był zaadresowany olbrzymi, liczący sobie 2 na 14 metrów list, który w 1967 r. w ramach słynnego happeningu Kantora niosło siedmiu listonoszy ulicami Warszawy.

Dość szybko jednak ujawniły się spory wokół modelu funkcjonowania galerii o to, na ile ma ona pełnić tradycyjne funkcje, a na ile być przestrzenią eksperymentu, a nawet „biura informacji", dokumentującego wydarzenia dziejące się poza Galerią. Ostatecznie Ptaszkowska (a także Mariusz Tchorek) odeszła z galerii. Z drugim mężem, znanym fotografem Eustachym Kossakowskim, wyemigrowali do Paryża. W jej życiu pojawiły się kolejne miejsca i galerie.

Twórcy

W „Przypadku" Ptaszkowska oryginalnie opowiada o twórcach znanych, jak Tadeusz Kantor czy Henryk Stażewski. Ale też – i to jest najbardziej intrygujące – pozostających za życia na marginesie zarówno świata sztuki, jak i życia społecznego.

Jednym z nich jest Krzysztof Niemczyk, krakowski pisarz, autor powstałej w latach 60. i wydanej po latach powieści „Kurtyzana i pisklęta", malarz i performer. Działał w życiu – jak to określa Ptaszkowska. Nie korzystał „z ochrony sztuki", immunitetu, jaki w PRL-u zapewniał status „bycia artystą" i związek z instytucjami. Stąd jego działania, jak kąpiel w fontannie na krakowskim Rynku, spotykały się z ostrymi reakcjami milicji. Niemczyk realizował „własną wersję rewolucji i własną, indywidualną metodę politycznej opozycji" – pisała Ptaszkowska. Zapłacił za to wysoką cenę – w więzieniach, w szpitalu psychiatrycznym. Umarł w nędzy w 1994 r.

Wystawę zatytułowano „Przypadkiem". Jednak nieciągłość, nieustanne podważanie dokonywanych wcześniej wyborów ostatecznie okazują się konsekwentnie realizowaną strategią podważania *status quo*. Ptaszkowska była i jest konsekwentnie radykalna, nieunikająca ostrych sądów, z czym kontrastuje równie konsekwentne zaangażowanie w twórczość bliskich jej artystek i artystów. To także za jej sprawą w ostatnich dekadach doszło m.in. do przewartościowania hierarchii w naszej sztuce drugiej połowy XX wieku, docenienia twórczości Edwarda Krasińskiego czy dostrzeżenia Krzysztofa Niemczyka. I do trudnej dyskusji o Galerii Foksal i jej relacjach, także z władzą w czasach PRL-u.

Anka Ptaszkowska uciekała od profesjonalizacji działań, swoją pozycję w świecie sztuki, jak zauważa Joanna Mytkowska kierująca Muzeum Sztuki Nowoczesnej, „zostawiała w niedopowiedzeniu". Organizowanie wystawy jej poświęconej jest więc dość karkołomnym pomysłem. Dzisiejsze ekspozycje „dążą do przystępności i przekazu". Przede wszystkim zaś – dzisiaj już nie oczekuje się, że mogą coś zmienić w sztuce. Nie mówiąc o życiu. ©

ANKA PTASZKOWSKA. PRZYPADKIEM,
Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 23 kwietnia br., kuratorka: Maria Matuszkiewicz

Anka Ptaszkowska **DOM W ZALESIU – I JEGO POBOCZA**, *Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa 2023*

ARCHIWUM MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Chybione zaklęcia

ANITA PIOTROWSKA

Po co właściwie ciągle jeszcze chodzimy do kina, mając gigantyczną ofertę filmową dosłownie na wyciągnięcie ręki? Czy nadal kieruje nami pragnienie fizyczno-duchowej wspólnoty i tęsknota za zbiorowym rytuałem?

Już czołówka informuje, że główną bohaterką nie będzie zagrana przez Olivię Colman pracownica kina, ale jego instytucja czy wręcz sam budynek. Z popcornem rozsypanym na czerwonej wykładzinie, terkoczącą kabiną projekcyjną i farelką w zimnym kantorku dla personelu. A kino to wcale nie byle jakie, wręcz ikoniczne. Stoi na nabrzeżu angielskiego wczasowiska, pyszni się stylem art deco, nosi nazwę Imperial i już za chwilę ma się tu odbyć lokalna premiera „Rydwanów ognia" Hugh Hudsona.

Mamy bowiem rok 1981 i nim na widowni zacznie rozbrzmiewać uskrzydlająca muzyka Vangelisa, jesteśmy świadkami co najmniej trzech różnych kryzysów: załamania nerwowego bohaterki, narastających zamieszek na tle rasowym i częściowego upadku kina. W jego opustoszałych górnych salach zdążyły się nawet zagnieździć gołębie. Szkoda, że reżyser „Imperium światła" najżarliwiej celebruje ten ostatni problem.

Przecież czasy i wydarzenia, które ukazuje, raczej nie sprzyjają poczciwej nostalgii. Hilary, samotną kobietę w średnim wieku, poznajemy wkrótce po tym, jak wyszła ze szpitala psychiatrycznego. Właśnie zbliża się sylwester, ona zaś ma za sobą kolejny kiepski rok. Obserwujemy jej bezgłośną samotność, codzienną rutynę w pracy, drobne dziwactwa i słabości. Do tych ostatnich trzeba by zaliczyć dosyć żałosny romans z żonatym kierownikiem kina, zagranym przez Colina Firtha.

Kiedy jednak na stanowisko biletera zostaje zatrudniony młody, wrażliwy Stephen (w tej roli Michael Ward), bohaterka odstawia przepisany jej lit, odzyskuje błysk w oku i przestaje działać na autopilocie. Tyle że okoliczności od początku nie sprzyjają cudownym przemianom: nowy przyjaciel i wkrótce też kochanek mógłby, z racji wieku, być równie dobrze jej synem, a w dodatku jest czarny. Tymczasem pod rządami Margaret Thatcher, w dobie narastającej recesji, bezrobocia i zbiorowej frustracji, atmosfera w kraju coraz bardziej brunatnieje.

Można sobie wyobrazić, w jaki sposób ów splot melodramatycznych komplikacji o twardym podłożu społecznym wykorzystałby taki np. Mike Leigh czy Ken Loach. Pierwszy skupiłby się raczej na pogłębieniu osobliwego przypadku Hilary, kobiety nie tylko zaburzonej, ale i pod presją – obyczaju, poprawności, systemu opieki zdrowotnej, rozpaczliwie próbującej zawalczyć o własne szczęście i własny głos. Aktorstwo Colman, jej rozgorączkowany wzrok, w którym widać równocześnie panikę i nadzieję, daje wyobrażenie, czym mógłby być ten film, gdyby na takim oświetleniu postaci skupił się Mendes. Albo gdyby opowiedział nam historię bohaterki, która pod wpływem wewnętrznych i zewnętrznych turbulencji zaczyna dostrzegać, w jakim kierunku zmierza dookolny świat i jak istotny ma on wpływ także na jej życie (czyli opcja zaangażowana, sygnalizowana i zaprzepaszczona w kulminacyjnej scenie premiery).

Tymczasem reżyser szuka dla Hilary pocieszenia i ostatecznie znajduje je... w kinie. Oraz w scenariuszowej dezynwolturze, próbującej łączyć nieco pluszowy dramat miłosny ze społeczną diagnozą na temat różnej maści prześladowań i wykluczeń. Do tego z nostalgiczną aurą. Może więc lepiej czytać ten film jako rzecz o pułapkach nostalgii? Byłoby to zapewne wbrew intencjom twórcy, lecz zdecydowanie na korzyść dzieła, które okazało się pomysłem mocno przestrzelonym, i nic dziwnego, że nie udało mu się odnieść sukcesu na miarę brytyjskich „Rydwanów" sprzed czterdziestu lat.

A przecież jest u Mendesa wiele momentów ujmujących. Głównie dzięki Colman, która portretuje osobę nigdzie niepasującą i zarazem wygłodniałą bliskiego kontaktu, zatrzaśniętą w swoich traumach i jednocześnie głęboko empatyczną, zesztywniałą pod wpływem zażywanych lekarstw i za chwilę rozwibrowaną do granic samozniszczenia. Jej intymne rozmowy ze Stephenem, z jego przenikliwą matką (Tanya Moodie) czy z kinooperatorem po przejściach (Toby Jones) wznoszą film na wyższy poziom, zbudowany po prostu z emocji, nieprzekalkulowanych i wolnych od autorskich deklaracji. Wtedy ów mityczny srebrny ekran zdaje się żyć naprawdę i chce się go dzielić z innymi.

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

PARISA TAGHIZADEH

IMPERIUM ŚWIATŁA
(Empire of Light) – reż. Sam Mendes. Prod. Wielka Brytania/ /USA 2022. Dystryb. Disney. W kinach.

Sam Mendes to brytyjski reżyser teatralny, który karierę filmową zrobił w USA. Zapoczątkowało ją „American Beauty" (1999), satyra nagrodzona pięcioma Oscarami. Potem realizował tak różne tytuły, jak „Drogę do zatracenia" (2002), dwa filmy o Bondzie: „Skyfall" (2012) i „Spectre" (2015) czy „1917" (2019). Scenariusz „Imperium światła" napisał pod wpływem osobistych przeżyć.

Bo po co właściwie – ciągle jeszcze – chodzimy do kina, mając gigantyczną ofertę filmową dosłownie na wyciągnięcie ręki? Czy nadal kieruje nami pragnienie fizyczno-duchowej wspólnoty i tęsknota za zbiorowym rytuałem? A może to już bardziej potrzeba chwilowego wyizolowania się z codzienności, ucieczka od domowych rozpraszaczy i kompulsywnych powiadomień ze świata do bezpiecznej ciemnej pieczary, porównywanej ongiś z łonem matki albo, jeszcze bardziej górnolotnie, z platońską jaskinią?

Na tych sentymentach bazują dziś podupadły hollywoodzki biznes i dawni mistrzowie, szukający dla siebie miejsca w czasach streamingu (pisał o tym Michał Walkiewicz w „TP" 11/2023). Mendes nie jest jedynym, który w czasie pandemicznego lockdownu sal kinowych nakręcił film będący osobistym wyznaniem wiary i miłości do X muzy, fragmentem autobiografii tudzież magicznym zaklęciem mającym odczarować złą passę w branży.

Tym razem, mimo usilnych starań w postaci zakurzonych fetyszów, kinofilskich klimatów i natchnionych bon motów, zabrzmiało to bardziej jak podzwonne dla tej instytucji niż nadzieja na nowe otwarcie. Może dlatego, że „Imperium światła", marząc o niegdysiejszym imperialnym blichtrze, trochę kino upupia, sprowadzając jego rozliczne funkcje, również terapeutyczne (w potocznym, rzecz jasna, tego słowa znaczeniu), do czystego eskapizmu. Stąd padający na ekran sentymentalny promień nie przeszywa na wskroś, a wręcz odbiera poruszanym tematom – chorobie psychicznej, rasizmowi, stereotypom związanym z wiekiem i płcią czy nawet poezji, której tu całkiem sporo – ich właściwy ciężar.

To, czego do końca nie udało się wyrzeźbić w słowach, rekompensują z nawiązką zdjęcia Rogera Deakinsa. Za pomocą światła, koloru, detalu, dyskretnych ruchów kamery odnajdują tę mniej dosłowną poezję – w podupadłym splendorze kina, w melancholii kurortu po sezonie, w depresyjnych, skąpanych w mroku wnętrzach mieszkania Hilary. To one tworzą tragizm romansu niemożliwego i wielopiętrową metaforę odklejenia od rzeczywistości, ażeby wrócić do niej bardziej okrężną drogą. Dla takich obrazów warto było obejrzeć ten niespełniony i patchworkowy film w prawdziwym kinie. ©

Lektor:
Z archiwum

▪ *Lucyna Marzec*
PAPIERY PO IŁŁAKOWICZÓWNIE. ARCHIWUM JAKO PRZEDMIOT BADAŃ
Instytut Badań Literackich PAN – Wydawnictwo, Warszawa 2022, ss. 544, seria Lupa obscura.

Pracę urzędnika państwowego ceniła wyżej niż pisanie wierszy, „wielokrotnie i z przekonaniem odrzucała tożsamościową rolę poetki", choć była jedną z najoryginalniejszych postaci naszej literatury minionego wieku. Kazimiera Iłłakowiczówna (1888-1983) – autorka „Ikarowych lotów", „Rymów dziecięcych", „Śmierci Feniksa", „Szeptem" i świetnych próz wspomnieniowych z „Trazymeńskiego zająca". Tłumaczka Goethego, Schillera, „Anny Kareniny" Tołstoja, wierszy Emily Dickinson oraz poetów węgierskich i rumuńskich. Żarliwie, choć niekoniecznie ortodoksyjnie religijna. Pielęgniarka frontowa podczas I wojny światowej, osobista sekretarka marszałka Piłsudskiego (czego owocem była „Ścieżka obok drogi"), lata II wojny spędziła w Siedmiogrodzie/Transylwanii. Potem do śmierci mieszkała w sublokatorskim pokoju w Poznaniu, zamienionym dziś w muzeum.

„Papiery po Iłłakowiczównie", praca naukowa badaczki związanej z Uniwersytetem Adama Mickiewicza, to głos w dyskusji teoretycznoliterackiej i zarazem fascynujący portret pisarki oparty na drobiazgowej i krytycznej analizie materiałów archiwalnych z Biblioteki Kórnickiej. Krytycznej – bo na kształt archiwum znaczny wpływ miała sama bohaterka książki, powstaje więc pytanie o przestrzeganie granic przez nią postawionych. No i – przypomina Lucyna Marzec – chodzi o archiwum pamięci powstałe na gruzach tego, co przepadło podczas wojny w Warszawie. A w dodatku o biografię pełną niedopowiedzeń, poczynając od daty urodzenia i charakteru związku, jaki połączył rodziców Kazimiery, Barbarę Iłłakowiczównę i Klemensa Zana, żonatego adwokata wileńskiego.

W tym portrecie uderza zwłaszcza wyjątkowa osobność Iłłakowiczówny. Nie mieści się ona w konwencjonalnych ramach ani nie przystaje do żadnego z typowych modeli społecznej roli kobiety, z trudem też wpisuje się w „feminocentryczną nić kultury". Ani „rewolucjonistka intelektualna", ani „strażniczka patriarchatu" (a jeśli już, to „nielojalna i niepokorna") – jej przypadek zostaje tu interesująco zestawiony z przypadkiem... Gabrieli Zapolskiej.

Wiele tu wątków ważnych i ciekawych. A Lucynie Marzec chciałbym przy sposobności podziękować za jej wcześniejszą książkę, „Po kądzieli" (2014), poświęconą „Feministycznemu pisarstwu Jadwigi Żylińskiej". ©℗

OLGA

Drenda:
Kicz w nas

Generatywna sztuczna inteligencja mieszka już chwilę wśród nas i patrząc na mnóstwo mniej lub bardziej udanych prób wytwarzania nowych obrazów przy pomocy Midjourney i Dall-E (bo na obrazach chciałabym się skupić), mniej więcej wiemy, na czym to polega. Ci, którzy cieszyli się lub obawiali, że powstało niemal czarodziejskie „samosię", musieli zrewidować swoje przekonania; żeby stworzyć faktycznie coś interesującego, trzeba się naprawdę postarać. Ciekawe pomysły można śledzić już teraz, bo generatywna sztuczna inteligencja stała się elementem „technik mieszanych". Gdy spojrzymy na pastelowe „cyfrowe tkaniny" Josefin Jonsson czy nieistniejące fantastyczne budynki Alessandry Condello, staje się oczywiste, że w efekt trzeba włożyć sporo pracy przed i po. Potrzeba rodzi nowe rozwiązania, takie jak „szkicownik" Durer, który pozwala artystom generować projekty autorskie na podstawie własnych wcześniej stworzonych prac. Przede wszystkim zaś szybko wykształciła się potrzeba zatrudniania specjalistów od promptów (komend dla narzędzi AI) i wiadomo już, że każdy będzie musiał dysponować samodzielną wiedzą i pomysłowością. To narzędzie, które trzeba opanować. Samo nic się nie zrobi.

Ale spójrzmy dla odmiany na to, co się nie wyróżnia, na tzw. całą resztę. Zdecydowana większość generowanych obrazów była pochodną tego, czego dotychczas narzędzia AI się „najadły", a to oznaczało niekończący się pochód kadrów odzwierciedlających wszechobecne mody w malarstwie cyfrowym, fotografii i kinematografii ostatnich lat. Większość scen nurzała się zatem w kolorystyce „nieuchwytnej brei" (*intangible sludge* – tak znawczyni kina Katie Stebbins określiła modę na desaturację w kinie i fakt, że spora część produkcji filmowej i serialowej ma dziś tonację rzek Przemszy i Brynicy), a portrety nosiły nieodłączne piętno długoletniej mody na efekt Dragana. Było to, przyznajmy, okropnie nudne. Ale tam również skrywał się nasz wspólny sekret: kicz.

Kicz rozumiem nie jako coś krzykliwego i tandetnego, nie jako krasnala ogrodowego. Raczej tak, jak wyjaśniał historyk sztuki Andrzej Banach – coś, co może wyglądać bardzo profesjonalnie, może być drogie albo nowoczesne, może być dziełem zawodowca albo wydawać się awangardowe, ale ważne jest co innego: wyrachowanie. Kiczowate dzieło powstaje z premedytacją, ma wywoływać konkretne, przewidziane emocje, nie pozostawia miejsca na wątpliwości i własne myśli. Ma wzruszać i wzrusza, ma oburzać i oburza, ustawiając odbiorcę w jednolitym chórku. Nie ma, rzecz jasna, nic złego w tym, żeby się czymś oburzać czy wzruszać, problem z kiczem polega na tym, że usiłuje wymuszać te reakcje jak odruch kolanowy.

Zupełnie niespodziewanie test na kicz przeprowadziła redakcja miesięcznika „Komputer Świat", generując przy pomocy Midjourney obrazy na podstawie nieodmiennie frapujących tekstów polskich piosenek. Znamy je z radia i z internetu, śpiewamy i się dziwimy bez końca, dlaczego, „kiedy lądował, ja jadłem kanapkę" albo kim jest „sęp miłości". Zobrazowanie najbardziej osobliwych i za to właśnie kochanych wersów ze skarbca liryki polskiej zakończyło się jednak wielkim rozczarowaniem. Sęp miłości zyskał oblicze zwyczajnego ptaka; sentencja Stachurskiego o tym, że „potężna wichura łamiąc duże drzewa, trzciną zaledwie tylko kołysze", została zilustrowana drzewem na smętnej łasze, otoczonym przez chmury i pioruny, a „nosisz spodnie, więc walcz" z piosenki Bajmu uosobiła bójka w zaułku stylizowana na film „Klan urwisów" z wrogiem odzianym w wiązane na kokardkę pludry. Wszystko to było rozczarowujące poprzez odebranie tekstom ich nieporadnego czaru. Zamiast tego wyłonił się kicz: jeśli burza i wichura, to muszą wyglądać jak nieudane prace z szuflady Wojciecha Siudmaka; odwaga to lew, wolność to szeroka droga, a smutek to łza tocząca się po rumianym policzku dzieciny.

Jeśli więc pójdziemy na łatwiznę w stosowaniu graficznych narzędzi AI, nie dodając nic od siebie, a licząc, że coś „samo się zrobi", dostaniemy najprawdopodobniej kicz. Śledziłam z zainteresowaniem ten nieoczekiwany potencjał nowego wynalazku. Pewien użytkownik serwisu Reddit stwierdził, że właśnie taki rodzaj generatywnej twórczości to szczyt rozwoju sztuki, bo pozwala na wgląd w zbiorową wyobraźnię. Inni rozmówcy pospieszyli z przestrogami, przypominając m.in. słowa Milana Kundery: „Kicz wyciska dwie łzy wzruszenia. Pierwsza łza mówi: jakie to piękne, dzieci biegnące po trawniku! Druga łza mówi: jakie to piękne, wzruszać się wraz z całą ludzkością dziećmi biegnącymi po trawniku! Dopiero ta druga łza robi z kiczu kicz". A dodatkowo jeszcze redukuje nasze ludzkie doświadczenie, pakując je w przewidywalne pudełeczka. Jestem bardzo ciekawa, jak – również z pomocą narzędzi AI – twórcy będą starali się je z nich uwalniać. ©

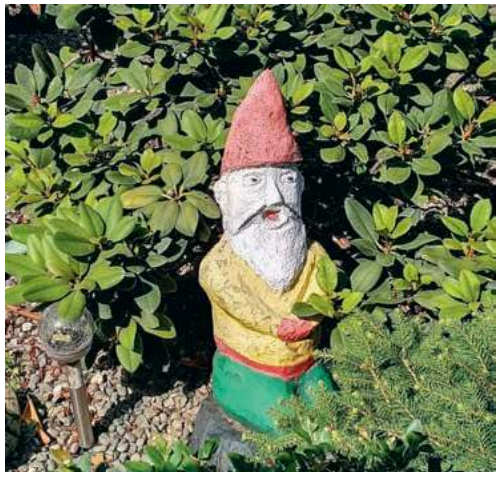

OLGA DRENDA

Miano symbolu kiczu przypadło krasnalowi, moim zdaniem, niesłusznie.

PAWEŁ

Bravo:
Czerwonym do góry

Milion trzysta tysięcy obrazów, z grubsza, trafiło do rąk nabywców w szczytowej fazie tzw. złotego wieku malarstwa holenderskiego. Liczy się ją mniej więcej od końca wojny o niepodległość Niderlandów, zwanej osiemdziesięcioletnią, aż po wielką ruinę kraju wskutek inwazji Francuzów z 1672 r., pod wodzą Ludwika XIV, który zanim jeszcze mógł jako Król Słońce łaskawie patronować sztukom, musiał tęgo zapracować na pozycję i posłuch, dokonując rozbojów i podbojów na lewo i prawo. Z tej kolosalnej liczby dzieł tylko drobna część była wówczas traktowana jak coś wartościowego. Szacuje się, że do naszych czasów przetrwało jakieś paręnaście tysięcy.

A przecież wystarczyło zebrać w jednym miejscu ledwie 27 obrazów Jana Vermeera, żeby powstała wystawa o znaczeniu wykraczającym poza ten rok czy dekadę. Pożądana do tego stopnia, że dawno już rozchwytane bilety chodzą w serwisach aukcyjnych za bajońskie sumy, czyniąc z wizyty w Rijksmuseum rozrywkę elitarną i symbol co najmniej równie wysokiego statusu, jak ongiś nabycie do domu jednej ze scen rodzajowych mistrza z Delft. Historia zatacza koło, wszystko jest na swoim miejscu, tak jak przedmioty na obrazach obdarzone medytacyjną konkretnością, choć odbieramy ją w aurze lekkiego „odrealnienia". Strużka mleka jest tylko i aż mlekiem, pudding z czerstwego chleba, jaki szykuje kuchenna służka, niesłusznie zwana „mleczarką", będzie na pewno posilny i mdły w smaku.

Ale, ale... Kupidyn na małym kafelku przy podłodze oraz niewidoczne dla oka, lecz z pewnością rozżarzone węgle w miedzianym ogrzewaczu przypominają, że cały czas na spokojnej powierzchni codzienności migoczą uczucia i nagłe porywy nadające ostry smak niektórym godzinom. KMWTW – stosowany w internetowych dialogach skrót wyrażenia „kto ma wiedzieć, ten wie" – świetnie nadawałby się na sygnaturę tego malarza i wielu jego kolegów. Widzialny świat i jego podszewka. O tej zdolności gry przeciwieństwami myślałem, gdy moją uwagę przyciągnęły zdjęcia odwróconych (tzn. niebieskim do góry) flag niderlandzkich z protestów, jakie prowadzi ostatnio nowa partia „chłopska". Chłopstwo należy tu traktować umownie, bo Ruch Rolników-Obywateli (w skrócie BBB) to ugrupowanie powstałe wokół obrony interesów wielkotowarowych hodowców, *de facto* przedsiębiorców, a nie stereotypowych kmieci od Witosa.

Odwrócona flaga – co jest w kraju na opak? Wszystko, zdają się mówić wyborcy, którzy dali BBB w wyborach regionalnych trzecie miejsce. Najpierw poszło o nagłe zmiany podyktowane osiąganiem tzw. celów klimatycznych. Pisaliśmy niedawno szczegółowo o problemie zabójczego dla ekosystemów nadmiaru azotu, jaki generuje hiperintensywna hodowla (obornik!). Drakońskie środki (łącznie z wywłaszczeniem ferm) wzbudziły już w zeszłym roku falę typowych, „traktorowych" protestów. Ale farmerzy mający na pieńku z ekologami to niecałe 10 proc. zurbanizowanego społeczeństwa. Dlaczego więc BBB tak dobrze poszło? Bo jak się zacznie kontestować zielony filar polityki (a w takich krajach jak Niderlandy, ojczyzna Fransa Timmermansa, to naprawdę filar), szybko zaczyna się robić ogólnie „antysystemowo". I nagle to czy inne ugrupowanie protestu zaczyna niczym odkurzacz zasysać złość różnych grup.

Jak przystało na kraj płaski i kupiecki, stary układ premiera Ruttego próbuje znaleźć wspólny język i kompromis z nowymi, ton w mediach jest raczej spokojny. Ale, pozwólcie na kiepski żart, gnojowy zapalnik obecnej debaty świadczy jednak o tym, że wszystko, co wiąże się z żywnością, jej powstawaniem i zjadaniem, ma nadal ogromny potencjał tożsamościowy, choćby Holendrzy przodowali w przyswajaniu „obcych", azjatyckich zwłaszcza kuchni. Pod pokrywką miedzianego ogrzewacza ciągle żarzą się węgle. Warto o tym pamiętać też w Polsce, gdzie np. nagle odkrywamy, dzięki zaskakującym sondażom, że zamieszkuje tu spora grupa mężczyzn przed czterdziestką gotowa wynieść nową trzecią siłę... Biało-czerwoną też da się ponieść na opak. ©℗

Jałowych rozpraw, co mianowicie „mleczarka" szykuje na obrazie, jest bez liku, skłaniam się ku wersji puddingowej, gdyż bardzo lubię tę potrawę. Przypomnijmy ją sobie, na ostatnie zimne poranki będzie jak znalazł. Potrzebujemy lekko sczerstwiałego chleba pszennego lub pszenno-żytniego, nie razowego. Kroimy go na kromki o grubości 1 cm. Topimy 75 g masła i nasączamy nim chleb, układając zeń trzy warstwy w odpowiedniej rozmiarem żaroodpornej formie. Ja lubię dodać między nie garść namoczonych rodzynek. Zalewamy to pomału, jak służka Vermeera, mieszaniną 400 ml mleka uprzednio podgrzanego z wanilią i wystudzonego (lub z esencją waniliową albo dowolną inną, jaka pasuje), 3 rozkłóconych jajek i 70-80 g cukru. Czekamy, aż dobrze nasiąknie, i pieczemy w 160 st. C przez godzinę pod przykryciem, odsłaniając na ostatnie minuty, by skarmelizować wierzch, na który można podsypać nieco trzcinowego cukru. Najpierw czuć pod zębami konsystencję chleba, ale po paru godzinach całość zamienia się w jednorodny pudding, dlatego dobrze go przyrządzić poprzedniego wieczora.

JOHANNES VERMEER / DOMENA PUBLICZNA

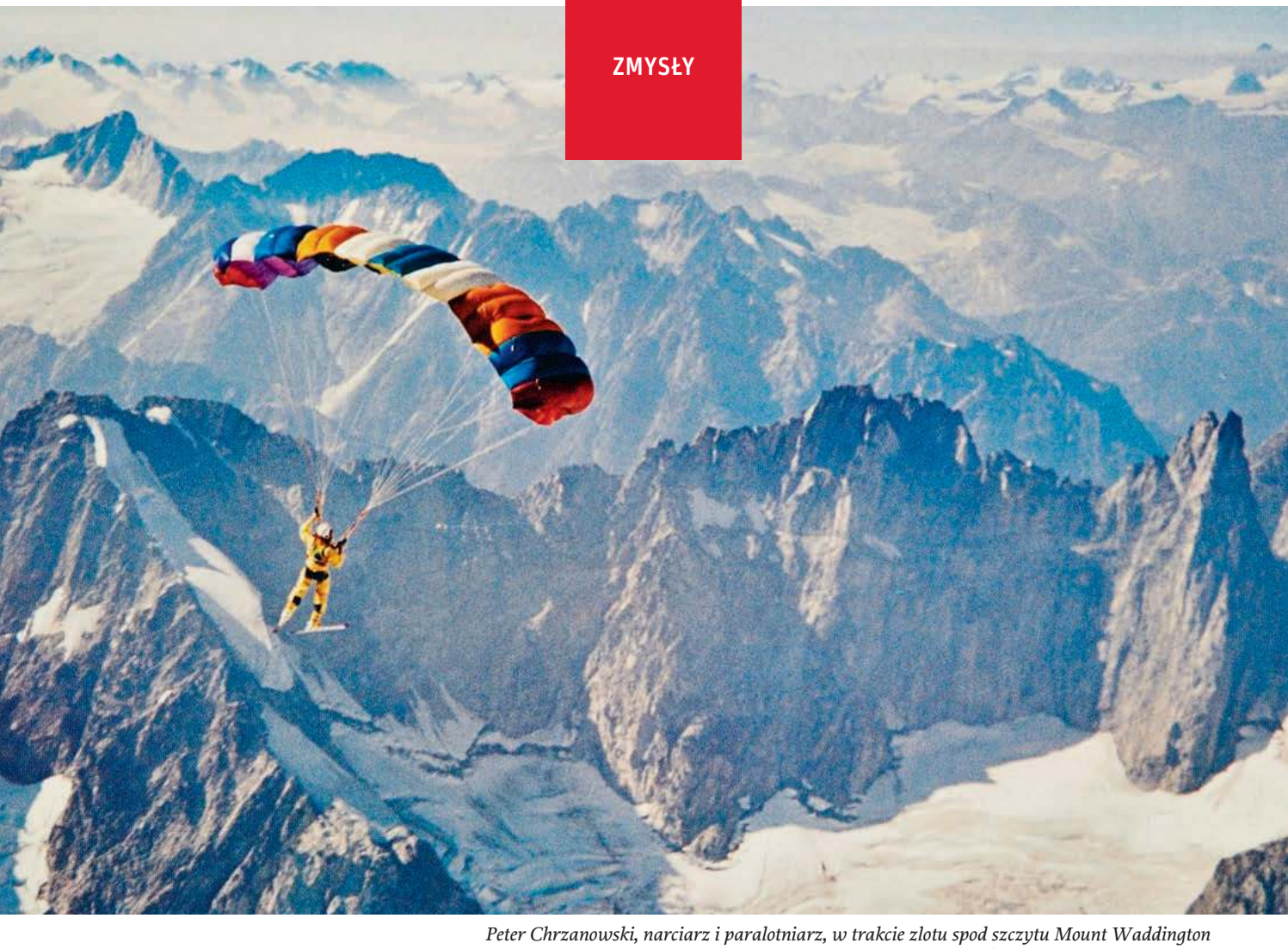

Peter Chrzanowski, narciarz i paralotniarz, w trakcie zlotu spod szczytu Mount Waddington w kanadyjskich Górach Nadbrzeżnych, 1987 r.

JAK PRZEŻYĆ SIEBIE

W połowie siódmej dekady życia brzmi jak Piotruś Pan, który postanowił dorosnąć do swych lat. Może sobie na to pozwolić: poprzednie spędził w lasach, na stokach oraz lodowcach. I w powietrzu.

BARTEK DOBROCH

Sezon zaczyna na dobre w marcu, kiedy wielu narciarzy północnej półkuli chowa deski po szafach i strychach. Ale właśnie wtedy puch na kanadyjskim zachodzie jest najlepszy. Choć minionej zimy go poskąpiło, to jednak w Kolumbii Brytyjskiej nadal są dwa metry śniegu zamiast sześciu. W Whistler, które przeciętny zjadacz śniegu kojarzy raczej z narciarską areną igrzysk olimpijskich, medalami Justyny Kowalczyk i Adama Małysza, sezon potrwa do maja. Wtedy zbiegnie się z sezonem latania. Na razie jednak czas zapiąć nie najnowsze już narty, których model przyciągnął go kiedyś nazwą.

– Pomyślałem, że skoro nazwano je Huascarán, to muszą się nadawać do jazdy w każdych warunkach – mówi. I właśnie na najwyższym szczycie Peru, z którego do lipca 1978 r. nikt nawet nie próbował zjechać, mogłaby się zacząć opowieść o Peterze Chrzanowskim.

Człowiek do przygód

Ale zaczyna się ponad 20 lat wcześniej na innej półkuli. Rodzice urodzonego w Krakowie Piotrka są wielbicielami sportów ekstremalnych, chociaż w latach 60. nikt jeszcze nie używa takiego określenia. Wspinają się na skałkach, chodzą po Tatrach na drewnianych nartach, pływają kajakami.

– Byli bardzo do przygód – Peter opowiada nieco łamaną polszczyzną.

Tę z nartami zaczyna na pagórkach pod Krakowem i na Gubałówce. Gdy ma 9 lat, płynie z mamą transatlantykiem „Stefan Batory" do Quebecu. Dołączają do ojca, naukowca, geodety, którego do emigracji pchnęło stypendium doktoranckie. Już podczas dwuletniej rozłąki wieści od niego napawają syna dumą. Adam Chrzanowski uczestniczy w 1965 r. w ekspedycji kartograficznej, która ma dokonać pomiarów i pierwszego wejścia na Mount Kennedy, jeden ze szczytów w Górach Świętego Eliasza.

Siedzibą uniwersytetu, z którym ojciec wiąże dalszą karierę, jest stolica Nowego Brunszwiku, Fredericton. Leży z dala od Montrealu, bliżej wybrzeża niż gór, panuje w nim zgodny z liczbą 25 tys. mieszkańców małomiasteczkowy klimat i nie ma Polaków.

– Miałem kompleks emigranta, nie znałem na początku angielskiego, a dzieci potrafią być okrutne. Chciałem się więc zawsze czymś wykazać. A ciągnęło mnie do lasu, poza szlaki – opowiada Chrzanowski. Gdy podczas jednej z wycieczek szkolnych nauczyciel daje zadanie przyniesienia jakiegoś żyjątka, mały Peter dostrzega szopa i wspina się za nim na drzewo. Ugryzienie skutkuje jazdą do szpitala na zastrzyk przeciw wściekliźnie.

Rodzice także nie zadowalają się małą kanadyjską stabilizacją. Gdy ojciec dostaje propozycję prowadzenia wykładów w Brazylii i Argentynie, aby oszczędzić pieniądze na bilety lotnicze, kupuje używanego volkswagena westfalia – busa-protoplastę współczesnych kamperów – i całą rodziną ruszają słynną Panamericaną przez obie Ameryki.

Wyprawa jest dla Petera otwarciem oczu. Na świat, przygodę i góry. Wśród nich liczący 6768 m Huascarán. Ogląda go zaledwie dwa lata po trzęsieniu ziemi i wywołanym nim obrywie zbocza góry, który poskutkował zniszczeniem miasta Yungay i śmiercią prawie wszystkich z 30 tys. mieszkańców. Mimo grozy wyczuwalnej w zniszczonej dolinie Ancash już wtedy w nastoletniej głowie zakwita marzenie o zjeździe ze szczytu.

Ale wcześniej asystuje w Andach przy odwiertach i pomiarach, którymi doktoranci monitorują powstały po trzęsieniu ziemi w Peru uskok tektoniczny. Załatwiona przez ojca fucha ratuje przed marazmem prowincjonalnego Fredericton i nudą. Choć nie ustrzega przed obecnymi już w szkolnych czasach narkotykami, które w Ameryce Południowej wodzą na pokuszenie. Pośród używek śnieg wygra jednak z kokainą.

Narciarstwo niemożliwego

Narciarskie umiejętności i wyobraźnię szlifuje podczas wyjazdu na studia do Francji. Tam poznaje nazwiska pionierów narciarstwa ekstremalnego, takich jak twórca tego terminu Patrick Vallençant, jego partner Anselme Baud i główny rywal Jean-Marc Boivin. A także postać swojego późniejszego przyjaciela, nazywanego „Le Skieur de l'Impossible" (narciarz niemożliwego) – Sylvaina Saudana. Szwajcar, już kilka lat przed tamtymi, pod koniec lat 60. dokonywał zadziwiających zjazdów ścianami o nachyleniu przekraczającym 50 stopni. Wszystko na długich, prostych i wąskich nartach, na których nawet świetnym współczesnym narciarzom jazda sprawia trudności.

Z takimi, znacznie go przewyższającymi, nartami Peter znów wyrusza do Peru. Nazwa tego kraju przylgnie do niego z czasem jako używana w narciarskim gronie ksywa. W drodze na Huascarán towarzyszy mu ekipa kanadyjskich filmowców.

– Nie mieli pojęcia o wysokich górach, a ich konsultant zamiast raków zamówił rakiety śnieżne, choć nie ma tam w ogóle głębokiego śniegu – opowiada Peter. O próbie Kanadyjczyków dowiaduje się przebywający wraz z innym przewodnikiem z Chamonix w pobliskim Huaraz Vallençant. Jego zaś ubiec próbuje Boivin wraz z partnerem.

Spotykają się wszyscy na zboczach góry, co Vallençant opisze później w relacji z wyprawy: „Uderzył mnie absurd tej sytuacji. Oto – nie umawiając się! – stajemy wszyscy jednego dnia pod szczytem na końcu świata, z którego nikt jeszcze nigdy nie zjeżdżał, i to spotykając się po całym dniu wzajemnych pościgów. Peter chciał być pierwszy, a my goniliśmy znajomych, którzy w rzeczywistości gonili nas. To wszystko nadawało się na dobry film".

„Ski Peru", współprodukowany przez Chrzanowskiego, zdobędzie nawet nagrodę na kanadyjskim festiwalu dokumentów, ale to nie Peter staje się jego głównym bohaterem. Brakuje mu wysokogórskiego doświadczenia, spowalnia grupę, ma ciężki sprzęt. Zawraca z około 6200 m. Francuz zgadza się wziąć na szczyt jego kamerę, choć wcześniej ściąga nawet papierki z czekoladek, by odciążyć plecak.

Niepowodzenie na Huascaránie wcale nie zniechęca Chrzanowskiego. Położone w kanadyjskich Górach Skalistych szczyty nie przekraczają nawet 4000 m, ale otaczające je lodowce, sięgające pod wierzchołki strome pola lodowe, surowy klimat piętrzą trudności o niemal himalajskim wymiarze. Euforia po osiągnięciu wierzchołka Mount Robson prowadzi go podczas zjazdu złą linią ku obrywającemu się lodospadem urwisku. Strach włącza w szalonym, zbyt skłonnym do ryzykanctwa młodym narciarzu racjonalne myślenie. Musi ostrożnie podchodząc z powrotem na krawędziach nart wydostać się z pułapki. Wyczerpany, melduje się w obozie pod szczytem.

Pierwszy zjazd z najwyższego szczytu kanadyjskich Gór Skalistych trafia na okładki gazet, a jego autor zyskuje pięć minut sięgającej poza narciarskie rewiry sławy. Otrzymuje propozycję sprzedaży praw do swojej historii na potrzeby produkcji fabularnej. Nawet jednak duże pieniądze nie przekonują go do akceptacji scenariusza, według którego ma być synem Indianki i polskiego narciarza.

Uciechy młodszych braci

Filmowanie z pasji przeradza się w zajęcie pomagające mu sfinansować i zrealizować pasję: – Szukałem czegoś, co dałoby

↦

Z ARCHIWUM PETERA CHRZANOWSKIEGO

↦ mi fundusze, bym mógł się włóczyć po świecie. Bardzo mało ludzi robiło wtedy przygodowe filmy dokumentalne.

Nie jest lekko, także w sensie dosłownym. Idąc na Mount Robson ma ze sobą ciężką kamerę 16 mm. Plecak w drodze do bazy waży 90 funtów, czyli 45 kg, a na szczyt połowę mniej. Trudne do wyobrażenia w czasach, gdy każdy może rejestrować swoje wyczyny za pomocą lekkich kamerek mieszczących się w kieszeni albo na kasku: – A tamta kosztowała 40 tys. dolarów. Jedliśmy kanapki z serem, bo wszystko szło do produkcji filmu.

Z ARCHIWUM PETERA CHRZANOWSKIEGO

Peter Chrzanowski pod Huascarán, najwyższym szczytem Peru, 1978 r.

Poznaje jednak życzliwych ludzi z kanadyjskiej telewizji. Pożyczają kamery, pomagają w montażu. Filmuje narciarską scenę Ameryki Północnej, jej szalonych i barwnych bohaterów, pierwsze zawody w narciarstwie ekstremalnym (choć dziś lepiej określałoby je słowo *freeride*) w Valdez na Alasce. Kręci nie tylko atrakcyjne wizualnie ujęcia – interesuje go opowieść. Jak w „Golden Rush", portretującym tytułowe miasteczko, które wielka holenderska korporacja budowlano-konstrukcyjna zmienia w duży ośrodek narciarski: – Bezwzględnie wprowadziła się do miasteczka i traktowała jej mieszkańców z pogardą. A to prości ludzie, drwale, rolnicy, którzy mają swoje podejście do natury, bo z nią żyją. Filmy dawały mi utrzymanie. Płaciły za podróż, narty, ekwipunek. Film był medium do przeżywania przygody.

Życie Petera toczy się w jej rytmie. Zjeżdża na nartach z wulkanu Popocatépetl w Meksyku, co po stopieniu lodowców w wyniku ocieplenia klimatu oraz wzmożenia aktywności wulkanicznej byłoby dziś nie do powtórzenia. A także spod szczytowej igły Mount Waddington, bardzo trudnego do zdobycia najwyższego szczytu Gór Nadbrzeżnych. Dołącza też jako filmowiec do składu wyprawy dookoła świata pamiętającym II wojnę światową samolotem DC-3 „Dakota". Odwiedza Papuę-Nową Gwineę, Brunei, Bangladesz.

Najważniejsza z podróży nie kończy się sukcesem. Pasmo górskie Sierra Nevada de Santa Marta leży zaledwie 40 km od karaibskiego wybrzeża Kolumbii, ale otoczone szczelnie przez gęsty las deszczowy pozostaje jednym z najbardziej niedostępnych na świecie. Izolacji od reszty kraju dopełniają mieszkańcy, Indianie z plemion Kogi i Arahuaco, potomkowie ludzi, którzy ucieczką w góry przed hiszpańskimi konkwistadorami ocalili nie tylko życie, ale też rodzimy język i unikalną kulturę. Wierzą, że wszyscy ludzie są dziećmi Ziemi, ale my, ludzie Zachodu, jesteśmy ich „młodszymi braćmi". Krnąbrnymi, bezmyślnymi, zagrażającymi sobie i światu. „Siebie zaś w tym układzie obsadzają w roli starszego, mądrzejszego i bardziej wrażliwego na przyrodę rodzeństwa. Nie da się ukryć, że jest w tym sporo racji" – odnotuje wizytę w ich świecie Chrzanowski, choć opór odzianych w białe szaty Kogich nie pozwala mu nawet dotknąć widocznych na stokach najwyższych gór Kolumbii, Pico Cristóbal Colón i Pico Simón Bolívar, wymarzonych śniegów. Dla nich są źródłem wody, czyli życia, zbyt świętym, by służyć za źródło uciechy dla „młodszych braci".

Dzieci narty

Przygoda czai się jednak dużo bliżej, a jej przestrzenią są przydomowe góry. Gdy pod koniec lat 70. przyjeżdża po raz pierwszy do Whistler, jest tam jeszcze narciarski dziki zachód. Potem studiując w Vancouver powraca tam regularnie. Opiekuje się wybudowaną nielegalnie chatą znajomych. W stawianych na dziko leśnych schronieniach, czasem w obiektach należących do niewielkiego jeszcze ośrodka narciarskiego rozkwita subkultura ski bumów, narciarskich włóczęgów i bumelantów, którzy dzielą rok na dwie pory: sezon narciarski i czas oczekiwania na sezon narciarski. Są śniegolubnym odpryskiem ruchu beatników, późnymi hippisami, którzy kwiaty we włosach zamienili na dwie deski na nogach, zimowymi braćmi szukających sensu życia we wspinaczce yosemickich dirtbagów, a zatem podobnie jak ci wszyscy, emigrantami wewnętrznymi amerykańskiej kultury, uciekinierami z getta konsumpcyjnego społeczeństwa. Zdarza się, że dojadają w restauracjach resztki po turystach albo zbierają butelki po piwie, żeby zdobyć pieniądze na jedzenie. Część z nich ima się niskopłatnych prac w ośrodkach narciarskich w zamian za darmowe karnety, części brakuje funduszy nawet na nie.

– Bilety sprawdzano tylko na pierwszej stacji w ośrodku w Whistler. Lokalsi mieli szlak nazwany po partyzancku Ho Chi Minh Trail. Wchodziło się w 35 minut z tyłu ośrodka i zjeżdżało do drugiej stacji. Tam nie sprawdzano już biletów i cały dzień jeździło się za darmo – opowiada Chrzanowski. – Ludzie pogardzali nami za to, że oszukujemy. Ale to właśnie entuzjaści, którzy tak kochali narty, choć nigdy nie mieli pieniędzy, żyli w lesie, jedli *peanut butter* i jeździli całymi dniami, rozwinęli Whistler i inne ośrodki. Ich zdjęcia pojawiały się w magazynach, a gówniarze, którzy je oglądali, ścią-

gali tam potem swoich bogatych rodziców.

„Sztuka życia narciarza-włóczęgi kwitła w czasach, kiedy nie było jeszcze wszechobecnych komputerów, telefonów komórkowych, skanerów i hologramów" – czytam w jego książce „Szusss, czyli jak przeżyłem samego siebie".

Ruch narciarzy-włóczęgów ominął Polskę. I w czasie socjalizmu, i w okresie kapitalistycznej pogoni za pieniądzem. Nie miał też szans na realizację w ciasnej przestrzeni polskich gór, opiętej już po wojnie siatką parków narodowych. Aby znaleźć najbliższy im rodzimy odpowiednik, należałoby się cofnąć do dwudziestolecia międzywojennego i do pomieszkujących całą zimę w małych tatrzańskich schroniskach przedwojennych narciarzy opisanych w książce Stanisława Zielińskiego „W stronę Pysznej".

– Też byłem ski bumem, choć jednocześnie filmowcem. Całe życie byłem takim *dirtbag filmmaker*. Dopiero teraz, gdy mam 65 lat, trochę sobie pozwalam i nie dziaduję – przyznaje Chrzanowski. Życie ski buma porzuca dzięki, jak mówi, jedynej mądrej rzeczy, którą zrobił w biznesie. Zakupowi taniego gruntu w nieodległym Pemberton i budowie na nim domu z pokojami pod wynajem.

Zresztą dziś prawdziwych ski bumów już nie ma: – Korporacje zrujnowały narciarstwo, ceny poszły w górę tak, że tylko bogatych ludzi stać na to, by jeździć na nartach. Nie można nawet nigdzie zaparkować i spać w aucie, żeby policja cię w nocy nie obudziła i nie wygnała.

Z ARCHIWUM PETERA CHRZANOWSKIEGO

Wylicza trzynaście wypadków, kilka kończy się klasycznymi u paralotniarzy złamaniami. Ale jego medyczna historia zawiera też drutowanie miednicy, złamanie kręgu, wybicie barku, a także **przeszczepy skóry i zagrożenie amputacją nogi.**

Ślub z paralotnią

Obecnie wystarcza mu już znacznie mniej niż dawne sto dwadzieścia dni w roku na nartach: – Teraz pojeżdżę ze dwadzieścia. Dopadło mnie lenistwo. Tyle przeżyłem, tyle się wymordowałem wychodząc przez lasy, busze, na lodowce, czasami już w listopadzie, w deszczach, zimnie.

Starzejące się ciało gorzej znosi tęgie mrozy kanadyjskiej zimy. Zwłaszcza ciało poorane kontuzjami i wypadkami. Najpoważniejszy był ten pierwszy. Historia podobna do tej Joe Simpsona, rozsławionej filmem „Czekając na Joe", ma zresztą miejsce także na sześciotysięczniku w peruwiańskich Andach. W 1979 r. podczas próby pierwszego zjazdu południowo-zachodnią ścianą Ranrapalki tuż pod wierzchołkiem uderza w lód. Spada 900 metrów w pionie. Budzi się w „świecie niebieskich świateł".

– Było bardzo ciepło, przyjemnie, naokoło latało coś, co wyglądało na dusze i mówiło: „Zostań z nami, Piotrek" – wspomina. W rzeczywistości tkwi w lodowej szczelinie, zaledwie dwa metry poniżej jej krawędzi, na półce nad niekończącą się ciemną otchłanią. Nie ma żadnych złamań. Wydostaje się, choć upadek wraz z nartami wyrwał go też z butów i skarpetek. Jego peruwiański towarzysz po dotarciu do niego opakowuje go w śpiwór i pędzi po pomoc. Ta przybywa po trzech dniach. Kończy się na odmrożeniach i kilku miesiącach powrotu do równowagi. Łagodny wymiar kary. Zwłaszcza z perspektywy czasu, w którym traci w sumie z tuzin kolegów narciarskich i czterech paralotniowych.

W lataniu odnajduje podobne uczucia jak podczas jazdy w głębokim puchu – nadnaturalnej lekkości i dziecięcej radości. Z wiekiem coraz częściej, gdy temperatura spada poniżej 20 stopni, ucieka na południe, gdzie zamienia narty na skrzydło, a Kolumbię Brytyjską na tę południowoamerykańską.

W autobiograficznej opowieści w oryginale zatytułowanej „I Survived Myself" („Jak przeżyłem samego siebie") wylicza trzynaście wypadków. Te na paralotni kilkakrotnie kończą się klasycznymi w tym sporcie złamaniami nóg, ale jego medyczna historia zawiera też drutowanie miednicy, złamanie kręgu, wybicie i utratę pełnej sprawności barku, a także przeszczepy skóry i zagrożenie amputacją nogi po wpadnięciu w linie energetyczne: – Każdy wypadek to był mój błąd, zła decyzja, zły wybór czasu, niesprawdzenie sprzętu. Dziwię się, że mnie ubezpieczają, bo jak masz wypadek samochodowy, to składka idzie w górę, a tu nic.

– Jest jak w przysłowiu, że co cię nie zabiło, to cię wzmocniło? – dopytuję.

– Z każdego wypadku czegoś się nauczyłem. Gdy było oblodzenie, to zszedłem na rakach, zamiast zjechać. Był za silny wiatr, poczekałem, nie poleciałem.

W połowie siódmej dekady życia brzmi jak Piotruś Pan, który postanowił dorosnąć do swych lat. Lata ostrożniej, choć nie z troski o siebie, ale o samotną, ponad dziewięćdziesięcioletnią matkę. Organizuje aerothlony – zawody w wymyślonej przez meksykańskiego kolegę odmianie triathlonu, z paralotniarstwem jako zamiennikiem pływania. Pierwsze tego typu zawody w Polsce mają odbyć się w maju w Szczyrku.

Otacza się młodymi ludźmi, którzy dają mu energię na starość. Opowiada im swoją historię. Nie unika wyliczania życiowych błędów. Pęd za przygodą przysłonił mu potrzebę zbudowania trwałego związku. Od kilkunastu lat pół żartem, pół serio w niekończącym się filmowym projekcie „Paracinderella" szuka partnerki do podniebnego i życiowego tandemu.

– Na razie – przyznaje – kończy się on tak, że moją żoną jest paralotnia.

©℗ BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz:
Ku pokrzepieniu

Przeczytaliśmy, że Jarosław Kaczyński „nie podoba się" 10 proc. wyborców PiS-u. Tę i wiele innych – smutnych i wesołych – informacji znaleźliśmy w interesującym badaniu opinii publicznej przeprowadzonym przez Instytut Krytyki Politycznej. W zasadzie wszystkie wyniki tego wielkiego badania, ich opisy, analizy i omówienie rozumiemy, ale autorzy zostawili nas zupełnie samych z wiadomością, że Gospodarz komukolwiek ze swych wyborców się nie podoba. Komukolwiek to źle powiedziane, bo 10 proc. to nie jest przecież mało. Warto było tę niby drobnostkę rozwinąć, badanie doszczegółowić, ludzi docisnąć i dopytać, żeby coś zrozumieć, żebyśmy my zrozumieli, o co może chodzić. Jak to „Jarosław Kaczyński się nie podoba"? Co tu się może nie podobać? A skoro już tak, to dlaczego? Nic. Cisza. Poczuliśmy się sami, opuszczeni, ale i zobowiązani wobec opinii publicznej do podjęcia próby znalezienia choćby skromnej odpowiedzi. Przecież głosując na PiS głosujesz na Jarosława Kaczyńskiego. I to ci nie pasuje? To jest tak, jakbyś mieszkał na Uranie i nie podobał ci się zapach amoniaku, smak metanu i cyjanowe paski radiacyjne na ciele.

Nasze zdolności wczuwania się w różne sytuacje, ale też w rozumowanie i emocje bliźnich, są powszechnie znane i szalenie cenione. Nie raz i nie dwa, tu i ówdzie, dzięki darowi empatii udało nam się zrozumieć osobliwości komunikacji błon komórkowych w mózgach naszych bliźnich, też bliźnich niebędących w zasadzie naszymi bliźnimi. Dlatego dziś, bez względu na obiektywne trudności, a chcemy, by to doceniono, spróbujemy się wczuć w wyborcę PiS-u, któremu nie podoba się Jarosław Kaczyński. Nie podoba do tego stopnia, że deklaruje to ankieterowi. Otóż to: musimy zacząć od ankietera. A w zasadzie od zaufania.

Z zaufaniem – to wiadomo z podobnych do omawianego tu badania – w Krainie Uśmiechu jest źle. Tu nikt nikomu nie ufa, a już zwłaszcza ankieterom. Znane są wyłudzenia rent i emerytur nie tylko na kominiarza, na wnuczka, ale na ankietera właśnie. Popatrzmy: kto nam zagwarantuje, że ankieter z „Krytyki Politycznej" nie jest kontrolerem poglądów przysłanym z centrali na Nowogrodzkiej? Bądź z żeremia starej warszawskiej inteligencji, czyli wprost z Żoliborza? Nikt. Nikt w Polsce nie może nam dać gwarancji bezpieczeństwa na tak zaawansowanym poziomie ochrony danych osobowych i zapewnić, że ankieter jest tym, za kogo się podaje. „To wspaniale, że głosuje pan na PiS. Ale czy podoba się panu Jarosław Kaczyński?" – pyta, patrząc na nas dobrotliwie, wzbudzając nasze skrajne zaufanie. „O nie – odpowiadamy hardo – jest zbyt łagodny wobec wrogów ludu, zbyt tolerancyjny wobec LGBT i zbyt miękki wobec Unii Europejskiej. Dlatego nam się nie podoba". W tej chwili przemiły ankieter ściąga maskę i z przerażeniem widzimy, że stoi przed nami srogo toczący, z notesem w ręku, p. A. Macierewicz! Osobiście! Natychmiast zza niego wyłania się p. M. Morawiecki i ludzie od czternastej i osiemnastej emerytury, od pięćset plus, od tysiąc plus, od zniżek na benzynę, gaz i komorne, od chrustu, od nieinflacji, od sukcesów, od Błaszczaka i Glińskiego, i oczywiście od Ziobry. I syczą: „Aha! Taaaak? Jarosław Kaczyński wam się, towarzyszu, nie podoba?". I buch, jednym ruchem długopisów wszystkie te ulgi i dary nam skreślają. I co? Płać człowieku i płacz. Bo zebrało ci się na szczerość i zaufanie. Do ankietera. Wydaje się to, przy dzisiejszej wiedzy o społeczeństwie, o elektoracie PiS-u, całkowicie niemożliwe. Owo zaufanie i owa szczerość. W tej skali. Na tym poziomie intymności wyznania. Zgodzimy się, że dziesięciu zwolennikom PiS-u w Polsce „nie podoba się" Jarosław Kaczyński i są to na pewno ludzie nietypowi, ale co dziesiątemu wielbicielowi partii? Szok i niedowierzanie. Nie. Skąd zatem te dane?

Uważamy, że dobry p. S. Sierakowski z „Krytyki Politycznej", publikując w sumie przerażający raport na temat stanu tutejszych umysłów i czarno rysującej się przyszłości, chciał choć trochę tę czerń rozrzedzić, a ludzi pokrzepić. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Prawda nie obroni się sama. Przekaż wsparcie naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

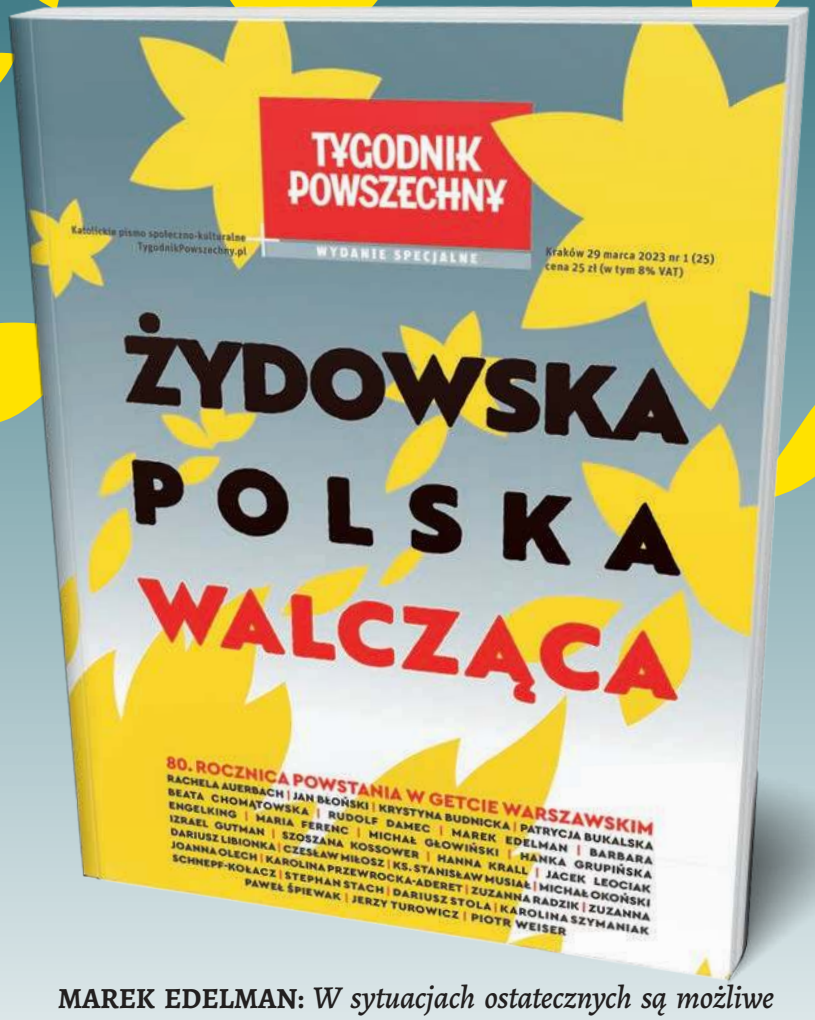

MAREK EDELMAN: *W sytuacjach ostatecznych są możliwe dwie przeciwne postawy. Ta pierwsza to postawa kompromisu wieńczonego tragiczną rezygnacją. A druga – to postawa tak naprawdę szaleńca. Od czasu do czasu zastanawiamy się, dlaczego historia przyznaje rację szaleńcom.*

PREMIERA

JUŻ W SPRZEDAŻY WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

a w nim nieznane wcześniej zdjęcia z drugiej strony muru walczącego getta

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

WSPÓŁWYDAWCA

Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

GŁÓWNY PARTNER WYDANIA

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

PARTNERZY WYDANIA

KONRAD ADENAUER STIFTUNG

FRIEDRICH EBERT STIFTUNG

ינדישער היסטאָרישער אינסטיטוט ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY 75 LAT

FESTIWAL KULTURY ŻYDOWSKIEJ

CENTRUM DIALOGU im. Marka Edelmana w Łodzi

wydawnictwo czarne

zaiks sprzyjamy wyobraźni

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY